

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/393

1980



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

J. SZUŁDRZYŃSKI :

ROZMOWA Z KAZIMIERZEM OKULICZEM

CZ. MIŁOSZ :

O NIEWIEDZY, WYUCZONEJ I LITERACKIEJ

SOCJUSZ : **POLSKIE KWADRATURY KOŁA**

SPIS RZECZY

Jan Szuldrzyński:	<i>Rozmowa z Kazimierzem Okuliczem ..</i>	3
Czesław Miłosz:	<i>O niewiedzy, wyuczonej i literackiej</i>	29
Jerzy Pietrkiewicz — Andrzej Panufnik:	<i>Trzy rozmowy</i>	42

W I E R S Z E

Wojciech Albiński:	<i>Kalahari</i>	66
--------------------	-----------------------	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Bolesław Sulik:	<i>Wolniej, niżej, bliżej...</i>	68
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	75

SPRAWY I TROSKI

Zdzisław Bau:	<i>Fundacja Kościuszkowska</i>	81
Jerzy Grot-Kwaśniewski:	<i>Poeta Powstania Warszawskiego</i>	91

S A S I E D Z I

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	94
Benedykt Heydenkorn:	<i>Ucrainica w Północnej Ameryce</i>	100
Andrzej J. Chylecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	105

K R A J

Socjusz:	<i>Polskie kwadratury koła</i>	109
—	<i>Ze Związku Literatów w Warszawie ..</i>	121

C I , C O O D E S Z L I

Aleksander Matejko:	<i>Człowiek dobrego czynu</i>	125
Jerzy Peterkiewicz:	<i>Bronisław Przytuśki</i>	128

WOŁANIE NA PUSZCZY

Kisiel:	<i>Czy mamy ideologię czy socjalizm? ..</i>	130
---------	---	-----

K S I A Ź K I

M. Broński:	<i>Bez złudzeń</i>	135
Janina Katz Hewetson:	<i>Widziane z dołu</i>	138
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	144



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	146
---	----------------------------------	-----



K. Blachut, A. Bocheński, A. Estryn, J. G. Görlich, K. Krótki, K. Styś, N. Żaba:	<i>Listy do Redakcji</i>	154
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Czerwiec - Juin 1980

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Jacqueline Dyjas, Paryż — dla uczczenia pamięci gen. Józefa Jaklicza	F. 150,00
Kazimierz J. Logay, Sarasota, Fla. (USA), po raz 7-my — \$ US 18,00	F. 76,00
Walter Łuszczak, Thunder Bay, Ont. (Kanada), po raz 7-my ..	F. 69,55
M. A. Perth, W.A. (Australia), po raz 7-my — \$ A. 50,00 ..	F. 225,00
Genowefa Sobkowicz, Winnetka, Ill. (USA) — \$ 60,00	F. 252,00
S. K. Stankiewicz, Trenton, N.J. (USA), po raz 15-ty — \$ 8,00 ..	F. 33,60
J. Zaremba, Hamilton, Ont. (Kanada) — w pierwszą rocznicę śmierci nieodżałowanego brata, Pawła Zaremby — \$ c. 15,00 ..	F. 52,50
Bezimiennie z Kolonii (RFN)	F. 232,88
Bezimiennie z Ottawy — zamiast kwiatów na trumnę śp. Zygmunta Hertza	F. 139,13
Bezimiennie — dla uczczenia bł. p. dr. Ottona E. Lauterbacha — Przyjaciół w Los Angeles — \$ 30,00	F. 131,46

Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — na opozycję w Kraju — \$ US 100,00	F. 420,00
Bezimiennie z USA na ruch wolnościowy w Kraju — \$ 20,00 ..	F. 84,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA KSS « KOR »

A. Jakubowicz, Szwecja — zamiast głosu na FJN — Krs 100,00 ..	F. 100,00
M. Koraszewska, Szwecja — zamiast głosu na listę FJN — Krs 50,00	F. 50,00
A. Koraszewski, Szwecja — zamiast głosu na FJN — Krs 50,00 ..	F. 50,00
Irena Kosak, Monachium (RFN) — £ 18,00	F. 171,00
Ognisko Polskie w Turynie — dla uczczenia pamięci p. Marii Saganowskiej — Lit. 90.000	F. 45,00
Dla uczczenia pamięci Beatrice Lilienfeld od Departamentu Radioterapii, Veterans Hospital w Bronx, N.Y. (USA) — (nadesłał dr Julian Tenner) — £ US 52,00	F. 219,00

WPLATY NA RUCH OBRONY PRAW CZŁOWIEKA

Wiadomości Polskie w Sydney przekazały otrzymane od pp. S. Grabowski — \$ A. 20,00, J. Chamik — \$ A. 10,00, zebrane przez Koła Akademików Polskich w N.P.W. po odczycie red. J. Dunin-Karwickiego pt. „Prasa i ruch wolnościowy w Polsce” — \$ A. 56,00, J. E. Mutkowscey i Zofia Powch — zamiast kwiatów na groby w Katyniu — po \$ A. 10,00 — razem: \$ A. 106,00	F. 477,00
--	-----------

WPLATY NA KASĘ POMOCY NAUKOWEJ T.K.N.

Hanne Birkenbach, Berlin (RFN) — DM 20,00	F. 44,00
Bezimiennie z Heidelbergu (RFN) — po raz 2-gi — DM 100,00 ..	F. 220,00
Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN) — czwarta rata miesięczna rocznego stypendium ufundowanego dla osoby wybranej przez T.K.N. — DM 100,00	F. 220,00
Peter Leiberich, Monachium (RFN) — DM 10,00	F. 22,00
Irena Szymowicz, Szwecja — dla uczczenia pamięci Męza — Mieczysława w drugą rocznicę Jego zgonu	F. 1.000,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 160-tej)

Rozmowa z Kazimierzem Okuliczem

Szułdrzyński: — Kultura przyznała Panu nagrodę za całokształt pracy publicystycznej. Jest Pan jednym z publicystów kierunku określonego mianem niepodległościowego. 70 lat Pana działalności przypada na okres szczególnie dramatycznych napięć. Obejmuje on odtworzenie państwa polskiego, jego 20-letnie utrzymywanie się na forum międzynarodowym, klęskę obcego najazdu i wysiłki odbudowania myśli i działalności politycznej na emigracji i w kraju. Cały ten okres wymagał i wymaga wielkiego napięcia woli i myśli politycznej. Mówił mi Pan wielokrotnie że Polacy i z natury i z braku nowoczesnej tradycji państwowej niełatwo dostrzegają istotę problemów politycznych i powiązania ich z państwowymi wymogami Polski. Czy nie zechciałby Pan wobec tego podzielić się swymi poglądami na niektóre istotne zagadnienia. W ten sposób nie tylko ocaleją od zapomnienia, ale stać się mogą pomocą w rozumieniu przyszłości i w walce o jej kształt polityczny.

Już we wczesnej młodości nabrał Pan przekonania o słuszności programu walki czynnej jako drogi do odzyskania pełnej niepodległości. Musiał Pan na czymś opierać swoje przewidywania. Przecież w 1914 roku nie istniała powszechna wiara w możliwość odzyskania niepodległości.

Okulicz: — Źródłem moich uczuć i przekonań niepodległościowych był po prostu dom rodzinny. Czytać i pisać po polsku nauczyli mnie rodzice. Zauważywszy moje wielkie upodobanie do książki i czytelnictwa, rodzice puścili mnie samego na wielką wodę polskiej literatury i poezji XIX wieku. Na szczęście w tym

domu jej nie brakowało. Ale istniał zakaz polskiego druku na całej Litwie Historycznej, zniesiony dopiero w 1904 roku. Każda przeto książka przed tą datą była witana jak utęskniony gość. Historia Polski „dla młodzieży”, przeidealizowana, niemal imaginacyjna, pochłaniana była jednym tchem; mapy dawnej Rzeczypospolitej wisały na ścianie mego pokoju; na etażerce pod albumami leżały patriotyczne druki i fotografie, *Polonia i Lituania* Grottgera. Dzieła XIX-wiecznych pisarzy wyszły z oszklonej szafy na światło dzienne i szerzyły legendę i kult Rzeczypospolitej. Około roku 1904 wtargnęła otwarcie Młoda Polska z *Krytyką* Feldmana i *Chimerą* Przesmyckiego (Miriamy), z dwoma koryfeuszami mego pokolenia Stanisławem Wyspiańskim i Stefanem Żeromskim, witana, prócz nielicznych sceptyków, entuzjastycznie.

Ogromną rolę odegrał też znakomity tygodnik *Kraj* wydawany w Petersburgu. Żaden współczesny tygodnik polski nie prześcignął go w kunszcie redaktorskim i wszechstronności treści. Program pisma był daleki od niepodległości. Ale podczas kiedy idea restytucji Rzeczypospolitej była pokryta pożogą powstaniową, rozwijany przez to pismo obraz cywilizacji europejskiej i polskiej jako jej składnika był tak atrakcyjny, fragmenty historii polskiej tak impresyjne, że nie wymawiając słowa „niepodległość” ani nawet „autonomia”, *Kraj* był, moim zdaniem, bardzo ważnym i skutecznym narzędziem utrzymania tradycji i kultury polskiej. Docierały również do dworów i miast na Litwie szmuglowane z zaboru austriackiego pisma i dokumenty nielegalne, jak np. memoriał Ks. Imeretyńskiego, gen. gubernatora Królestwa, o polityce względem Polaków, lub wymiana listów pomiędzy Marianem Zdziechowskim a Aleksandrem Meysztowiczem z powodu obecności grupy szlachty polskiej na otwarciu pomnika Katarzyny II w Wilnie. Tą literaturą i w ogóle atmosferą mojego dzieciństwa, mojego otoczenia, zaraziłem się gruntownie. Od roku 1904 ruch zliberalizowania Rosji obudził nieokreślone ściślej hasła odrębności ziem Rzeczypospolitej, które padały na przygotowaną na ich przyjęcie glebę. Ale nazwisko Józefa Piłsudskiego zapadło mi w pamięć i w serce dopiero później, gdy po moim wejściu w środowisko studenckie w Petersburgu postać jego stanęła przed moją wyobraźnią jako nie tylko socjalista ale i przywódca walki zbrojnej o niepodległość Rzeczypospolitej z Wilnem, Grodnem i Mińskiem włącznie.

Sz.: — Piłsudski zawsze rozumiał że odbudowanie państwa polskiego to nie jest sprawa tylko zabiegów dyplomatycznych ale przede wszystkim walka czynna i do niej Polaków przygotowywał. Do walki trzeba siły. Szukał jej przede wszystkim we własnym narodzie, tworząc kadry wojskowe i podkreślając zna-

czenie imponderabiliów moralnych, ale do walki o Polskę trzeba mieć także sojuszników. My wiemy jak trudno ich znaleźć, a o Piłsudskim mówiło się, że szedł przez życie samotny. Zastanawia mnie kogo Piłsudski uważał za sojusznika Polski?

O.: — O wczesnej idei Piłsudskiego odzyskania niepodległości dużo mówi memoriał sporządzony przez niego podczas podróży z Ameryki do Tokio i złożony rządowi japońskiemu w czasie wojny japońsko-rosyjskiej w 1904 roku. Piłsudski tłumaczył Japończykom, że większość mieszkańców Imperium Rosyjskiego stanowią narody nierosyjskie pragnące usamodzielnic się od Rosji. Wśród nich pierwsze miejsce zajmują Polacy i Japonia może w nich zyskać sojuszników. Złożono też projekt umowy z Japończykami o współdziałaniu przeciwko Rosji. Po kilku dniach Piłsudski otrzymał odmowę pertraktowania z PPS. Motywem były duże komplikacje międzynarodowe które, zdaniem Japończyków, proponowana akcja mogła wywołać w stosunkach międzynarodowych.

Czy na tę odpowiedź miały jakiś wpływ zabiegi Dmowskiego, który już przed przyjazdem Piłsudskiego zjawił się w Tokio w celach przeciwnych celom Piłsudskiego i złożył Japończykom trzy memoriały, nie wiem. Spotkawszy się przypadkowo na ulicy, ci dwaj przywódcy rywalizujących ze sobą obozów odbyli kilka rozmów, w sumie kilkanaście godzin, ale w rezultacie rozeszli się całkowicie. 14 lat później Piłsudski — już jako Naczelnik Państwa — napisał odręczny list do Dmowskiego (21. XII. 1919) proponując mu współdziałanie w pracy państwowej. Na ten list Dmowski nigdy nie odpowiedział. Czy był to objaw przyrodzonej arogancji, czy niechęć do wypowiedzenia się — nie wiadomo. Następne starcie pomiędzy tymi ludźmi nastąpiło rok później na posiedzeniu Rady Obrony Państwa (19. VII. 1920). Po dłuższej filipice Dmowskiego przeciwko Naczelnemu Wodzowi Piłsudski postawił kwestię zaufania i wyszedł z sali. Przeciwko niemu padł jeden głos, prawdopodobnie Dmowskiego, który natychmiast opuścił posiedzenie i nigdy do Rady Obrony Państwa nie wrócił. Moim zdaniem Dmowski był wybitnym teoretykiem, lecz brakowało mu wytrwałości i talentu realizatora. W ostatnich latach życia ulegał prądom totalistycznym.

Piłsudski wrócił z Japonii z Tytusem Filipowiczem, który mu towarzyszył — z niczym. Ale niepowodzenie w roku 1904, z dodatkiem jeszcze choroby i bezpłodnych rozmów z Dmowskim, bynajmniej nie zniechęciło Piłsudskiego w jego bojowych zamierzeniach na razie innego rodzaju.

Józef Piłsudski w ciągu swojej walki o niepodległość wykazał pazur polityka wielkiej klasy już przez to że potrafił wykorzystać

kolejno rozbiorców dla swojego celu. Wygląda to na żart, ale taka była w istocie kolej rzeczy. A więc Austrię — dla stworzenia Legionów; Niemcy — do utworzenia polskiej organizacji państwowej na pewnym terytorium i przygotowania dla niego kadr wojskowych; wreszcie rosyjską rewolucję — dla odepchnięcia Rosji z tzw. Ziem Zabrzanych, zorganizowania na nich administracji i proklamowania wyborów do ciał ustawodawczych, mających zdecydować o ich losach. W tym ostatnim zamiarze przeszkadzały mu — w trosce o interesy przyszłej Rosji — właśnie te mocarstwa na których pomoc jako sojuszników czy przyjaciół liczył w swej polityce Dmowski i Komitet Narodowy Polski. W ten sposób, wykorzystując zmienne sytuacje, Piłsudski umocnił się w terenie na którym mógł realizować swoją koncepcję odbudowy Rzeczypospolitej.

Ale to byli przypadkowi sojusznicy którzy wbrew sobie zmuszeni byli w imię swoich głównych celów poczynić te kroki na rzecz interesów polskich: Austria — aby pozyskać Polaków monarchii dla celów wojennych i uczynić je poniekąd ich celami; Niemcy — aby zasilic dobrym, jak się przekonali, polskim żołnierzem tonpiejące szybko własne zasoby ludzkie; Rosja rewolucyjna — aby wypełnić hasło samostanowienia narodów i skłonić Polaków do pozostania w sferze jej władzy. Wskutek przegranej w końcu wojny światowej i rosyjsko-polskiej w 1920 roku żaden z zaborców nie dopiął swego celu, a to co oni mimowoli przysporzyli Polakom: Manifest rosyjskiego Rządu Tymczasowego z marca 1917, proklamacja przez Niemców i Austrię Królestwa Polskiego i stworzenie zrębów państwa polskiego — wszystko to zostało pokojowo lub zbrojnie przejęte przez samych Polaków, którym na miejscu niewątpliwie przewodził Piłsudski. Jest to oczywiście schemat nieco uproszczony, były bowiem trudności, niepowodzenia w szczegółach, dramatyczne momenty i zawody, ale w zasadzie schemat ten odpowiada rzeczywistości.

Piłsudski liczył na współdziałanie dawnych narodów pobratymczych na Ziemiach Zabrzanych, ale wtedy dopiero jak te ziemie będzie miał w ręku. Nie zamierzał bynajmniej ich anektować do Polski. Chciał stworzyć dla nich możliwość samostanowienia. Jako poważnych kandydatów na sojuszników traktował Ukraińców, którym proponował sojusz, spotykając początkowo z ich strony, z wyjątkiem nielicznych grup, przeciwnie dążenia.

W czasie rozstrzygającej walki zbrojnej z Rosją Sowiecką Ukraińcy-Petlurowcy go nie zawiedli. Walczyli wraz z polskimi wojskami aż do zawieszenia broni, a po pokoju ryskim zostali rozbrojeni i osadzeni w Szczypiornie, dawnym obozie niemieckim dla legionistów odmawiających złożenia przysięgi na wierność Niemcom. To internowanie sojuszników musiało leżeć na sercu

Piłsudskiemu. W maju 1921 roku odwiedził ten obóz, spotykany przez Ukraińców z niezmiernym wzruszeniem. Po przemówieniach powitalnych w świetlicy Piłsudski w pewnej chwili wstał z krzesła. Cisza zaległa wokoło. Piłsudski powiedział: „Ja was przepraszam, Panowie, ja was bardzo przepraszam” — i usiadł. W odpowiedzi nastąpiła prawdziwa burza entuzjazmu i wzruszenia.

Należałoby tu dodać partyzancki oddział białoruski gen. Bałachowicza, ale politycznie Białorusini byli też podzieleni. Brakowało im ogólnie uznanego przywódcy. Dłuższy opór Sowiecom stawili Białorusini za frontem polsko-sowieckim w tzw. powstaniu Śluskim. Litwini z zasady pragnęli włączyć do narodowej Litwy polsko-białoruską jej część z Wilnem. Białoruskie aspiracje krzyżowały się z litewskimi. Wszystkim brakowało przekonania że odzyskanie Ziem Zabrzanych przez wojska polskie, nie liczne i nędznie wyekwipowane, będzie faktem trwałym. Najbardziej sceptycznym elementem co do trwałości władzy polskiej na tych ziemiach byli Żydzi, najtrzeźwiej oceniający stosunek sił potencjalnych na terenie zmagania.

W konkluzji muszę na zagadnienie wysunięte przez Pana dać odpowiedź następującą: Na Wschodzie odzyskanie znacznej części Ziem Zabrzanych udało się polityce Piłsudskiego za pomocą faktów dokonanych, zajęcia Wilna i Mińska i proklamowania w obu miastach zasady samostanowienia oraz dzięki rozbiciu antypolskiej armii Petruszewicza i dzięki zawarciu sojuszu z rządem ukraińskim Petlury, a wbrew czynnemu oporowi Litwinów nie tylko przeciwko zajęciu Wilna ale i polsko-białoruskich części byłego Wielkiego Xięstwa Litewskiego.

Muszę tu zrobić dygresję na temat Litwy, która była zawsze przedmiotem szczególnych uczuć i trosk Piłsudskiego. Miał on nadzieję namówić polityków litewskich do federacji z Polską — bezskutecznie. W miarę nacisków polskich o polsko-litewskie Wilno rósł opór i nieprzyjazne uczucia Litwinów. Piłsudski stał się wrogiem Nr 1 nacjonalistów litewskich. W obszernej historii 700-lecia Litwy Piłsudski jest wspomniany tylko jako inicjator zamachu Żeligowskiego. W 1920 roku „Ten Litwin z pochodzenia — pisze historyk dr Albertas Gerutis — przeszedł całkowicie do Polaków i nienawidził państwo litewskie z pasją renegata”.

O granicę zachodnią walczyli na konferencji oprócz Polaków również Francuzi, a zwłaszcza Clemenceau, oraz niektórzy Amerykanie przeciwko Anglikom. Piłsudski wbrew zarzutom, które go spotkały ze strony endecji, nie zapominał też o granicach zachodnich. W ciągu kilku miesięcy od ustalenia granic na Kongresie Paryskim do chwili podpisania traktatu przez rząd nie-

miecki wzdłuż granicy stało w pogotowiu około 100 tysięcy wojska — wśród niego przeszło 2 tysiące francuskich oficerów i podoficerów — dla odparcia ewentualnego ataku niemieckiego.

Postulaty polskie na Wschodzie popierała tylko Francja, lecz zawsze z zastrzeżeniem praw przyszłej Rosji. Była jedynym państwem które zaopatrywało wojsko polskie w broń i ekwipunek oraz przekazało uformowaną we Francji staraniem Komitetu Narodowego armię Hallera pod rozkazy Piłsudskiego. Ameryka dopomagała jedynie ludności cywilnej w odzieży, żywności i medycynie. Wielka Brytania z reguły przeciwdziałała polskim dążeniom politycznym, zabiegom o pożyczki i o przekazanie wojsku polskiemu zdobytej na Niemcach broni i sprzętu wojennego. W tym brytyjskim punkcie rachubę Piłsudskiego na pomoc z zewnątrz spotkał największy chyba zawód. Jego wnioski okazały się błędne bo były oparte na antagonizmie z carskim Petersburgiem w południowo-wschodniej Azji. Ten antagonizm stracił już swoje napięcie w wyniku rewolucji bolszewickiej. Ujawniony dopiero później memoriał Balfoura z roku 1917 uzasadniający zbędność niepodległości Polski ze stanowiska interesów brytyjskich stał się busolą polityki Londynu w latach niepodległości.

Sz.: — *Czy więc niedocenianie wagi niepodległości Polski na Zachodzie nie tłumaczy polskiej polityki wschodniej Piłsudskiego? Czy nie było w tym szukania sojuszników tam gdzie geopolityka i historia do tego upoważniały?*

O.: — Piłsudski doktrynerem-federalistą nie był. Jego koncepcją było odtworzenie w zmodernizowanej formie dawnej Rzeczypospolitej obejmującej Polskę etniczną, Litwę etniczną oraz Białoruś, przyznając każdemu z tych narodów prawo wyboru formy swego bytu i przewidując w końcowym etapie federację ich z Polską. Piłsudski w 1922 roku nie przyjął urzędu Prezydenta, który mu proponowano, nie tylko dlatego że konstytucja uchwalona przez sejm nie dawała mu władzy, którą uważał za niezbędną dla Prezydenta. Drugą przyczyną było przekonanie, że połowiczne zwycięstwo nad Rosją, oraz pozostawienie w niej większości narodów pobratymczych, jest rozwiązaniem sprzecznym z jego wizją, nie dającym Polsce poczucia bezpieczeństwa od wschodu ani od zachodu. Po zawieszeniu broni w październiku 1920 roku, kiedy Polska święciła zwycięstwo, Piłsudski ciężko przeżywał ruinę swojej wizji. W najsroźszym kryzysie wojennym, w okresie najwyższego napięcia umysłu i charakteru, Naczelnik Państwa i Naczelnny Wódz stał się przedmiotem brudnej, nikczemnej kampanii pewnej części mieszczańsko-szlacheckiego środowiska. Jego idealistyczna wizja Rzeczypospolitej, nabyta w latach dzieciństwa i wczesnej młodości, została ciężko, nieuleczalnie zra-

niona przez zimne, wyrachowane zabójstwo pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej Gabriela Narutowicza. Gdy po wycofaniu się do Sulejówki wrócił po czterech latach do władzy, był już innym człowiekiem. Odtąd miewał wybuchy pasji, o której mógł mieć pojęcie tylko ten, kto słyszał przemówienie Marszałka w teatrze wileńskim 25 sierpnia 1923. Pozostał w nim także głęboki uraz do polskich stronnictw politycznych i opinii publicznej, które odmówiły mu poparcia w ostatnim wysiłku wojennym po bitwie nad Niemnem. Ale wróciwszy do władzy w roku 1926 Piłsudski, mimo że był ostry i czasami brutalny, odsunął od siebie gorycze niedawnej przeszłości.

Piłsudski uważał Ukrainę za decydujący czynnik w kwestii kto ma mieć przewagę we wschodniej Europie: Rzeczypospolita polsko-litewsko-białoruska w sojuszu z Ukrainą, czy Związek Sowiecki. Ukraińców uważał za dojrzałych do rządzenia się sobą. W Białorusinach i Litwinach widział nacjonalistów rozciągających swoje roszczenia terytorialne na całość ziem Wielkiego Xięstwa Litewskiego i odmawiających Polakom równorzędnej pozycji na tym terytorium. Szybko jednak uznał dojrzałość i Litwinów do własnej państwowości. Polonizować Litwy etnicznej, wbrew temu co uparczywie dotąd twierdzą Litwini, nie zamierzał, ale obszar Litwy Historycznej, który już w czasie rozbiorów, czyli podczas ucisku polskości, przylgnął do niej i to bardzo gorąco, z niewątpliwie polską od wieków ludnością Wilna, uważał za przysły kanton polski w trójkantonalnej Litwie białorusko-litewskopolskiej, połączonej z Polską pewnym związkiem umownym. Po odpadnięciu w tym planie białoruskiego kantonu wskutek podziału Białorusi przez traktat ryski w 1921 roku, koncepcja ta została przez „bunt” gen. Żeligowskiego zredukowana do zagadnienia polsko-litewskiego (Litwa Środkowa) którym zajmowała się Liga Narodów. Najbardziej konkretnie opracowanym projektem rozwiązania tego sporu był tzw. I projekt Hymansa, prezesa Rady Ligi Narodów, zaaprobowany przez rząd polski i Radę Ligi Narodów, lecz odrzucony przez rząd litewski w Kownie. O powstaniu i końcu Litwy Środkowej pisałem szczegółowiej w *Zeszytach Historycznych* z roku 1966. Z państwami bałtyckimi Piłsudski zamierzał zawrzeć jakąś formę przymierza czy konfederacji.

Sz.: — *Z tego co Pan mówi widać jak wiele czynników składało się na odrodzenie państwa polskiego. W powszechnej opinii uchodzą za najważniejsze: Sprzyjająca sytuacja międzynarodowa, zabiegi dyplomatyczne w krajach Zachodu i tzw. „dojrzałość kraju”. Wszystkie niezmiernie istotne, ale nie były one, zdaniem moim, wystarczające. Decydująco zaważył fakt powstania polskiej władzy państwowej, której podporządkowali się wszyscy*

Polacy i która była zdolna odeprzeć Rosję i określić polski do niej stosunek. To rozwiązywanie było poza zasięgiem możliwości państw Zachodu, wobec bolszewizmu bezradnych i bezsilnych.

O.: — Oczywiście że odzyskaliśmy niepodległość własnymi rękami w sprzyjającej dla nas w końcu wojny koniunkturze. Ale aby to uzasadnić muszę wejść w sferę spekulacji politycznej. Osobiście na podstawie tego co widziałem, słyszałem i czytałem doszedłem do konkluzji, że gdyby w chwili zawieszenia broni w 1918 roku pomiędzy zwycięzonymi Niemcami a rewolucyjną Rosją była w Polsce pustka wojskowa i polityczna, Rada Najwyższa upoważniłaby Niemców do pozostania na ziemiach polskich — o co zabiegał również Dmowski — aż do przyjazdu jakiejś mieszanki wojskowej państw alianckich z dowództwem głównych mocarstw, po czym dopiero armia Hallera — również pod dowództwem alianckim. Zauważmy, że tak byłoby tylko w tym wypadku, gdyby przed przybyciem alianckich organów nie powstał jakiś pozorny polski rząd komunistyczny, który by wezwał na pomoc sowieckie, i gdyby te wojska zdążyły zająć choćby część wschodnią kraju i usadowić bezpiecznie p. Marchlewskiego i towarzyszy, przy zachowaniu neutralności przez wojska i inne czynniki alianckie. Na szczęście bolszewicy nie mieli jeszcze dość sił aby próbować takiej interwencji w Polsce.

Akt dwóch państw rozbiorczych z 4. IX. 1916, proklamujący państwo polskie, był aktem rozstrzygającym o powstaniu państwa polskiego. Akt ten stworzył dokument któremu państwa koalicji antyniemieckiej również nie mogły odmówić istnienia, bowiem znalazły się wśród Polaków siły, które go uznały i zaczęły stawiać szkielet organizacji państwowej z ważnymi jej elementami. Równoległa robota Rady Regencyjnej i stworzonych przez nią organów państwowych oraz jawnej kadry wojskowej z robotą tworzenia POW przez Piłsudczyków dały możliwość Piłsudskiemu po powrocie z Magdeburga skupić w swoim ręku władzę faktyczną cywilną i wojskową, którą musieli uznać zwycięscy alianci.

Ale dlaczego wszyscy Piłsudskiemu się podporządkowali od Rady Regencyjnej do organizacji robotniczych PPS? Próby komunistów uchwycenia władzy w niektórych ośrodkach przemysłowych były słabe i upadły. Rada Regencyjna i rząd jej oraz polska kadra wojskowa, 9 tysięcy ludzi, mogły przecież odmówić oddania Piłsudskiemu władzy, gdyby jej sam zażądał. Jeśli stało się wręcz odwrotnie, to dlatego, że przywiózł on ze sobą zdobyty czynem i walką zbrojną — magnesem Polaków — autorytet, posłuszeństwo kilkunastu tysięcy paramilitarnej organizacji POW i osobisty charyzmat, przymiot nie dający się ściśle określić.

Piłsudski był sam zaskoczony tym powszechnym poddaniem się jego kierownictwu — nawet endeków. Uczyniło to na nim ogromne wrażenie i dodało mu sił i pewności siebie nie tylko na ten początek ale na długo — czemu dał wyraz w znanym przemówieniu w sali malinowej hotelu Bristol w Warszawie 3 lipca 1923 roku.

Piłsudski uważał Napoleona za największego człowieka jakiego ludzkość wydała. Otóż w swoich wspomnieniach, pisanych na wyspie św. Heleny, Napoleon pisał że przez pewien czas odczuwał wyraźnie że do tego co robił pchała go jakaś siła wyższa od jego woli i wtedy zwyciężał bez wyjątku i wszystko. Lecz w pewnej chwili poczuł, że ta siła go opuściła i zaczął robić błędy i przegrywać. Piłsudski oczywiście znał ten fragment i przywiązywał doń wagę. Z pierwszych dwóch listów do Sosnkowskiego z frontu ukraińskiego 1920 roku można przypuszczać, że fragment ten mu się przypominał. Gdy brytyjski generał Carton de Wiart spytał Piłsudskiego po odwróceniu spod Kijowa dlaczego zdecydował się na tak ryzykowny plan, Piłsudski odpowiedział: „Wierzyłem w swoją gwiazdę która do tego czasu mi towarzyszyła”.

Sz.: — Nawet 60 lat później przeprowadzona przez Kulturę ankieta wykazała m.in., że spośród wybitnych Polaków najbardziej fascynuje młode pokolenie osoba Piłsudskiego. Jak Pan to tłumaczy? W czym Pan widzi aktualność Piłsudskiego? Czy sądzi Pan, że Polacy lepiej go rozumieją dziś z historycznej perspektywy lat i doświadczeń?

O.: — Ankieta Kultury, o której Pan wspominał, jest kapitalnym, pionierskim pomysłem redaktora Giedroycia. Należy się jemu i tym którzy z nim współpracowali w jej zrealizowaniu wdzięczność i pochwała. Oprócz ciekawej hierarchii „fascynujących” postaci w oczach „młodzieży” od 15 do 40 lat, ankieta daje obraz widzenia świata i współczesnej Polski, upodobań i dążeń ideowo-politycznych średniego i młodego pokolenia. Gdyby ktoś przewidujący losy naszej emigracji i jej długich lat podjął taką inicjatywę w latach 50-tych i ponawiał ją co lat 10, posiadlibyśmy niezmiernie cenny materiał do oceny ewolucji naszej już i zachodzącej w pokoleniach wojennych i powojennych Polaków w różnych krajach emigracji. Niestety, trzeba to powiedzieć bez ogródek, że nasze siły, energia i środki zostały zużyte na czynności formalne, „burze w szklance wody” wewnątrz emigracji — zmarnowane.

Co rzekłszy, bez żółci, odpowiadam krótko na Pana pytanie. Wydaje mi się, że odpowiedź jest bardzo prosta. Jako najbar-

dziei „fascynująca” postać we współczesnej historii polskiej wymieniony został Piłsudski. O przyczynach tego zjawiska mówiłem już poprzednio. Dodam jeszcze że w XIX wieku wysunęły się na czoło — „postacie historyczne”: Kościuszko, Poniatowski, Dąbrowski, Traugutt. Ani Adam Czartoryski, ani Lelewel, ani Worcell, tym mniej Wielopolski; wszyscy oni swoją grę przegrali. Ale gloria otacza jedynie nazwiska tych, którzy walczyli zbrojnie. Tylko Piłsudski ją wygrał — przynajmniej w oczach większości narodu. Jeżeli więc przegrani wodzowie urodli na bohaterów narodowych, nie ma nic dziwnego że Piłsudski, wódz i polityk zwycięski, jest w oczach młodzieży pierwszą postacią historyczną. Dzieło jego życia upadło bez jego udziału.

Mówi Pan również o „rozumieniu” Piłsudskiego przez Polaków. Według mego zdania żołnierz nie potrzebuje rozumieć co i jak dowódca planuje. Wystarczy że ufa, jest posłuszny i wierny. Masa Polaków wierzyła że Piłsudski chce odzyskać niepodległość i odbudować nowoczesne i demokratyczne państwo. Nawet członkowie jego sztabu nie znali dokładnie jego koncepcji na Wschodzie i Zachodzie. Ale ufali w jego geniusz i szli za nim. Kto zna dokładniej dzieje wielkich wodzów, przekona się że Piłsudski w swej metodzie szedł ich śladem. Sądzę jednak że gdyby respondentom ankiety była znana praca prof. Wacława Jędrzejewicza „Kronika Życia Józefa Piłsudskiego” dająca niekompletny przebieg jego życia i działania bez oceny autora, liczba głosów wysuwających Piłsudskiego na czoło „fascynujących postaci” byłaby wzrosła.

Dalsze opowiedzi ankiety wskazują na ogół na to, że następne pokolenie powstałe po drugiej wojnie światowej emigracji polskiej w spojrzeniu na świat — mimo jego odmienności — nie o wiele odbiega od oceny swoich ojców i dziadów. Znaczenie ankiety widzę w tym, że daje ona jeżeli nie autentyczny to w każdym razie symptomatyczny obraz poglądów powojennego pokolenia na bieżące zagadnienia i wnioski co do najbliższej przyszłości. Szczególnie ważny jest stosunek respondentów do naszych wielkich sąsiadów, Niemiec i Rosji. Do Rosji — negatywny (68 %), ale w przyszłości może być pozytywny (42,3 %); do Niemiec — negatywny (38 %), ale w przyszłości może być pozytywny (52 %); do władz legalnych w Londynie: obojętny (53,1 %), niechętny (25 %), życzliwy (22 %). *Sapienti sat.*

Sz.: — Uderza Pana w wynikach ankiety ciągłość historycznego myślenia. Tak, Polacy wykazują niezwykle silną świadomość swojej 1000-letniej historii i historyzm jest jak gdyby charakterystyczną cechą polskiego myślenia politycznego. Dla Polaków historia jest nie tylko nauką ale też instrumentem walki. Ale

czy polska myśl polityczna może żywić się przestankami historii wtedy kiedy w świecie dzisiejszym jest tyle innych czynników decydujących o współżyciu narodów?

O.: — Nie dziwię się, że historia tkwi szczególnie głęboko w świadomości narodowej Polaków. Tym bardziej że musi ich gryźć rażący kontrast pomiędzy „dawnymi a nowymi laty”. Rzeczpospolita była kiedyś we wschodniej Europie mocarstwem. Odparła próby Szwedów, Turków i Tatarów podbicia jej. Była wielka choć biedna, wysadzała się ponad stan, imponowała cudzoziemcom splendorem, lecz nie rosła w sile, jak jej mniejsi początkowo sąsiedzi. Brak silnej władzy i woli politycznej nie mógł sprostać agresywnej, skoncentrowanej w jednym ręku polityce Rosji. Los zrzucił, że od XV wieku kierowali Rosją samowładnie ludzie silnej ręki, bezwzględnie usuwający z drogi rywali i nieposłuszne książątka.

W 300-letniej rywalizacji Rzeczpospolita uległa w końcu „samodzierzawiu”, z którym jej czynna część narodu toczyła nadal trzykrotnie walkę powstańczą aż do roku 1863. Cały ten prawie 900-letni okres historii był przedstawiany w podręcznikach, literaturze, poezji i tradycji w sposób apologetyczny, omijając lub pomniejszając wszystko co nie godziło się z tym przeidealizowanym obrazem. Kontrast pomiędzy dawną wielkością a poniżeniem trzech rozbiorów wrosł głęboko w psychikę polską. Przyszła potem epopea napoleońska, która rozniosła imię i sławę wojenną Polaków po całej Europie, sięgnęła do Ameryki Północnej, zrodziła moc legend o czynach polskich, ale uratowała tylko okaleczony kadłub dawnej Rzeczpospolitej. Na krótko, bo płomień uczuć nie był zgrany z żadną strategią.

Historia Rzeczpospolitej w okresie porozbiorowym weszła do świadomości młodych jako pasmo czynów heroicznych, a postacie dramatu — jako jasne jak śnieg lub ciemne jak noc. Historia wewnętrzna i dyplomatyczna Rzeczpospolitej była w zaniechaniu, a dzieje społeczne Polski — wydawane dopiero w XX-leciu — niepopularne.

Wręcz zdumiewający jest w ciągu całej pojagiellońskiej Rzeczpospolitej brak zainteresowania całym kompleksem spraw gospodarczych i finansowych, w szczególności przemysłem i ekspansją handlową. Zapewne był to skutek degradacji przez masę szlachecką przemysłu, handlu i rękodzieła jako zawodów niegodnych szlachcica i wykonywanych przez „podlejsze nacje” — Żydów, Niemców, Ormian, Greków itp. Szczątki tej fanfarońskiej tradycji zachowały się aż do końca Drugiej Rzeczpospolitej. Raporty ekspertów amerykańskich, angielskich i innych — wysyłanych do Polski dla zbadania warunków udzielenia większych pożyczek

— dają obraz nędzy i rozpaczy. Dopiero polityka Kwiatkowskiego poprawiła nieco opinię państw zachodnich o gospodarce polskiej. Gdyby nie pewne zdolności propagandowe Kwiatkowskiego, zainteresowanie Polską w opinii publicznej byłoby minimalne. Odgłosem tej niepopularności spraw życia gospodarczego w PRL jest brak tego tematu w wypowiedziach i dyskusjach opozycjonistów krajowych, oraz w jawnej ich prasie. Proszę dla przykładu przeczytać dyskusję ich wydrukowaną w miesięczniku *Znak* Nr 292-293 z 1978 roku oraz artykuł B. Cywińskiego „Doświadczenie sześciu pokoleń” w tymże numerze *Znaku*.

Jedynie w okresie pozytywizmu i pracy organicznej znajomość krytyczna historii polskiej, jej dekoloryzacja i zbliżenie do autentyku poczyniły znaczne postępy. Ale już następnym pokoleniem młodzieży owładnęła ponownie legenda czynu zbrojnego. Horyzont międzynarodowy zdawał się otwierać perspektywy na konflikt pomiędzy zaborcami. Na tę koniunkturę postawił Piłsudski cały plan swojej akcji tworzenia polskich sił paramilitarnych. Tak więc oprócz czynnika historycznego oraz układu sił politycznych inne czynniki, które by w analogicznym wypadku odgrywały rolę w Zachodniej Europie, przede wszystkim gospodarczy — w rozważaniach Piłsudskiego i jego całego obozu w okresie walki o niepodległość nie miały decydującego znaczenia — oprócz jednak zagadnień socjalnych.

Sądzę, że młodzież polska wykształcona na emigracji, jeśli będzie się interesować sprawą polską, może wnieść do myśli politycznej to, co jest w niej niedocenione, a co najmniej zachęcić do tego swoich rówieśników w kraju. Historyzm ponad miarę może nadać myśli politycznej w kraju cechy anachroniczne.

Sz.: — Przejdźmy więc teraz do zagadnień międzynarodowych, które stały podczas XX-lecia przed Polską i w znacznie zmienionej formie stoją dziś. W latach niepodległości, kiedy Zachód Europy umożliwiał Niemcom ich systematyczne dozbrajanie się, polityka polska obrała drogę utrzymywania możliwie dobrych stosunków z obu wielkimi sąsiadami i nie sprzymierzania się z jednym przeciwko drugiemu. Jednocześnie chodziło o utrzymanie niezależności od obu sąsiadów. Ten układ rzeczy minął. Trzeba szukać nowych dróg do odzyskania woności i bezpieczeństwa.

O.: — Tak, wszystko dokoła Polski podupadło z wyjątkiem Rosji, która dominuje nad całą Europą środkowo-wschodnią. Piłsudski gdy był u władzy zalecał jednakowo poprawny stosunek do obydwu podówczas wielkich sąsiadów — Niemiec i Rosji, ale dopiero wtedy kiedy przekonał się że jego sondaż co do

ustabilizowania granic wersalskich natrafiają w Weimarskiej Republice na pozycje rewizjonistyczne w stosunku do nowej Polski wszystkich stronnictw niemieckich, rządu i wojska. Koncepcja Piłsudskiego odtworzenia zmodernizowanej Litwy Historycznej napotykała z reguły na przeciwdziałanie rządów Republiki Weimarskiej. Poprawny stosunek rządu polskiego i jego organów do Rosji Sowieckiej nie mógł oczywiście odmienić na poczekaniu ani wzajemnych rzeczywistych uczuć dwóch historycznych wrogów, ani rozbudzić po obu stronach ufności w pozorną zmianę *ad hoc* tych uczuć. Nie było więc innego wyjścia, jak równowaga wobec wielkich i nieprzyjaznych sąsiadów.

W okresie kiedy Piłsudski nie był u władzy nikt z polskich ministrów spraw zagranicznych nie kontynuował sondażu niemieckich Marszałka. Ale po powrocie do władzy Piłsudski ponowił je w sposób zawołowany już w roku 1927. Jako Prezes Rady Ministrów, pod pretekstem dokonania próby zakończenia sporu z Litwą pojechał do Genewy na posiedzenie Rady Ligi Narodów aby spotkać się ze Stresemannem. Są dwie notatki z tej rozmowy: Becka ze słów Piłsudskiego i własna Stresemanna, z których wynika że sprawy, o którą Piłsudskiemu chodziło, Stresemann nie podjął. Istnieje sporo innych dokumentów pośrednio wskazujących że brak bezpośredniego porozumienia polsko-niemieckiego akceptującego obustronnie sprawy terytorialne wzbudzał obawy Piłsudskiego i że dążył on już przed dojściem Hitlera do władzy do dwustronnego porozumienia w tej sprawie. Jeden z takich dokumentów — co prawda niepewnych — ogłosił prof. Wandycz w Nr. XI *Niepodległości*. Ta obawa jest charakterystyczna dla intuicji Piłsudskiego, który nie miał zaufania dla wszelkich zbiorowych gwarancji dawanych przez państwa niezainteresowane.

Po drugiej wojnie światowej układ sił w środkowo-wschodniej Europie zmienił się radykalnie. Nad podzielonymi Niemcami, których jedna trzecia ma status satelity Moskwy, ciąży ogromny maszyn totalitarnego, agresywnego i nuklearnego supermocarstwa. RFN jest w pierwszej linii zagrożenia, nie posiada broni nuklearnej. Gwarancją bezpieczeństwa RFN jest NATO, w istocie zaś USA, drugie supermocarstwo nuklearne, ale oddalone o 7.000 km od RFN.

W najżywotniejszym interesie RFN leży aby siły USA nie zostały rozproszone po świecie w obronie interesów kapitału USA, oraz aby Moskwa nie była pewna wierności swoich satelitów w razie agresji przeciwko Amerykanom i Europejczykom, broniącym wolnej Europy. Każdej Polsce, nawet obecnej, musi zależeć na tym aby ewentualne starcie nuklearne pomiędzy Blo-

kiem Wschodnim a NATO nie nastąpiło na terytorium tzw. „Szarej Zony” NATO, do której wchodzi niewątpliwie Niemcy Wschodnie, Polska i Czechosłowacja, a może i Węgry oraz ziemie dawnej Rzeczypospolitej. W tym punkcie zachodzi więc całkowita zgodność żywotnych interesów Polaków, Niemców, Czechów i Słowaków. W każdym wypadku, czy to skutecznej obrony przed naruszeniem tej zony, czy po jej zniszczeniu, wspólny los będzie udziałem Polaków i Niemców i zadatkim ich wspólnego wysiłku dla przeżycia i odbudowy.

Solidarność żywego interesu — przeżycia! — może stać się punktem wyjścia dla psychologicznego procesu uświadomienia sobie tego faktu i wyciągnięcia z niego logicznych konsekwencji. Innymi słowy, wspólne zagrożenie przez Sowiety „Szarej Zony” powinno się stać bodźcem do zbliżenia w wielu stycznych punktach życia narodów tej zony, niezależnie od narzuconych im form.

Są oznaki, że ta konieczność zaczyna przenikać do nowych pokoleń polskich i niemieckich. Uważny obserwator i czytelnik prasy międzynarodowej i literatury politycznej zauważy to bez trudu, mimo że prasa polska jest skłonna do przemilczania tych faktów.

Nie ma w dzisiejszym świecie nic pewnego. A więc i ten słaby jeszcze prąd może wyschnąć lub zmienić swój bieg. Jest to tylko wizja wiodąca ku lepszej, być może dalekiej, przyszłości. Ale ta wizja wzbudza zaufanie, bo nie jest oparta na sile i konfrontacji, lecz na porozumieniu i współdziałaniu. Ale dopóki w Europie żyje silna choć rozproszona wola oporu przeciwko agresywnemu totalizmowi sowieckiemu i parciu na Zachód, potencjalne siły znajdujące się w tej „Szarej Zonie” i dokoła niej, co prof. Swaniewicz nazywa „Zoną Przyjaźni” — powinny pogrzebać remanenty przeszłości i znaleźć wspólne hasło na dziś i jutro.

Mam tu na myśli przede wszystkim młode pokolenia w kraju, które są bardziej powiązane tysiącnymi nićmi z życiem swego wciąż odmładzającego się społeczeństwa. Na emigracji jest ono zasklepione w tym samym starzejącym się, zagniecionym wojną środowisku polskim i żyje w gruncie rzeczy wśród obcych i ich dążeń i interesów. Toteż poglądy młodzieży wyrosłej na obczyźnie nie są przeciętnie tak autentyczne w odniesieniu do zagadnień sąsiedzkich, jak młodzieży krajowej.

Sz.: — *Polak który widzi kształt państwowości polskiej w formie wielokulturowej Rzeczypospolitej rozumuje że taka państwowość poszerzona stwarza lepsze warunki bezpieczeństwa Polski i stabilizacji politycznej w Europie. Alternatywą tej koncepcji*

jest państwo w granicach etnicznych uzasadnione postulatem narodowego samostanowienia. Czy doświadczenia polskie wykazują, że da się ono utrzymać nie w roli satelity Rosji lub Niemiec?

O.: — Należałem kiedyś przed pierwszą wojną światową do Polaków, którzy myśleli kategoriami niemal wyłącznie historycznymi i romantycznymi. Zdawało się moim przyjaciołom wileńskim i mnie, że w czasie destabilizacji lub rozpadu trzech naszych rozbiorców Polska staje się ważnym elementem siły i porządku na tym obszarze (*Ordnungsmacht*) i dlatego należałem do obozu Piłsudskiego w którym widziałem przywódcę ruchu dążącego do zrealizowania tej koncepcji. Po drugiej wojnie dążenia emancypujących się narodów w Europie i w innych częściach świata starały się usamodzielnąć w granicach rzekomo etnograficznych, z reguły rozszerzanych na ziemie sąsiadów wywołując tym konflikty pomiędzy sobą.

Ponieważ mamy na myśli obszar dawnej Rzeczypospolitej, powiedzmy więc od razu parę prawd nie owijając ich w bawełnę. Koncepcja Rzeczypospolitej wielokulturowej upadła z chwilą kiedy element polski nie zdołał w rywalizacji z Rosją odzyskać swej pozycji na tym obszarze i w wyniku przegranej w 1945 roku wojny wyprowadził się z tego obszaru dobrowolnie czy przymusowo. Jednocześnie narody pobratymcze zostały na miejscu i mając możliwość rozwoju swojej kultury choćby w wydaniu komunistycznym, dążą do oderwania się od Rosji w postaci państw narodowych. Te kapitalne zmiany w geopolitycznym ukształtowaniu obszarów wschodnich Drugiej Rzeczypospolitej trafnie ocenił jako nieodmienne i wyciągnął z tego faktu należyte konsekwencje w swojej publicystyce w *Kulturze* Juliusz Mieroszewski. Wtórowałem mu czasami w Radzie Narodowej i w *Pamiętniku Wileńskim*.

Dopóki Polska sama nie jest wolnym państwem, silnym i bezpiecznym, sądzę że żaden z pobratymczych narodów nie będzie dążył do łączenia się z nią w jakimś wspólnym związku. Nie ma więc obecnie realnych szans na to co Pan nazwał „państwowością wielokulturową”. Nie widzę wśród sąsiadów kandydatów do takiego statusu państwowego. Prócz nas, Polaków, jedynie Ukraińcy — nie wszyscy — okazują chęć zawarcia trwałego sojuszu z wolną Polską. Białorusini i Litwini nie zdradzają takich tendencji. Przy tym Litwinów zajmuje bardziej przeszłość sto-sunków polsko-litewskich niż przyszłość. Można by tu powiedzieć, że bardziej przeżycie narodu i kultury niż państwa.

Jesteśmy w tej sprawie niepoprawnymi optymistami. Psychologia ludzi dawnej Rzeczypospolitej ulotniła się po powstaniu 1863 roku i w okresie pozytywizmu. W czasie międzywojnia

była jeszcze żywa, ale raczej jako zabytek. Uczucia obustronne Polaków i pobratymców grały na nutę nacjonalizmu i maksymalizmu. Masa polska, a nawet socjaliści spod znaku PPS byli w głębi duszy *pur sang* narodowcami, mimo swej animozji do endecji.

Rozważając z pozycji dzisiejszego stanu rzeczy, istnieje — moim zdaniem — jedna tylko możliwość stworzenia — nie z tytułu historycznych, lecz współczesnych interesów i nie za pomocą unii, lecz bilateralnych raczej lub multilateralnych umów lub sojuszu, dobrowolnego porozumienia Polaków, Białorusinów, Litwinów i Ukraińców. Mogłoby to oczywiście nastąpić tylko w razie odzyskania przez Litwinów, Białorusinów i Ukraińców prawa własnego wyboru, czyli po rozpadzie lub upadku Związku Sowieckiego, przy tym o ile ten wybór ich wypadłby na korzyść zbliżenia z Polską. W ramach dziś żyjących pokoleń nie jestem optymistą co do tego wyboru, a zaglądać w dalszą przyszłość byłoby już czystą spekulacją.

Wychodzimy z założenia, że naród polski pragnie zachować swoją osobowość narodową i cywilizacyjną. Jeśli tak jest, powinien mieć na oku wejście poprzez większe kompleksy do grona narodów europejskich, mających te same korzenie cywilizacyjne. Dla Białorusinów i Ukraińców ten problem będzie o wiele trudniejszy do rozwiązania.

Sz.: — Wspominał mi Pan niejednokrotnie, że Polacy w gruncie rzeczy słabo się orientują w sprawach rosyjskich zarówno w historii Rosji jak też w jej cywilizacji i polityce. Jest to poważny zarzut bo przecież przyszłość Polski zależy od przemian w Rosji. Setki tysięcy Polaków poznało Rosję z własnego doświadczenia w czasie ostatniej wojny. Krzywdy osobiste i odebranie niepodległości ojczyźnie mogły stworzyć barierę nawet nienawiści, co nie sprzyja procesom poznawczym i obiektywnym sądom. Ale Polacy muszą jak najpilniej śledzić rozwój wewnętrznych wydarzeń w Rosji i starać się zrozumieć motywy i cele skierowanej przeciwko nim polityki Moskwy. To jest warunek skutecznego jej przeciwdziałania. Czy zdaniem Pana istnieje możliwość doprowadzenia stosunków polsko-rosyjskich, jako dwóch suwerennych państw, do poprawnego sąsiedztwa?

O.: — Tym pytaniem dotyka Pan tematu niezmiernie ważnego a zarazem bardzo bolesnego dla każdego myślącego politycznie Polaka. Jak je zmieścić w ramach krótkiej wypowiedzi? Problem Rosji i stosunków polsko-rosyjskich w przeszłości i teraźniejszości — to dla Polaków trzęsawisko uczuć, w którym myśl polityczna natychmiast grzęźnie.

Zdziwiłem się gdy w bardzo ciekawej zresztą książce publi-

cysty krajowego, Marcina Króla, która ukazała się w Paryżu, przeczytałem że ewangelią wiedzy o Rosji jednej z najbardziej inteligentnych grup politycznych w niepodległej Polsce *Bunt Młodych*, a potem *Polityka*, był wielki pamflet Jana Kucharzewskiego „Od Białego Caratu do Czerwonego”. Czyżby członkowie tej grupy nie znali znakomitych pism na temat Rosji Aleksandra Brücknera, Mariana Zdziechowskiego, Włodzimierza Spasowicza, Szymona Askenazego, Wacława Lednickiego, a z Rosjan Wasyla Kluczewskiego, Sergiusza Sołowjowa, Michała Pogodina a jeśli nie znali języka rosyjskiego przynajmniej Aleksandra Hercena, w przekładzie polskim? Jak można myśleć politycznie o Rosji i stosunkach polsko-rosyjskich, nie znając dzieł tych autorów, nie mówiąc już o rusycystyce niemieckiej.

A jednak czyż nie jest paradoksem, że naród rządzący największym w świecie obszarem, stopiony z różnych pierwiastków etnicznych, ale opanowany przez jedną odrębną cywilizację, po zniszczeniu w XII wieku swego rywala — Rusi Kijowskiej, w nieustannym morderczym boju z sąsiednimi plemionami otaczającymi małe jego księstwo moskiewskie, rozszerzający stale jego granice a potem wpatrzony w swój wieloprzestrzenny mit, w początkach swoich o bardzo niskiej kulturze lecz silnym zmysłem politycznym; naród akceptujący bez szemrania kondycję pierwotną, *de facto* i *de iure* pozbawiony praw obywatelskich a nawet ludzkich, poddany całkowicie woli swego *hosudara*; naród dynamiczny, zachłanny, oscylujący pomiędzy dobroduszością a okrucieństwem; naród który w ciągu 500 lat w imię swego bezpieczeństwa podbił i zasymilował przeszło tysiąc różnych półdzikich plemion, wprowadzając ich władców do swej arystokracji i w ten sposób obcinając głowy potencjalnych rebelii; naród dumny wobec obcych, a zarazem korzący się przed swoim jedynowładcą; czyż nie jest to — powtarzam — paradoksem, że ten wielki naród, niewątpliwy i dziś władca Związku Sowieckiego mimo jego wieloplemienności, od początku XVII wieku ciążyący nad Polską, wreszcie w ciągu 150 lat — z przerwą 20-letnią — bezpośrednio decydujący o losach Polski, jest Polakom w kraju i w diasporze nieznanym i nierozumianym, wywołujący w nich tylko uczucia obawy i niechęci?

Już przed i w czasie XX-lecia niepodległości niektórzy wybitni uczeni i politycy polscy, Brückner, Piltz, Lednicki i inni nawoływali inteligencję polską do pilnego studiowania Rosji, tworząc tak odrębny w swej historii, psychice i cywilizacji, a zarazem niebezpieczny i rozszerzający obszar swej władzy. Lecz młodzież polska w Krakowie zbojkotowała katedrę rusycystyki, którą chciał stworzyć Marian Zdziechowski i ogłosiła go rusofilem — z motywów patriotycznych.

A przecież nie tylko teraz, kiedy Polska jest od Rosji uzależniona, ale i w warunkach XX-lecia kiedy z nią się stykała, odczuwała ciężar jej sąsiedztwa. I nawet w razie oderwania się Ukrainy, Białorusi i narodów bałtyckich polska racja stanu i po prostu zdrowy rozsądek wymaga jak najgłębszej znajomości ducha i psychiki tego narodu, bodźców i celów jego polityki. Od dawna jestem pewien że tylko na podstawie takiej znajomości można trafnie określać własne postępowanie i szukać dróg do obrony polskich interesów przed jego naporem.

W polityce obowiązują podobne zasady co w wojsku: jak najlepsza znajomość przeciwnika, jego sił, planów i dyspozycji jako ważne wymogi każdego dowództwa. U nas ta elementarna prawda jest bardzo często łamana, zniekształcana lub lekceważona. Naturalnie jest to skutek nagromadzenia się ujemnych uczuć względem sąsiada który przemocą — co zademonstrował od końca drugiej wojny światowej we wszystkich częściach świata prócz Australii — narzuca zwierzchnią władzę i swój ustrój społeczny, groźbą przemocy wymuszając zgodę sfałszowanego „przedstawicielstwa narodowego”. Tego przeciwnika, zdaje się, prędko nie pozbedziemy się. Trzeba więc znać i rozumieć pobudki i cele jego polityki. Inaczej myślenie polityczne o nim będzie niemożliwe — albo błędne.

Ziemie ruskie i ukraińskie Wielkiego Xięstwa Litewskiego były zawsze uważane przez Rosjan za przynależne do Rosji, lecz przez Polskę zagarnięte na podstawie wymuszonych umów i traktatów. Idea opanowania Korony a więc całości Rzeczypospolitej pojawiła się w raporcie pierwszego szefa dyplomacji moskiewskiej bojaryna Ordina-Naszcakina dla cara Aleksego, drugiego z domu Romanowych. W rozejmie Andruszowskim, potwierdzonym ze zmianami w 1686 roku, car uzyskał m.in. na okres stu lat prawo ingerowania w sprawy Cerkwi Prawosławnej i jej wyznawców w Polsce. Rzeczypospolita weszła nieopatrnie na tor, który doprowadził ją do rozbiorów, wbrew staraniom szefa dyplomacji Katarzyny II hr. Panina, który usiłował wziąć pod skrzydła dwugłowego orła całą Rzeczypospolitą.

Temu strategicznemu planowi Rosji, z którego ona nigdy nie zrezygnowała, sprzeciwiały się w czasie rozbiorów i w XIX wieku mocarstwa zachodnioeuropejskie. Ale w 1945 roku, zmęczone wojną, ułękły się wyzwania Stalina i ustąpiły jego żądaniom. O ustępstwie przesądził prezydent USA F. Roosevelt, pokładający zaufanie w stalinowskich obietnicach, poczynionych w złej wierze. W ciągu XVIII, XIX i XX wieku wszyscy tradycyjni wrogowie Rosji — Szwedzi, Tatarzy, Turcy i Polacy zostali pokonani. Trzej pierwsi wycofali się z gry, Polacy zagrożeni utratą nie tylko wol-

ności ale i tożsamości narodowej nie przestali dążyć do odbudowania Rzeczypospolitej, urządzając trzy powstania i nieustannie prowadząc irredentę polityczno-kulturalną.

W oczach Rosji położyło temu kres zwycięstwo nad Hitlerem i rewolucja prokomunistyczna (za pomocą terroru) w krajach satelickich. Tak rozpoczęła się w roku 1945 nowa faza nierozwiązanego wciąż konfliktu polsko-rosyjskiego, być może najtrudniejsza dla Polaków.

Wstąpiły w nią żyjące obecnie w podległej ojczyźnie i w wolnym świecie nowe ich pokolenia, do których należy obecnie wybór dróg prowadzących — być może etapami — do niezmiennego celu.

Nie wątpię, że te nowe pokolenia, po ochłonięciu z niespodziewanej utraty niepodległego państwa, podejmą znów walkę o wolność. Czegóż bym miał im życzyć? Nam to znaczy pokoleniom Drugiej Rzeczypospolitej dane było przeżyć najpiękniejszą, niezapomnianą młodość naszego życia. Żadne z porzoborowych pokoleń takiej młodości nie zaznało. Ale zostawiamy naszym następcom ruinę, — ruinę naszych marzeń, dumy i nadziei. Czy jest w tym czyjaś wina i na kogo ona spada — to przyszłość osądzi. Niechże nowe pokolenia obróć się ku przyszłości, przyszłości na pierwszy rzut oka beznadziejnej, niech przestaną budować nowe legendy, gloryfikować błędy i obchodzić klęski. Niech porzucą nawyk samouwielbienia i cierpiętnictwa. Niech staną się rozważni, twardzi, wytrwali i mężni. Niech dojrzejże całkowicie w ich umysłach, że na obranej drodze nigdy nie ominą Rosji, takiej czy innej, ale zawsze obecnej.

Oby ustrzegli się dawnych błędów i przede wszystkim poznali swego przeciwnika do szpiku kości, jak to uczynili Rosjanie w wieku XIII i XIV, zrzucając jarzmo tatarskie za pomocą jego własnej broni; aby odrzucili błyskotki i fajerwerki, lecz umocnili w sobie prawdziwe wartości polskiego ducha i polskiej kultury; aby szukali sprzymierzeńców nie za morzami i pustyniami lecz dokoła siebie, wśród tych, z którymi łączy ich ten sam cel obrony swej kulturalno-narodowej osobowości, i jej naturalnego prawa samostanowienia; aby nie nosili się wobec nich ze swoją wyższością kulturalną, lecz szukali z nimi zbliżenia, porozumienia, przyjaźni i koleżeństwa w walce; a w końcu aby pamiętali że owocna walka, czy wojskowa czy polityczna, wymaga planu strategicznego i dowództwa znającego przeciwnika na wylot.

Toczy się obecnie w polskiej wolnej literaturze politycznej (niestety nie w naszym ośrodku londyńskim) dyskusja na temat wyboru drogi do niepodległości: idealizm czy realizm, albo romantyzm czy pozytywizm. Jak słusznie zauważył prof. Wandycz (Nr 51 *Zeszytów Historycznych*), oba te pojęcia nie występują

prawie nigdy w czystej formie. Idzie więc o to, ażeby w każdym wyborze przeważał kierunek który ma poważne i większe od drugiego szanse. Gdy się obecnie mówi lub pisze, wybór ten dotyczy przede wszystkim polityki polskiej wobec Rosji i Niemiec, ale niestety dominują w nim bodźce uczuciowe.

Ani idealizm ani realizm, jak również ani romantyzm ani pozytywizm nie powinny być drogowskazem *stałym* przy jego wyborze. Wybór ten powinien być dostosowany do koniunktury, do układu sił i ich tendencji. Hasło „wszystko albo nic” należy do literatury.

Sz.: — *Podzielał apel Pana skierowany do nowych pokoleń. Życie ich przypada na okres wielkiej niestałości stosunków w świecie. Dla Polaków możliwość skutecznego politycznego działania jest bardzo ograniczona: na wewnątrz przez niewolę narzuconego systemu sowieckiego, na zewnątrz przez niekorzystny układ sił międzynarodowych. Ale stosunki międzynarodowe są z natury swojej zjawiskiem dynamicznym i liczenie na zmianę leży w sferze realnych przewidywań, chociaż na realizację ich wypadłoby zapewne czekać długo. Polacy w kraju muszą już teraz wybrać dla siebie jakąś postawę. Czy nie przychodzi na myśl działanie Polaków pod zaborami?*

Niemożliwość bezpośredniego działania politycznego wytworzyła wtedy *modus vivendi* — legalizm taktyczny nie kapitulacyjny — ujęty w program pozytywnej pracy dla rozwoju samowystarczalnej siły gospodarczej i kulturalnej mających podbudować polityczną niepodległość w przyszłości. Program ten był wynikiem przemyślenia i miał świadomość moralną i polityczną wypływającą ze zrozumienia, że niewolę pokonuje się własnym wysiłkiem wewnętrznym. Dziś tak się układają stosunki że *modus vivendi* wypływa raczej z doraźnej konieczności utrzymania osobistej egzystencji a tworzenie zbiorowej świadomości moralnej i politycznej w społeczeństwie pod władzą totalitarną jest trudne. A jednak tworzą się zespoły walczące o wolność jednostki i społeczeństwa. Wielką rolę spełnia tu Kościół w dziedzinie kształtowania świadomości moralnej oraz implicite politycznej. Są to dwie świadomości niezbędne, bez których życie zarówno w kraju jak i na emigracji jest zupełnie pozbawione głębszych treści i sprowadza się — i tu i tam — do zagadnień czysto bytowych. Jak Pan widzi sytuację Polski na tle międzynarodowym i jak działać w kraju z wizją przyszłości?

O.: — Dysponuję tylko ogólnie dostępnym materiałem informacyjnym, nie mogę więc porywać się na wyczerpującą odpowiedź. Muszę się ograniczyć do nakreślenia w grubych liniach jak dzisiejszy świat rozumiem i co o jego najbliższej przyszłości sądzę

— w szczególności w odniesieniu do naszej ojczyzny. Od czego zacząć?

Dominuje nad całym światem rywalizacja amerykańsko-sowiecka, od której losy tego świata — a więc i Polski — zależą. Konflikty pomiędzy tymi supermocarstwami powstają od czasu do czasu. Obecny, afgański, należy do najgroźniejszych. Przedejściela te konflikty coś w rodzaju kooperacji umownej (*détente*, SALT I). Nie ma między nimi waśni; łączyła je od chwili powstania Stanów Zjednoczonych sympatia uczuciowa i polityczna aż do rewolucji październikowej 1917 roku w Rosji. W roku 1863 Waszyngton odmówił podpisania razem z mocarstwami europejskimi deklaracji wyrażającej sympatie dla Powstania 1863 roku. Nie sądzę aby obecnie Waszyngton lub Moskwa chciały odnieść trwałe i pełne zwycięstwo nad przeciwnikiem za pomocą, jak dawniej, wojny. Ale sama dynamika łańcucha wydarzeń niezamierzonych może, wbrew zamiarom rywali, doprowadzić do hekatomby nuklearnej.

Geopolityczne położenie Polski jest bardzo niepomysłne — wewnątrz strefy przyznanej w Jałcie w 1945 roku przez zwycięzców: Roosevelta, Churchilla i Stalina Związkowi Sowieckiemu i całkowicie poddanej jego władzy. Ogromna większość nas, polskich emigrantów, należy do świata przewodzonego przez USA, kraju wielonarodowego o jednej kulturze (w tym podobny do Związku Sowieckiego) hołdującego zasadzie nieograniczonej wolności człowieka. Kraj ten od 35 lat znajduje się w defensywnej postawie, zmiennej pod względem napięcia rywalizacji ze swoim sojusznikiem z czasu drugiej wojny światowej, mocarstwem komunistycznym i totalistycznym, prowadzącym politykę ofensywną, lecz czasem pozorującą kooperację. Złudzie takiej kooperacji w złej woli uległ w końcu drugiej wojny światowej prezydent Roosevelt. Skutkiem tego było rozszerzenie władzy Związku Sowieckiego na państwa środkowo-wschodniej Europy łącznie z Polską, podział Rzeszy Niemieckiej i stworzenie z wschodniej jej części szóstego państwa komunistycznego i satelickiego. Trzy państwa bałtyckie zostały anektowane w 1940 roku przez Sowiety, ale ta aneksja nie została przez państwa zachodnie uznana. Ten status Polski trwa bez zmiany lat 35. Legalność tych nabytków Związku Sowieckiego została potwierdzona przez obie strony — Wschód i Zachód — w deklaracji „Konferencji Bezpieczeństwa Europy i Współpracy” w Helsinkach w 1975 roku.

W roku 1945 po konferencji 3-ch zwycięzców w Jałcie, Churchill próbował bronić niezależności prze法西斯owanej przez nich Polski, ale niepoparty przez Roosevelta, musiał ustąpić. Polska nie wzbudzała w Ameryce większego zainteresowania, jako

kraj biedny, niegospodarny, bez ropy naftowej i uchodzący za troublemaker'a.

Sz.: — *Jednakże, pomimo tych tak ciężkich warunków dla Polski, państwa również formalnie zwycięskiego, Stany Zjednoczone stały się w następnych latach dla opinii polskiej w kraju i na emigracji krajem przyjaznym i źródłem nadziei na wyzwolenie z nowej niewoli. Jak Pan tłumaczy ten osobliwy paradoks?*

O.: — Złożyło się na to dużo przyczyn. Być może główną było to, że w ciągu kilku lat powojennych, kiedy Stalin prowadził politykę agresywną w stosunku do swoich niedawnych sprzymierzeńców, „sowietyzował” Czechosłowację, tworzył NRD, chciał przydusić Berlin itd., powstała legenda o nieuniknionym konflikcie zbrojnym pomiędzy USA i ZSSR, oczywiście zwycięskim dla Ameryki posiadającej już bombę atomową. Skutkiem tego zwycięstwa miało być według tej legendy wynagrodzenie wiernego sojusznika polskiego przez przywrócenie Polsce niepodległości w rozszerzonych granicach. Pomimo wielu późniejszych zawodów, legenda ta utrzymała się bardzo długo w głowach polityków polskich i szerokiej publiczności. Resztki jej żyją dotąd obok bardziej realnych czynników, uczuciowych i materialnych, uzasadniających sympatie do ducha wolności, podobieństwa kultury i stylu życia.

Z tych elementów wytworzył się wśród naszej emigracji, jak również zapewne w kraju, nawyk przyjmowania za słuszny i godny poparcia każdy krok polityki Białego Domu bez żadnej jego analizy i selekcji ze stanowiska polskiej racji stanu.

W roku 1978 decyzja prezydenta Cartera wstrzymania dalszych zbrojeń, a w szczególności produkcji bomby neutronowej, powzięta po wahaniach, była złowieszczym krokiem rozpoczynającym koniec przewagi amerykańskiej w broni nuklearnej, głównego straszącego przeciwnika wciąż ofensywnej postawie Związku Sowieckiego. Napisałem wówczas w *Tygodniu Polskim* (22. 4. 1978): „Dopiero historia potrafi zbadać i ocenić znaczenie złowróżbnych czterech dni od 4 do 7 kwietnia 1978 dla globalnego pokoju i bezpieczeństwa wolnego świata... Po plecach kierowników NATO i EWG przebiegł w owych dniach dreszcz zaskoczenia i niepokoju”.

Moja diagnoza okazała się słuszna. Wygaśnięcie terminu zobowiązań SALT I otworzyło przed Moskwą możliwość dowolnego rozbudowywania zbrojeń i doprowadziło ją do przewagi liczebnej tzw. broni strategicznych nad USA. Nastąpiły dalsze niekonsekwentne i sprzeczne decyzje Cartera w polityce zagranicznej. Potwierdziły one moje przekonanie o konieczności *uniezależnienia się* od automatycznego popierania słowem i piórem

każdego kroku polityki amerykańskiej. Mój głos wyrażany okazjnie był głosem Agary na pustyni.

Uniezależnienie nie oznacza jakiejś wolty w stosunku do amerykańskiego supermocarstwa, do którego są zwrócone nasze sympatie i nadzieje. Jest to tylko postulat różniczkowania polityki amerykańskiej ze stanowiska polskich interesów.

Oto parę przykładów rozbieżności polityki USA z polską racją stanu:

1. Jest w interesie polskim aby EWG w swoim rozwoju ukształtowało się jako równorzędny partner USA związany z nimi sojuszem politycznym i militarnym na równiej stopie — czemu Departament Stanu i Pentagon są przeciwni;

2. Jest sprzeczna z polską racją stanu polityka Departamentu Stanu, ujawniona przez opublikowanie streszczenia referatu urzędnika Departamentu Stanu Sonnenfeldta na konferencji dyplomatów USA w Londynie w roku 1975, m.in. zalecająca bardziej „organiczne zrośnięcie się” Polski z jej wielkim sąsiadem;

3. Jest sprzeczne z polską racją stanu ażeby ewentualna rozprawa zbrojna amerykańsko-sowiecka odbyła się na terenie Polski, Niemiec Wschodnich i Czechosłowacji, jako tzw. „Szarej Zony” lub teatru europejskiego według „przeciekłych” do prasy planów Pentagonu czy NATO.

Perspektywa rozprawy amerykańsko-sowieckiej z użyciem broni nuklearnej na terenie owej „Szarej Zony” obejmującej Polskę, stawia przed naszą myślą polityczną niezmiernie trudne zagadnienie uchronienia kraju i jego ludności przed totalną zagładą. Nie czuję się kompetentnym do analizy tego zagadnienia. Stawiam tylko „przeżycie” kraju i narodu jako pierwszy i główny kanon polskiej myśli politycznej w tym stuleciu. Jest to zagadnienie równie ważne dla naszych sąsiadów, w pierwszym rzędzie Czechosłowaków i Niemców, stwarza przeto łącznik wspólnego najżywotniejszego interesu, niezależnie od ustroju i innych różnic.

Sz.: — *Czy sądzi Pan iż polska i ewentualnie inne emigracje polityczne w Europie mogą mieć jakikolwiek wpływ na politykę państw europejskich i USA? W szczególności tych ostatnich które dysponują faktycznie arsenałem NATO?*

O.: — Pewien wpływ mogłyby mieć gdyby potrafiły osiągnąć jednakowe stanowisko. Ale emigracji wschodnioniemieckiej nie ma, a na czechosłowacką trudno liczyć. Wobec tego nieusuwalnego, moim zdaniem, braku solidarności emigracji państw Bloku Warszawskiego należy zachować jak największą ostrożność w wypowiedzianiu się emigracji na temat wojny w Europie. Na uczuciowe

reakcje z powodu możliwości starcia armii NATO i Bloku Warszawskiego na ziemiach Polski i jej sąsiadów trzeba nałożyć sobie hamulec. Zależne od obcych czynników organizacje mające reprezentować narody podległe Sowietom nie powinny brać na siebie roli rzecznika polskiej racji stanu w czasie kryzysów. Jakikolwiek czynnik polskie, posiadające autentyczny tytuł do reprezentowania postawy wolnych Polaków popełniłyby kardynalny błąd, gdyby zbyt pochopnie i bezumownie głosili jakieś rewolucyjne kroki i apele angażujące mieszkańców PRL.

Sz.: — *Przed chwilą mówiliśmy o Rosji. Z tego co Pan powiedział wynika, że nie widzi Pan szans na uregulowanie stosunków polsko-rosyjskich względnie polsko-sowieckich w drodze porozumienia. Zarazem odrzuca Pan wojnę nuklearną jako środek odzyskania niepodległości. Jaka zatem droga pozostaje otwarta?*

O.: — Wolni Polacy powinni odrzucić akces Polski do wojny nuklearnej obcych mocarstw na terytorium środkowej Europy i apelować do innych państw satelickich o zajęcie tej samej pozycji. Nie chcę w tej naszej rozmowie rozważać problemu co zrobi rząd PRL i jaka będzie reakcja ludności w razie wezwania Bloku Warszawskiego do spełnienia wojennych zobowiązań. Takie hipotetyczne rozważania emigranta nie byłyby na miejscu.

Nie wykluczam porozumienia z Rosją wolną od obciążeń i ambicji imperialnych, czyli z Rosją narodową, przedzieloną od Polski narodowymi państwami — białoruskim, litewskim, ukraińskim. Sądzę, że utworzą się one z chwilą załamania się maszyny sowieckiej z powodu jej przerośnięcia i przekroczenia granicy wzrostu i kłamstwa, które obciążają obecnie sowieckiego obywatela. A wtedy otworzy się i nasza droga powrotu do niepodległości niezniszczonej ojczyzny. Wybuch może nastąpić równie nagle i nieoczekiwanie, jak każda rewolucja, nie pałacowa oczywiście lecz oddolna i — jeśli Ameryka i Zachodnia Europa dla zysku lub z poczucia swej słabości nie pośpieszą zachwianej maszynie sowieckiej z pomocą. Wielka Rewolucja Francuska zaczęła się od szturmów przez kilkuset ludzi więzienia Bastylli. Rewolucja rosyjska w roku 1917 zaczęła się od wysypania się na ulice Petersburga tłumów kobiet żądających chleba i węgla, których zabrakło w bardzo zimną niedzielę wskutek niedołęstwa władz.

Podzielam pogląd, że Moskwa nie będzie ryzykowała wojny z Ameryką. Lecz będzie stosować taktykę odcinania tu i ówdzie po kawałku amerykańskiej czy w ogóle kapitalistycznej kiefbasy, z góry przyjmując, że jakiś czas będą protesty i nieśmiałe groźby, po czym wszystko wróci do tego samego koryta. Nawet w razie silnej groźby, Moskwa nie będzie hałaśliwie reagować, lecz po

prostu wycofa się — jak Stalin z Berlina lub Chruszczow z Kuby — pozostawiając po sobie strażę tylną. To samo może być w najlepszym wypadku z Afganistanem.

Sz.: — *A jeśli mimo Pana optymistycznej prognozy nie dojdzie do rewolucji w Związku Sowieckim i będzie on nadal prowadził politykę ofensywną i rozwijał swoją potęgę militarną w Europie — czy i jak ten zachodni kadłub Europy i ciężące ku niemu państwa satelickie uchronią się od losu Europy Wschodniej?*

O.: — Mimo wszystkich, słusznych zresztą, zarzutów wysuwanych przeciwko EWG, pozostało u mnie jeszcze sporo sympatii i nadziei do tej instytucji. Witalem ją z entuzjazmem artykułem „Renesans Europy” w *Tygodniu Polskim*. Nie spełniła nadziei wielu, takich jak ja, jej zwolenników. W ciągu 25 lat wychowała ogromny aparat biurokratyczny, ponad miarę płatny, nie zdołała wytworzyć tego co Francuzi nazywają *l'esprit communautaire* ani poskromić rozbijającej ją waśni angielsko-francuskiej. Carter nie konsultował jej w swoich zarządzeniach represyjnych przeciwko Iranowi. Dziewięć państw których obrót handlowy przekracza w sumie obrót Stanów Zjednoczonych, traktuje się w Ameryce niechętnie i strofuje za niepodporządkowywanie się jej życzeniom.

A jednak jest to jedyna nadzieja Europy w obronie wolnych państw Europy przed naciskiem sowieckiego agresywnego kolosa. Parasol nuklearny amerykański jest w wyłącznej dyspozycji prezydenta USA. Nie może wiecznie stać na straży Europy przed jej wschodnią połową. Europa wolna musi stworzyć własną siłę zbrojną. 25 lat temu było to zupełnie możliwe. Dzisiaj spotka się taka próba z protestem Moskwy, jako krokiem agresywnym przeciwko ustalonej równowadze sił dwóch bloków w Europie.

EWG ma też własne wewnętrzne niedomogi: brak surowców, zwłaszcza ropy naftowej, hamujący rozwój przemysłu i transportu; wzrastająca liczba bezrobotnych złożonych w znacznej części z lumpenproletariatu z innych krajów Europy, Afryki i Azji, potencjalnych rewolucjonistów; 500-letnia waśń angielsko-francuska utrudniająca przemawianie Wspólnoty jednym głosem. Ale mimo stałego eksportu do Ameryki, jest na tym małym obszarze wielki zasób sił intelektualnych i talentów. Być może wspólne zagrożenie skłoni te państwa do większego zwarcia i do rozszerzenia swoich wpływów na wschodnią zniewoloną Europę. Polska myśl polityczna powinna się z tym liczyć i te tendencje popierać, torując sobie psychicznie drogę na długą metę poprzez Bonn i Paryż do Brukseli. Za zdolne do tej przemiany nastawienia można uważać tylko to pokolenie, które weszło w życie po drugiej wojnie światowej.

Chciałbym w tym miejscu podkreślić znaczenie kontaktów z autentyczną emigracją państw satelickich oraz dysydentów narodów Związku Sowieckiego, którym w razie destabilizacji jego struktury przypadnie ważne zadanie zapobieżenie trwonieniu sił na sprawy wewnętrzne, terytorialne. W związku z tym trzeba traktować i oceniać ruch odrodzenia Islamu i jego reperkusje na 50 milionów muzułmańskich narodów sowieckiej środkowej Azji, graniczącej z Afganistanem i Kaukazu, graniczącego z Iranem. Nasza myśl polityczna, a zwłaszcza informacja i publicystyka, bardzo zaniedbują te niezmiernie ważne dla nas zagadnienia.

Nie znam Polski dzisiejszej z autopsji, a nasza publicystyka i przyjezdni stamtąd nie są przeważnie źródłem obiektywnym. Jednym z takich najlepszych źródeł jakie znam jest książka wydana przez *Kulturę* paryską pt. „Raport o stanie narodu i PRL”. Oparty na ankiecie (wobec zakazu publicznej dyskusji) wśród działaczy i specjalistów różnych dziedzin życia, nie wyłączając członków partii, działaczy katolickich i bezpartyjnych, ten „raport” Konwersatorium Doświadczenie i Przyszłość daje bardzo rzeczową i poważną analizę sytuacji społecznej i gospodarczej PRL. Nie mogę teraz dłużej tej pracy omawiać. Zaznaczę tylko, że sądząc z podanego w niej obrazu stosunków w kraju, wspomniana dopiero co przez Pana postawa ludzi dobrej woli w kraju, pokrewna tej która w ostatnich latach XIX wieku wyrażała się „pracą organiczną” czy pozytywizmem, nie jest w warunkach obecnych w PRL możliwa. Pokrewne jej próby podjęte w roku 1956 i 1970, po przyjsciu do władzy Gomułki i Gierka, skończyły się fiaskiem pod naciskiem władz.

W końcu tych moich wynurzeń muszę otwarcie wyznać że na podstawie swoich obserwacji ostatnich 35 lat i ich przemyslenia, doszedłem do przekonania że przodujące na naszej planecie cywilizacje są u schyłku. Dwie odmiany — ultra liberalna i ultra totalitarna — wyrosłe z dwóch pokrewnych źródeł: Imperium Rzymskiego i Imperium Bizantyńskiego, rywalizują ze sobą w skali globalnej. Towarzyszy tej rywalizacji globalne ryzyko. Sądzę że przed krachem ulegną one głębokim przeobrażeniom i przeżyją, albo — rozwijając się na obecnym swoim torze — zginą w śmiertelnym uścisku, jak dwa jelenie splątane rogami podczas rui. Czy w tym dramacie będą uczestniczyć inne wielkie cywilizacje np. islamska lub chińska pozostawiam jako kwestię otwartą.

Jest to, jak Pan widzi, dość spekulatywny i posępny finał moich rozważań. Ale nie uważam siebie za pesymistę, zostawiam bowiem furtkę otwartą, przez którą przywódcy współczesnych prądów reformatorskich mogą wyprowadzić te cywilizacje z bezdroży, jak niegdyś Mojżesz wywiódł lud swój z domu niewoli.

Są, zdaniem moim, we współczesnym świecie ludzie na miarę tych wielkich zadań. Dwóch z nich niejednakowej wprawdzie wagi i kalibru rysuje się na horyzoncie. Patrząc wstecz na nasze i poprzednie stulecie, dochodzę do wniosku, że w życiu zbiorowości ludzkich działa ta sama co w życiu jednostki reguła: nikt nie wie dnia ani godziny.

Prof. Jan SZUŁDRZYŃSKI

O niewiedzy, wyuczonej i literackiej

I

W moich latach szkolnych, kiedy czytaliśmy w klasie łacińskich poetów, miałem niejasną intuicję poezji jako konwencji, mało spokrewnionej ze światem rzeczywistym. Być może działało się tak dlatego, że były to wiersze w obcym języku, przez co słowa ukazywały się bez tej emocjonalnej otoczki, jaką mają w języku rodzinnym, co pozwalało na większy dystans. Tak czy owak były dla mnie autonomicznymi konstrukcjami, zapisem pewnej intonacji układającej się w rytmiczną całość, w niewielkim tylko albo żadnym związku z życiem ich autorów i tym, co ich otaczało. Nie wiedziałem wtedy, że tego rodzaju pojmowanie poezji ma różne uczone nazwy i że trafiać na przedmiot sporów, aktualnych także w moim stuleciu.

W istocie, jeżeli kosztem dużego wysiłku spróbujemy wyobrazić sobie imperium rzymskie w którym te wiersze powstały, ale wyobrazić w konkretności, jako wielość zwyczajnych ludzkich żywotów, udręk, powodzeń, bólów, tragedii — pomijając to, czego dowiadujemy się od historyków, to jest podboje i grę polityczną wielkich — nie może nas nie zdumiewać milczenie w które niezliczone przeznaczenia zapadły, zupełny brak o nich świadectwa. Na tym tle moi szkolni Wergili, Horacy i Owidiusz są mistrzami niemoty, poszukiwaczami doskonałości przez wyłączenie wszystkiego co jest nędzą, brudem, wulgarnością słabych ludzkich istot. Jedna strona Ewangelii według Marka więcej mówi o troskach, pragnieniach, lękach, nadziejach prostych

ludzi w rzymskiej prowincji, Palestynie, niż wszyscy razem poeci rzymskiego Złotego Wieku.

Nieraz później zastanawiałem się nad klasycyzmem czy raczej nad powtarzającą się w kulturze europejskiej pokusą klasycyzmu. W jego dojrzałych odmianach jest to literatura żywiąca się literaturą, dlatego że dążenie do doskonałości wymaga destylacji tego, co przekazali poprzednicy, czyli ważniejszy jest stosunek czeladnika do mistrza, niż piszącego do postrzeganych rzeczy. Natomiast w swoich innych odmianach, może przejrzałych, klasycyzm pozwala podejrzewać jakąś wielką rezygnację, pochodzącą z pesymistycznej oceny języka jako narzędzia porozumienia: ponieważ i tak z ludzkiego losu nic nie zdołamy wyrazić, choćbyśmy się silili, zamknijmy się w konwencji, każdym ruchem pióra zaznaczając, że zamykamy się w niej i igrzemy z nią świadomie.

Co powiedziałem, trzeba jednak umieścić w perspektywie pewnej niemiłej prawdy, która przypomina o sobie choćbyśmy tego nie chcieli, o podziale ludzkości na dwa gatunki. Z dawien dawna tak już jest, że *ci, którzy wiedzą, nie mówią; ci, którzy mówią, nie wiedzą*. Wolno w tej mojej formule dopatrzeć się echa dialektyki pana i niewolnika, powołać się na wieki ciemnoty i nędzy na dole, wśród niewolnych, chłopów, proletariuszy, którzy jedni wiedzieli o okrucieństwie życia w całej jego nagości, ale musieli to zachować dla siebie, bo umiejętność pisania była przywilejem nielicznych, mających wiedzę o życiu złagodzoną przez władzę i bogactwo.

Nie to jednak tylko mam na myśli. Istnieje doświadczenie dwudziestego stulecia, być może nie całkiem w dziejach nowe, niemniej wysoce specyficzne: działania wojenne prowadzone przeciwko całej ludności, dzieciom, kobietom, starcom, przeciwko domom mieszkalnym, szkołom i szpitalom; obozy zniszczenia i pracy niewolniczej dla milionów ludzi; handel krajami zwany podziałem na strefy wpływów, w wyniku czego narody dostają się pod władzę zdobywców i tracą możliwość wyrażenia swojej woli; masowe deportacje całych ludów i zasiedlanie ich ziemi przybyszami importowanymi z daleka; planowe niszczenie wszystkiego co niepożądane grupom ludności może pozwolić na skuteczny opór, a więc tradycji kulturalnej, religii, języka. Ktośkolwiek ma to nieszcześnie, że te osiągnięcia naszego stulecia nie są dla niego abstrakcją, bo zostają w jego pamięci jako rzeczy widziane, musi zastanawiać się nad ogromem milczenia o tych faktach. Ci, którzy wiedzą, bo sami tego doświadczali, nie mówią albo dlatego, że nie mogą, albo dlatego, że nie chcą. Ci, którzy mówią, nie wiedzą albo nie chcą wiedzieć. Ale mocą tajemniczych prawidłowości, przemilczenie jest jak obecność czająca się wokół literatury i podrywająca jej zaufanie do siebie

Tekst dorocznego odczytu, tzw. *Faculty Research Lecture* wygłoszonego w języku angielskim przed senatem uniwersytetu kalifornijskiego w Berkeley, 12 marca 1980 roku.

samej. Nie wiadomo właściwie dlaczego głosy zapomnianych domagają się od żywych świadectwa i obracają się przeciwko literaturze pojętej jako igranie konwencjami.

Na dużych obszarach naszej planety pewne tematy są pomijane dlatego że dotknąć ich nie wolno. Jednakże cenzura zewnętrzna jest środkiem dość prymitywnym w porównaniu z cenzurą wewnętrzną działającą w człowieku, który *mógłby* wiedzieć. Model stosunków pomiędzy panem i niewolnikiem o tyle się powtarza, że uprzywilejowany przez los usuwa z pola swojej świadomości fakty zbyt ostre i dla jego obrazu egzystencji nieprzyjemne. Ci, którzy są smagani biczem, przykuwani do galer, krzyżowani, traceni, widocznie na to zasługują, bo należą do ludzkości niższej, nie takiej samej jak ludzkość „prawdziwa”. Zapomina się na przykład dzisiaj, że znaczna ilość niemieckich intelektualistów sympatyzowała z narodowym socjalizmem i udzielała mu czynnego poparcia, tak że byli nawet tak zwani „*Salon SS*”. Nie ma większego sensu zapytywać: wiedzieli czy nie wiedzieli co się odbywa. Oczywiście wiedzieli, ale uważali terror za godny pochwały, nie naruszający ich systemu wartości, skoro był wymierzony przeciwko „podludziom”, z założenia brudnym, podstępny i zbrodniczy.

Łatwo umieścić te sprawy w rozdziale, który został zamknięty. Ale iluż zachodnich intelektualistów w ciągu ostatnich dekad korzystało z bezpieczeństwa literackiego salonu po to, żeby sprzyjać przemocy, zawsze mając coś na usprawiedliwienie katów, nigdy nie biorąc strony ich ofiar?

Dwa wydarzenia na Zachodzie, dotyczące literatury, zasługują na refleksję. Są to: rozgłos dzieła Sołżenicyna *Archipelag Gułag* i wstrząs, jakim dla milionów widzów stał się film telewizyjny *The Holocaust*. Dla ludzi pochodzących z Polski, państw bałtyckich czy Ukrainy, to znaczy dla wszystkich tych, którzy albo sami byli w łagrach albo mieli tam krewnych i przyjaciół, a także czytali świadectwa drukowane od kilku dziesiątków lat w różnych językach, nie Sołżenicyn był zaskoczeniem, ale jego odbiorcy, przyjmujący jego książki jako rewelację faktów nieznanych. O czym świadczy — zapytywaliśmy — takie wyłączenie ze świadomości tego co dzieje się nie na Saturnie przecież, ale na naszej niedużej ziemi? Czy to chęć zachowania czystego sumienia? Tak jak zachowania przyjemności раннего śniadania, choć w Indiach umierają z głodu? I tak samo my, ocaleni albo świadkowie, nie mogąc patrzeć na *The Holocaust*, do tego stopnia fikcja wobec takiego tematu wydawała się nam niestosowna, prawie z grozą pytaliśmy: „Jak to? Więc ludzie musieli dopiero zobaczyć rzeczywistość przemienioną w literaturę, w melodramat, żeby zbliżyć się przynajmniej do przedstawienia sobie

jak było naprawdę? Czy to znaczy, że fakty nie mają do ludzkiej wyobraźni dostępu zanim nie zostaną przeinaczone, przefiltrowane przez *mass media*?

Wszystko to nie jest bez związku z moim przedmiotem, którym pozostaje związek albo brak związku pomiędzy poezją, czy w ogóle literaturą, i rzeczywistością. Wiersz liryczny angielskiego poety osiemnastego wieku może być piękny, choćby nie było w nim żadnych śladów wiedzy o okrucieństwach zaczynającej się właśnie rewolucji przemysłowej. Z drugiej jednak strony gniew człowieka głęboko dotkniętego w swoich odruchach moralnych nadaje się wizjonerstwu Williama Blake'a, a nawet tłumaczy jego gnostyczne rozróżnienie pomiędzy fałszywym Bogiem anglikańskiego Kościoła, złym demiurgiem, Nikomu-tatą, i Jezusem. Rzeczywisty, upadły Albion jest stale u Blake'a obecny, nie tylko w jego wierszach o małoletnich kominiarzach i londyńskich *chartered streets*. Trudno o przykład bardziej anty-klasycznego poety.

II

Niestety, problem nie da się sprowadzić do wiedzy albo niewiedzy, bo łączy się tutaj i zyskuje prymat zagadnienie formy. Weszliśmy, jak się zdaje, w okres przychylny moim młodocianym podejrzeniom, że układy słów są czymś oderwanym, zamkniętym. W wieku dziewiętnastym zrobiły karierę słowa „rzeczywistość” i „realizm”, co najpełniej wyraziło się w powieści pojmowanej jako „zwierciadło życia”, jako kronika przemian, pozwalająca danemu społeczeństwu dowiadywać się o sobie. Ta poznawcza funkcja literatury ma dzisiaj niewielu zwolenników, zarówno wśród teoretyków jak praktyków. Rzeczywistość, kiedyś słowo obdarzone wysokim autorytetem, najwyraźniej straciło swój status. Ciekawe, że to nie filozofia, od kilku stuleci doradzająca wątpić o wiarygodności naszych percepcji, przyczyniła się do jego porażki. Zrobiło to dopiero dzielenie się wiedzy o człowieku na mnóstwo poszczególnych dyscyplin, roszczących uzasadnione czy nieuzasadnione pretensje do tytułu naukowych. I ponieważ wspominałem o klasycyzmie, niech mi będzie wolno zacytować wypowiedź poety, który żył w epoce peruk, dworskiej etykiety i wysoce uczonych dysput prowadzonych z zachowaniem wszelkich reguł. Nie całkiem obco brzmi dzisiaj ten lament Henri de Racan wyjęty z jego przemówienia do Akademii Francuskiej w roku 1635:

„Nie znoszę bezczelności tych mądrali, co, wymyśliwszy trzy czy cztery barbarzyńskie terminy, chwalą się, że zrobili odkrycia

naukowe, stworzyli gramatykę, logikę, retorykę z rzeczy najwyczajniejszych, z którymi mieliśmy do czynienia od kolebki, o dzieść lat wcześniej, zanim usłyszeliśmy ich nazwy. Jeśli nie oprzemy się tej tyranii, potraktują jako sztukę także ły i śmiech i posegregują je na rodzaje, jak to zrobili z naszym językiem, i już nie będzie się wolno o nich odzywać inaczej jak stosując reguły i figury”.

Tym niemniej, na próżno próbowalibyśmy odzyskać utraconą naiwność. „Gramatyka, logika, retoryka”, choć mogą się dzisiaj inaczej nazywać, odpowiadają naszej świadomości uwikłania w język. Opisy realistyczne z utworów dziewiętnastego wieku, które ich pierwszym czytelnikom zdawały się wiernym oddaniem rzeczywistości, ukazują się nam jako kompozycje autonomiczne, udające, że pomiędzy związkami słów i związkami rzeczy zachodzi doskonała odpowiedniość. Jeżeli prawdą jest, że, jak twierdzą strukturaliści, „nie my mówimy językiem, ale język nami mówi”, to człowiek w każdej epoce i w każdym społeczeństwie jest więźniem przyjętego sposobu mówienia i narzuconej przez ten sposób *episteme*. Dyskutować wtedy o jakimkolwiek realizmie znaczyłoby zapominać, że tzw. rzeczywistość przybiera kształty w umyśle dzięki pośrednictwu języka i że bez tego pośrednictwa umysł nie ma do niej dostępu. Być może więc nawet *Komedia ludzka* Balzaka jest nie tyle kroniką przemian społecznych we Francji lat 1830-tych i 1840-tych, ile wielką fantastyczną i mitologiczną budowlą, o takiej sile przekonywania przez samą swoją obecność, że przesłoniła obrazy tamtej epoki mające mniej koherencji i została uznana za źródło wiedzy historycznej?

„Co do Szekspirów i Homerów, to wszelka sztuka jest niewątpliwie niższa niż rzeczywistość” — zapisał w swoich notatkach Dostojewski w roku 1876. Ktokolwiek chce dzisiaj bronić takiej tezy, natrafia na poważne trudności, właśnie z powodu rozchwiania się słowa „rzeczywistość”. A także dlatego, że pojawiają się natychmiast widma staroświeckiego realizmu w powieści, zwykle idącego w parze ze społecznym zaangażowaniem. Osobiście jednak sędzę, że dzisiejsi zwolennicy badania utworu literackiego jako zespołu chwytów stylistycznych i technik narracji zachowują się jak lis z bajki, który orzekł, że winogrona są kwaśne dlatego że były za wysoko. Przyznam się też, że przyczyny dla których od dawna jestem zwolennikiem pojmowania wszelkiej sztuki, także poezji, jako *mimesis* nie są natury teoretycznej, bo działa tutaj doświadczenie bezustannej pogoni za czymś, co się wymyka i pozostaje nienazwane, a to coś nie jest ani harmonią całości ani czystością intonacji i przebywa najwyraźniej poza mową. Natomiast jeżeli chodzi o resztę, tj. teoretyczne uzasadnienie, mam dużo pytań i mało odpowiedzi.

III

Nostalgiczne oglądanie się na przeszłość i wskrzeszanie technik literackich które uwiędły na nic się nie przyda. Ilość ludzi robiących z humanitaryzmu swoją religię, chcących służyć sprawiedliwości społecznej i pokojowi jest dzisiaj wszędzie ogromna, bez porównania większa niż sto czy osiemdziesiąt lat temu. Co drugi intelektualista na Zachodzie z szyderstwem odzywa się o ustroju kapitalistycznym i nie całkiem żartem przysięga, że „powinno się kasać rękę, która nas karmi”. A jednak na próżno próbowalibyśmy znaleźć dzieła poświęcone analizie społeczeństwa w jego codzienności, tropieniu społecznego zła w jego jaskini. Czas Uptona Sinclaira i Teodora Dreisera wydaje się odległy. Najbardziej chyba ambitna próba odnowienia w Ameryce powieści-panoramy, *The Group* Mary McCarthy, jest o tyle porażką, że jest to powieść naturalistyczna, to znaczy założona w niej jest, żeby się tak wyrazić, fizjologiczna beznadziejność ludzkiego gatunku. Ten kontrast pomiędzy postępową retoryką ludzi pióra i niemożnością wcielenia jej w dzieło, tak że unosi się ona gdzieś w powietrzu, eteryczna, nieziemska, jest zastanawiający.

Nie jest łatwo przyznać się, nawet wobec siebie, do obojętności na szlachetne intencje naszych bliźnich. A jednak powieści czy wiersze społecznego, nie tyle protestu ile obrzydzenia, choćbyśmy byli z ich autorami solidarni, muszą być dotknięte jakąś chorobą, jeżeli ich czytelnik walczy z dojmującym uczuciem nudy. Paraliż form ma przyczyny obiektywne, niezależne od woli twórcy, i te przyczyny należałoby zbadać.

Wspomniałem o doświadczeniu dwudziestego wieku, o doświadczeniu przemilczanym. Nie tylko cenzura, zewnętrzna czy wewnętrzna, przyczynia się do jego usunięcia poza świadomość. Istnieją prawa ludzkiej wyobraźni, zgodnie z którymi śmierć jednego, dwóch, trzech ludzi coś dla nas znaczy, ale śmierć trzech milionów jest abstrakcją. Być może „ród ludzki rzeczywistości dużo znieść nie umie”, jak powiada T. S. Eliot. I znów szczerość wymaga, żeby się przyznać, że można przeczytać parę książek o Oświęcimiu, Kołymie, Warkucie albo polach bitew drugiej wojny światowej, ale nie więcej. Albo dlatego, że nuży zupełna powtarzalność cierpienia, albo dlatego, że zachodzi niewspółmierność pomiędzy tymi zjawiskami i istniejącymi dzisiaj środkami wyrazu.

W całej powojennej literaturze europejskiej jedynym utworem, który znalazł formułę literacką dla przeżyć więźniów hitle-

rowskiego obozu zagłady jest moim zdaniem szczupły tom opowiadań polskiego autora, Tadeusza Borowskiego, o Oświęcimiu, noszący w angielskim przekładzie tytuł *This Way To The Gas, Ladies and Gentlemen*. Borowski, co jest niemałym paradoksem, zapożyczył techniki pisarskiej od Hemingway'a. Połączył swój raport eks-więźnia z opowiadaniem w pierwszej osobie, tak że fotograficzna dokładność i świadoma kompozycja trudne są do rozróżnienia. Samobójstwo Borowskiego w kilka lat po wojnie, w wieku lat 29, sprawia, że zostaje on jako autor jednej książki — ale to dosyć.

W ostatnich dekadach kilka nazwisk stoi w centrum debaty o prozie artystycznej w jej funkcji poznawczej. Są to: Eric Auerbach; węgierski marksista Georg Lukacs; Aleksandr Sołżenicyn; Andrej Siniawski, przez długi czas publikujący na Zachodzie pod pseudonimem Abram Tertz. *Mimesis* Auerbacha, napisana w latach 1940-tych, kończy się nutą pesymistyczną. W prozie naszego stulecia dostrzega on „wrogość wobec rzeczywistości”, a nawet „nienawiść do kultury i cywilizacji”. Długie dzieje intelektualne Georga Lukacsa, który zaczął publikować przed pierwszą wojną światową, mogą służyć za przykład aberracji, od których nie chroni ludzi książki i pióra nawet najwybitniejsza inteligencja. Tej inteligencji Lukacs długo używał do filozoficznego uzasadnienia terroru i liberalizm jego starości nie może tu wiele zmienić. Na krótko przed śmiercią, w 1969 roku, napisał studium o Sołżenicynie, w którym uznał powieści tego autora za najwyższe wcielenie zasad socjalistycznego realizmu. Tym samym przekreślał wiele z tego, co głosił poprzednio, bo wątpliwe, czy jakikolwiek czytelnik da się przekonać jego akrobatycznym wywodom, jeszcze raz odwołującym się do Hegla. Lukacs, podobnie jak Auerbach, choć wychodząc z innych założeń, szczególnie wysoko stawiał wielką realistyczną powieść dziewiętnastego wieku i modernizm nie znajdując w jego oczach ładu. Należało do tych, którzy uważając zachodnią literaturę i sztukę za coraz bardziej dekadentką (wyjątek robił dla Tomasza Manna) zalecali „zdrową” tradycję, co w praktyce dostarczało pretekstu do narzucania dziewiętnastowiecznych form narracji przy pomocy środków administracyjnych. Ogłaszając nagle, ku zdumieniu swoich uczniów, że wzorem socjalistycznego realizmu jest *W kręgu pierwszym* i *Oddział chorych na raka*, był w tym przynajmniej konsekwentny, że Sołżenicyn nie oddala się od dziewiętnastowiecznych wzorów.

Sołżenicyn służy za argument tym wszystkim, którzy utrzymują, że nie ma nic takiego jak przeżywanie się form. Wystarczy, żeby pojawił się wielki pisarz, powiadają, a staroświecki

sposób narracji okazuje się dostatecznie dobry do przedstawienia innej Rosji niż sto lat temu. Na to można odpowiedzieć, że technika zapożyczona od socrealizmu jest u Sołżenicyna widoczna i w tym Lukacs niezupełnie się mylił. Polega ona na zebraniu w obrębie powieści postaci mających reprezentować postawy polityczno-moralne „typowe” dla danego społeczeństwa, mniej więcej na zasadzie amerykańskich ogłoszeń telewizyjnych, w których proporcja występujących aktorów czarnych i białych jest starannie wyważona. I ta intencjonalność, tak że postacie są służebne wobec nadrzędnego celu, społecznego przekroju, nieco zbyt często daje u Sołżenicyna znać o sobie. Czego jednak nie powiedział Lukacs i w czym Sołżenicyn jest przeciwieństwem socrealizmu, to że wybiera jednoznaczne kryterium sądu: dobro i zło są pojęte absolutnie, nie odniesione do jakichś społecznych celów. Tutaj Sołżenicyn odwołuje się do „wspólnoty uczuciowej” ludzi, którzy doświadczyli życia w systemie codziennego donosicielstwa i upodlenia: dla nich kategorie dobra i zła są jak najbardziej rzeczywiste. Na ile wystarczają one jako zasada organizacji materiału powieściowego tam, gdzie jak na Zachodzie zło i dobro są relatywizowane, trudno orzec.

W swoim eseju *O realizmie socjalistycznym* Andrej Siniawski, wówczas, to jest w końcu lat pięćdziesiątych, mieszkający w Moskwie, wypowiada opinię, że ten oficjalny kierunek ma niewiele wspólnego z realizmem wielkiej rosyjskiej prozy, natomiast wywodzi się z ody dworskiej osiemnastego wieku. Powiada: „Ironię zastąpił patos, ten uczuciowy żywioł pozytywnego bohatera. Przestaliśmy się bać górnolotnych wyrażań i napuszonych zdań. Już nie wstydziliśmy się cnoty. Uroczyste krasomówstwo ody nam odpowiadało. Staliśmy się klasykami. Kiedy Dzierżawin w starości napisał odę *Do wielkiego bojara i dowódcy Reżymu* nadał jej podtytuł: 'albo obraz tego, jakim wielki pan być powinien'. Sztuce socjalistycznego realizmu można by nadać taki sam podtytuł: przedstawia ona świat „jaki powinien być”.

„Teraz moją nadzieją jest sztuka fantasmagoryczna, z hipotezami zamiast Celu, sztuka w której groteska zastąpi realistyczny opis zwyczajnego życia. Taka sztuka odpowiadałaby duchowi naszego czasu”. Czyli świat Goyi, może Chagalla, może Kafki. Tę diagnozę Siniawskiego potwierdzają jak dotychczas liczne utwory napisane w ciągu ostatnich dekad w bloku wschodnim, także filmy. Oznacza to zupełnie inną drogę niż ta, jaką obrał Sołżenicyn i jaką zalecał jego wielbiciel Lukacs. W pewnym sensie jest to część procesu rozszerzania się nowoczesnych technik na różne kraje, tak jak samochodu i telewizji. Mimo specyficzności „wschodnich” odmian groteski i absurdu, dają one powód do podobnych pytań i wątpliwości co odmiany zachodnie.

IV

Cóż jednak z poezją? Co ma tutaj do roboty poezja, jeżeli jest tak, że ci, którzy wiedzą, nie mówią, natomiast ci mówią, którzy nie wiedzą? Gdyby dzisiejsi poeci stanowili klan zamknięty, wymieniający między sobą swoje sonety i ody, oddany dyskusjom o sekretach cezury i *enjambement*, można byłoby ich oskarżać o brak zainteresowania rzeczywistością. Ale przecie np. poezja amerykańska obrała za swoją domenę mowę potoczną i notuje w tej mowie potocznej najbardziej prozaiczne percepcje, może więc triumf lingwistyki nie zdołał jej całkowicie zmusić do zamknięcia się w swoim kokonie?

Tak, rośnie w postępie geometrycznym ilość poetów i nie jest już od nich wymagana znajomość metryki ani umiejętność rymowania. Zacierają się też różnice pomiędzy gatunkami literackimi i trudno już utrzymać zgrabny podział na powieść, nowelę, poezję i esej. Zastępuje to ogólne pojęcie *Ecriture*. Zarazem wrażliwość na bodźce każdej minuty i godziny zamienia tę *Ecriture* w rodzaj dzienników obolałego naskórka. I językowo i przez chłonięcie materiału, ta poezjo-esejo-proza jest zanurzona w życiu ulicy. Z tym wszystkim, pewne wspólne cechy stylistyczne mogą ją ograniczać równie skutecznie jak przepisy chroniące kiedyś nienaganność aleksandrynu, tyle że nie są dziś jeszcze wyraźnie dostrzegane. Te cechy są wynikiem przymusu gadulstwa, na co zdają się cierpieć poeci i nie-poeci, tak że mówić o czymkolwiek, byle mówić, staje się operacją samą w sobie, środkiem do zażegnania wielkiego lęku. Jakby mściła się przeniesiona w praktykę maksyma że „nie my mówimy językiem ale język nami mówi”. I tutaj narzuca się konieczność przeprowadzenia rozróżnień: kto mówi o rzeczach realnych nie nadaje im jeszcze przez to tej dotykaności, jaka jest potrzebna żeby istniały w dziele sztuki. Przeciwnie, może się zdarzyć, że je odrealnia. Toteż mój sceptycyzm co do poezjo-prozy łacińsko-amerykańskiej, szczególnie krasomówczej, sprowadza się do jednego zarzutu: za dużo słów.

Rzeczywistość obywa się bez definicji, tak jak prawda, jak dobro i zło. Najogólniej biorąc, jest to wszystko, co otacza człowieka z tytułu jego urodzenia się w danym miejscu i czasie. Kiedyś „otacza” stosowało się do wioski, miasta, kraju. Dzisiaj jest to dziejąca się historia całej ziemi. Ale rzeczywistość to także świadomość człowieka, a więc jego wiedza albo niewiedza, jego pamięć albo niepamięć przeszłości, jego nadzieja albo brak nadziei. Tylko że nie dyskursy, rozprawy, artykuły, przemówie-

nia kształtują wyobraźnię człowieka przez którą umieszcza siebie w świecie. Potrzebne na to są obrazy w dziele sztuki obdarzone dostateczną dozą bytu, *esse*. Patrząc od tej strony na dzisiejszą poezjo-prozę, znajdujemy w niej „stos pokruszonych obrazów, tam gdzie słońce pali”, znakomicie równouprawnionych fragmentów, które pozwalają się domyślać, że autorzy uznaliby nawoływanie do wyboru pomiędzy percepcjami ważnymi i nieważnymi za głęboko reakcyjne. Wszelkie jednakże dostępne nam istnienie jest hierarchiczne. Jeżeli hierarchia uchodzi za reakcyjność, znaczy to, że ludzie piszący taką poezję są dotknięci utratą poczucia rzeczywistości.

Niech mi wolno będzie poświęcić chwilę pisarzowi, którego nazwisko już padło tutaj, a którym dużo się zajmowałem, Dostojewskiemu. Nikogo tak Dostojewski nie nienawidził jak Polaków i katolików, toteż moje urzeczenie nim może wydać się perwersją. Pomijając jednak już to, że znam źródło jego obsesji: dzieje szlacheckiej rodziny Dostojewskich w Wielkim Xięstwie Litewskim, która stopniowo zmieniała wyznanie z prawosławnego na rzymsko-katolickie i greko-katolickie — jego pośmiertna tragedia dostatecznie równoważy dawne spory. Jego prawosławny mesjanizm, którym starał się zażegnać swój lęk o przyszłość Rosji, przegrał. Mieli rację ci, którzy wydrwiwali jego wiarę w świętą Ruś i twierdzili, że rosyjski chłop jest żywiołowym ateistą. Nie sprawdziła się, jak dotychczas, jego nadzieja, że Rosja przyniesie komunistycznej zachodniej Europie swego Chrystusa na ostrzach bagnatów. Jak wszelkie omyłki pochodzące z żarliwej miłości do własnego kraju, tak i te rozważamy dzisiaj z litością i poszanowaniem.

Główny powód mego zainteresowania: realizm Dostojewskiego, świadomie przeciwstawiony przez niego realizmowi pozoremu jego współczesnych, zachowuje dzisiaj nadal żywotność, podczas gdy inne realizmy pachną lamusem. A samym jego sednem było *odczytywanie znaków*. Drobną wzmianką w gazecie, usłyszana rozmowa, popularność jakiejś książki dawały mu dostęp do strefy ukrytej przed oczami współczesnych ale najważniejszej, bo tam odbywała się przesądająca o losach Rosji i ludzkości przemiana. Rzeczywistość była wielowarstwowa ale nie wszystkie jej warstwy dostarczały klucza. Ogromny wysiłek twórczy Dostojewskiego zmierzał do coraz większej hierarchizacji, tak żeby z przygód duchowych inteligencji rosyjskiej lat 1860-tych i 1870-tych wydobyć co było najbardziej istotne i nie dać się uwieść mnóstwu innych splecionych wątków. I okazało się, że pod powierzchnią, to jest zwiększającym się znaczeniem obrotu kapitałów oraz socjalistycznymi hasłami rośnie i dojrzewa samo-szukanie się i utwierdzanie Człowieka-Boga. Dostojewski

kraży dokoła tego głównego wątku, to oddala się od niego, to zbliża, żeby wreszcie dopaść go w swojej ostatniej powieści, w której zabicie Boga staje się zabicie ojca, staje się zabicie cara, a wszystko razem prowadzi do zabicia człowieka przez Wielkiego Inkwizytora. To, że sam autor nie mógł znieść tej diagnozy i uciekając przed nią szukał pociechy w rosyjskim mesjanizmie, nie odbiera jej powagi. Znacząca ta diagnoza, że nie ma wymiaru czysto historycznego bo jest on zarazem wymiarem metafizycznym, tak jak metafizyczna jest sama tkanina historii. I w tym, że takie odkrycie zostało już przez pisarza dziewiętnastego wieku zrobione, szukać trzeba wytłumaczenia tej niechęci, jaką czujemy kiedy proponują nam jednowymiarowe obrazy ludzkiego losu. Rażą nas one jako płaskie, jako zejście poniżej tego progu świadomości, jaki jest możliwy.

Ponieważ zacząłem od poetów łacińskich, niech oni mi pomogą zakończyć moją wypowiedź. Poezja jest sztuką łączenia słów i zostawienie jej zakresu który jej tylko jest właściwy, jest uprawnione. Zawsze też będzie toczyła się gra pomiędzy uczniem i mistrzem a także mistrzami, z całej przeszłości danego języka. Nie należy się więc obawiać, że zabraknie form klasycznych, bo mogą się one odnawiać także bez pomocy tradycyjnej metryki. Tym niemniej można zauważyć dwie zasadnicze skłonności w poezji naszego stulecia: ruch od chaosu atakujących umysł obrazów do oczyszczenia i takiego ich wyboru, że służą tylko jednemu celowi — doskonałości intonacji. I drugie, niepokój kiedy forma wzniesie już przegrodę pomiędzy surowym materiałem życia i układem słów, stąd też natychmiast ruch odwrotny, aż do biernego przyjęcia wszystkiego co przychodzi z zewnątrz. Prawdopodobnie w rzadkich wypadkach kiedy te dwie skłonności zderzają się w jednym wierszu i utrzymują rodzaj równowagi, powstają utwory trwałe.

Świadomość malarza, żeby się wyrazić, nie musi uciekać się do przedstawiania całych scen, jak „Porwanie Sabinek” czy „Śniadanie na trawie”, tak samo świadomość poety nie potrzebuje wielkich tematów, terminów filozoficznych ani szlachetnych celów. Świadectwem jej jest taka czy inna organizacja materiału albo odmowa przyjęcia jakiejkolwiek zasady organizacji, co też jest organizacją. Tutaj pożytek semiotyki i poetyki, bo dyscypliny te nie pozwalają na niewinność wobec języka czyli zapobiegają złudzeniu, że język jest czymś przezroczystym i że umysł wchodzi w stosunki z rzeczami bez jego pośrednictwa. Ale właśnie sposób posługiwania się przez kogoś językiem powiadamia nas o gatunku jego świadomości.

„Dureń widzi nie to samo drzewo co mądry człowiek”, powiada William Blake. Znaczący to zapewne tyle, że drzewo głupca

stoi osobno, nie odniesione do mnóstwa zjawisk, które istnieją równocześnie, natomiast drzewo mądrego ma korzenie w ziemi na której dzieje się tak dużo, teraz, w tej chwili kiedy patrzy. Można też zamiast głupstwa i mądrości podstawić kategorie nieco inne. Horacy głupcem nie był. I nie było nieprawdą, kiedy pisał, że co wiosny cytarejska Wenus prowadzi chóry pod wschodzącym księżycem:

Iam Cyterea choros ducit Venus imminente luna.

A przecie inni, być może głupi i niepiśmienni, znali ziemię prawdziwszą niż Rzym dworskich poetów.

Mam nadzieję, że moja obrona tego, co rzeczywiste zostanie wzięta za to, czym jest: przyznaniem się do wielu wątpliwości w chwili kiedy odwracając się od różnych odmian realizmu umysł swoje własne wytwory, wiersze czy powieści, obiera za przedmiot refleksji. Jest tu jakieś zakłócenie równowagi, jak zawsze kiedy zapomina się o sprawach elementarnych, i kiedy zawiłość terminów zachęca do licytacji w uczonym niezrozumiałstwie. Moi słuchacze pewnie odnotowali, że w wielu punktach nie daję odpowiedzi, bo ich nie mam. Dodam też, że jeżeli odzywam się z sarkazmem o klasykach, to nie z pełnym przekonaniem. W latach na które przypadła moja literacka dojrzałość, pokusa klasycyzmu nie była mniej silna niż w latach poprzedzających pierwszą wojnę światową, głównie przez zrozumienie niedostateczności języka, lepiej broniącego się kiedy jest cyzelowany i pielęgnowany, niż kiedy chce za dużo nazwać z tego co nowe i nienazwane. W warunkach historycznych nie sprzyjających sztuce wyniosłej i spokojnej, pewna doza upodobań klasycznych była pożyteczna, bo wprowadzała element który jest zdrowiem poezji i wszelkiej sztuki: sprzeczność.

Czesław MIŁOSZ

Trzy rozmowy

JERZY PIETRKIEWICZ — ANDRZEJ PANUFNIK

Tło pierwszej rozmowy: duża kontynentalna kawiarnia blisko Baker Street w Londynie. Plusz, ciastka pod szkłem na wózku, kelnerki ze wschodniej Europy. Miejsce popołudniowego odpoczynku dyrektorów firm eksportowych i psychiatrów z Harley Street, a także amantów w podeszłym wieku. Kojący brak muzyki z taśmy megafonowej.

Jerzy: — Siadźmy tutaj w rogu.

Andrzej: — Dobrze, że nie nagrywamy naszej rozmowy. Nie znoszę mikrofonu, peszy mnie.

Jerzy: — Poradźmy sobie bez niego. Najpierw pochwała mu-
zom: niech nas chronią od złej niepewności, która męczy tych
co muszą czekać na natchnienie. Przynajmniej nie będziemy
sobie wzajemnie zazdrościć, bo ty komponujesz a ja piszę. Nic
tak nie kwalifikuje ludzi do zawodu jak zawodowa zazdrość.
Od wieków to samo. Pod tym względem najgorzej wśród tan-
cerzy baletowych i chyba wśród poetów.

Andrzej: — Muzycy, niestety, grzeszą podobnymi skłonnościami.
Osiągnięcie sukcesu w muzyce jest bardzo trudne, sam talent nie
wystarcza, potrzeba dużego wkładu pracy. Bach, kiedy podzi-
wiano jego dorobek, skromnie mówił: „Byłem pilny”. Łatwiej
być hojnym w sądach wobec dawniejszych pokoleń niż wobec
współczesnych.

Jerzy: — Zastanawiam się, czy jest jakaś lojalność pokolenia.
Bo właściwie, mimo pewnej różnicy lat, należymy do tego samego
okresu, to znaczy do pierwszego pokolenia wychowanego w nie-

podległej Polsce. Urodziliśmy się pod gwiazdą nadziei, a okazało
się że to była gwiazda wisząca nad skazańcami. Przypomina mi
się Norwid, który mówi o takiej polskiej defiladzie w cyrku
Europy: „Śpiewamy *Morituri...* Klasną nam i odpowiedzą:
Morite — Mrzyjcie”.

Andrzej: — To dobre. Osobiście czuję lojalność wobec zmar-
łych. Kilka moich utworów...

Jerzy: — Znam dobrze twoją *Uwerturę tragiczną*, dedykowaną
pamięci twego brata.

Andrzej: — Który jako oficer Armii Krajowej walczył i zginął
w powstaniu warszawskim, w 1944 roku. Ofiarom ostatniej
wojny poświęciłem *Symfonię elegijną*, oraz *Epitafium katyńskie*,
które będzie wkrótce nagrane.

Jerzy: — Mój brat stryjeczny, Damian, zginął w Katyniu. Ja nie
mogę się oderwać od poczucia, że ci którzy pozostali z naszego
pokolenia żyją życiem dzierżawcy. *A prolonged lease of life*,
jakby powiedział Anglik. To może znaczyć, że Opatrzność od
razu ustawiła nas w jakimś zadaniu, albo przeciwnie, żeśmy jesz-
cze nie doszli do tego właściwego zadania.

Andrzej: — Ile ty wydałeś książek, Jerzy, od czasu wojny?

Jerzy: — Chyba z osiemnaście — ojej, za dużo. Ale czy widzę
tę książkę, która wreszcie wypełni moją pańszczyznę? *Domine*,
ut videam! Mówi się, że ktoś ma nazwisko. Co w tym jest?
Czy ty na przykład czujesz odpowiedzialność wobec nazwiska,
które odziedzyczyłeś?

Andrzej: — O, tak, oczywiście. Pamięć rodzinna — to co oni
z siebie dali. Mój pradziad Adam Sielski brał udział w powsta-
niu 1863 roku, był odznaczony krzyżem *Virtuti Militari*. To
obliguje. A brat stryjeczny, Antoni — zabrali go do Oświęcimia.
Nie wyszedł.

Jerzy: — Pamiętam jak pokazywałeś mi w swoim studio w
Twickenham rękopis pamiętników twojego ojca. Ocalały te ze-
szyty z pożogi wojennej. Twój ojciec był też mistrzem w swoim
zawodzie; budował instrumenty smyczkowe, prawda?

Andrzej: — Poświęcił całe życie wskrzeszeniu polskiego lutnic-
twa — była to wspaniała tradycja — konstruował własne mo-
dele, pisał prace naukowe z zakresu instrumentów, które wyda-
wała przed wojną Kasa im. Mianowskiego. *Sztuka lutnicza* to
klasyk w muzykologii polskiej.

Jerzy: — Mój stryj Szymon spisywał swoje widzenia mistyczne; był gospodarzem we wsi Grodzień pod Kikołem, w Ziemi Dobrzyńskiej. Zakopał rękopisy w sadzie, kiedy dowiedział się że Niemcy mają go wysiedlić z gospodarstwa. Niestety po wojnie odnaleziono tylko fragment, który później ogłosiłem drukiem. Autentyk niewątpliwy. Profesor Pigoń, zbieracz piśmiennictwa ludowego, od razu docenił jego wartość.

Andrzej: — Tego rodzaju tradycje rodzinne decydują według mnie o kierunku twórczości.

Jerzy: — O profilu, który nas charakteryzuje. Tak samo jak kontrasty, które artysta dziedziczy; myślę tu o kontrastach biologicznych w rodzicach.

Andrzej: — No, moja matka była pochodzenia angielskiego, chociaż jej nazwisko Thonnes, przez dwa „n”, podobno jest norweskie, z tych Norwegów, którzy osiedlili się we wschodniej Anglii.

Jerzy: — Wiesz, Andrzej, masz w sobie coś z Anglika. Kiedy cię widzę jak kłaniasz się klaszczącej publiczności po koncercie, to w ruchach twoich jest według mnie jakieś połączenie dwu stylów: polski gest i angielski dystans, to zaskakuje ludzi. Wylewność i rezerwa.

Andrzej: — Ty za to wyglądasz bardzo po słowiańsku. Krój twarzy, zarys oczu. Cała twoja dusza jest w oczach. Jeśli jesteś powściągliwy, to raczej w sensie ogłady towarzyskiej. Jesteś bardziej otwarty ode mnie, masz ufnącość wobec ludzi. Czy to nie wywodzi się z dzieciństwa?

Jerzy: — Odziedziczyłem paradoks genetyczny. Byłem bardzo późnym dzieckiem. Dwanaście lat temu w czasie choroby, po skomplikowanych analizach chemicznych, doktor wykrył mi tajemnicę: że nie powinienem być się urodzić. Pomyłka genów. Ojciec był samoukiem, zostawił mi małą bibliotekę, rzadkość na wsi — a matka z bardzo zubożałej rodziny szlacheckiej, z trudem pisała, a czytała zawsze poruszając wargami. Niezwykle subtelna osoba, bardzo religijna — ile ja się namodliłem z nią razem w dzieciństwie — a ojciec prawie wcale nie chodził do kościoła, był sceptykiem do końca życia szukającym wiary. Jego charakter zaprzeczał wszelkim banałom jakimi inteligenci wówczas określali chłopów. Pamiętam jak czytał *Oblicza świętych* Ernesta Hello, a potem gnostyków, a po lekturze medytował chodząc wśród słomianych koszek pszczoł, uważał pszczoły za uduchowione istoty. Przepowiadał pogodę, a w okolicy, tak jak

mój stryj Szymon, cieszył się wielkim szacunkiem. Ot, swoisty guru.

Andrzej: — Twoja pierwsza powieść angielska *The Knotted Cord* była o stronach rodzinnych. Bohaterem jest chłopiec, który nosi habit franciszkański, ofiarowany św. Antoniemu. O ile sobie przypominam, powieść kończy się chorobą matki, która umiera na raka. Jej śmierć rozwiązuje ów „węzeł na sznurze”.

Jerzy: — Kilka lat temu, pamiętasz, szliśmy pod wysokimi drzewami wzdłuż Tamizy w twoim Twickenham, powiedziałem wtedy coś o twojej kompozycji *Autumn music* (Muzyka jesieni) — jej nagranie na taśmie towarzyszy mi, jak wiesz, w podróżach. Jest w niej powtarzający się uparcie rytm zegarowy, wybija on zbliżającą się śmierć. Podobno znalazłeś ten rytm, idąc tą samą drogą do osoby, która umierała na raka — dwa rytmy więc, jeden mierzony stopami, drugi odchodzący w uderzeniach serca. Podobno myślenie muzyczne jest nadśłuchiowaniem takich ostatecznych rytmów, na pograniczu ciszy — czy to co mówię ma sens?

Kelnerka po raz drugi przynosi dwie herbaty z cytryną. „O, to panowie mówią po polsku”. Przez salę przechodzi dystygowany gentleman o asceetycznej twarzy. Andrzej macha ręką. „To znajomy psychoanalityk, ożenił się niedawno. Siedźmy cicho, bo nas jeszcze zanalizuje”. Pauza w rozmowie.

Andrzej: — Jesień ma dla mnie coś nieodwołalnego. Wtedy widać kryzys, który tkwi w samej naturze, na pograniczu istnienia. Czy my nosimy taką jesień w sobie?

Jerzy: — Na pewno tak. Kompozytor czy poeta dojrzewa od kryzysu do kryzysu. Potrzebuje wstrząsów, nagłych przerzutów na inną płaszczyznę psychiczną, do której by nie trafił bez kryzysu. Dla poety istnieje ryzyko odejścia od języka w wymiar ciszy.

Andrzej: — Czytałem z przejęciem twoją *The Other Side of Silence* jako rzecz bardzo mi pokrewną duchowo. Ta „druga strona ciszy”, studium o poezji która dotyka krańców języka. Dlaczego artysta musi zbliżać się do takiej ostateczności? Rimbaud zarzucił pisanie kiedy był bardzo młody, Mickiewicz milczał jako poeta przez dwadzieścia lat...

Jerzy: — A Coleridge powiedział o sobie: „Poeta umarł we mnie”.

Andrzej: — Czasami zapytuję sam siebie czy kompozytor odchodzący z takich czy innych powodów od żywego dźwięku nie

znajdzie się mimowoli w zakresie czystej abstrakcji. Z żywego dźwięku w geometrię. Urzekające piękno geometrii.

Jerzy: — Ty lubisz dawać przykłady geometryczne w komentarzach do własnych utworów. To mnie od początku zastanawiało. W programie koncertu w Queen Elizabeth Hall przeszło dwa lata temu, kiedy po raz pierwszy grano *Sinfonia mistica*, zauważyłem owe koła i twój komentarz: „dziwne że potrzeba sześciu kół jednakowej wielkości aby zupełnie okrążyć siódme koło tych samych rozmiarów co one”.

Andrzej: — Właśnie, dlaczego sześć kół, a nie pięć czy osiem? Jeden z sekretów abstrakcji, czy też paradoks?

Jerzy: — Jeśli geometria styka się z tajemnicą, to już mistyka.

„Wpisałeś mnie, Boże-Kulo,
pomiędzy kule,
abym się żadnej kuli nie ulęknął”.

Andrzej: — Skąd ten cytat?

Jerzy: — Z *Kuli magicznej*, poematu który napisałem w najgorszym okresie wojny. Wyobraź sobie, że dałem mu podtytuł *Układ muzyczny*. Czyli że i ja otarłem się o geometrię. Przypadek?

Andrzej: — Urzekło cię absolutne piękno geometrii, może dlatego, że wojna niszczyła kontury ziemi. Człowiek przedhistoryczny kreślił na piasku koła, trójkąty, kwadraty żeby odtworzyć to co się działo wewnątrz niego. Osobiście wyobrażam sobie utwory Bacha i Mozarta jako struktury geometryczne. Gdyby tylko można było znaleźć dla nich odpowiednik wizualny. Moja geometria jest intuicyjna. Widzę linie i kształty jak przechodzą w układy melodyczne rytmu i harmonii. Geometryczna figura ma więc ukryte znaczenie symboliczne, stąd architektoniczny zarys dla powstającej kompozycji.

Jerzy: — *Sinfonia di sfera* dobrze to ilustruje w użyciu instrumentów. Pamiętam efekt bębnow ustawionych naokoło orkiestry. Fortepian wydawał się upodabniać do nich. Symbioza dla mnie fascynująca. Ale to jest, nazwijmy rzecz po imieniu — racjonalizacja, która następuje po akcie tworzenia. Co się jednak dzieje przed powstaniem pomysłu? Wizjonerzy czy poeci zawsze w snach szukali wskaźników i znaków. Shakespeare, Bosch, Kochanowski, Blake, Słowacki, Rimbaud. A jak kompozytor śni? Czy widzi kolory dźwięków jak Rimbaud czy Słowacki?

„W zapachu kwiatów są akordy” to coś dla ciebie ze *Srebrnego snu Salomei*.

Andrzej: — Sny zapowiadają mi niekiedy pewne harmonie. *Telescoping* — czy jest na to odpowiednik polski? Jakies pionowe podsumowanie dźwięków. Tak to widzę. Mam tę pionowość w pamięci, potem muszę całą sumę rozdzielać — i wtedy dopiero zaczyna się świadoma praca nad kompozycją. Temat snu zawsze mnie frapuje. Niedawno wyskoczył w tytule kompozycji: *Pejzaż senny*. *Dreamscape* brzmi lepiej po angielsku, nie uważasz?

Jerzy: — Bardziej geometrycznie.

Andrzej: — Tak, ale muszę przyznać, że krystalizacja pomysłów u mnie dzieje się podczas bezsennej nocy.

Jerzy: — W jednej z modlitw intelektu napisałem: „Wieczność to chyba bezsenność”. Może Bóg na nią cierpi, kto wie. Powiedz mi czy dla ciebie natchnienie oznacza, że utwór jest ci jak gdyby dany, bez uprzedniego przygotowania?

Andrzej: — Piotr Czajkowski powiedział: natchnienie przychodzi do tego, który o nie woła. Zgadza się z tym. Dla mnie natchnienie kojarzy się z wewnętrznym spokojem i stanem samotności. Podlegam pewnym siłom, które nie są mi znane, ale istnieją. Natchnienie po prostu dyktuje.

Jerzy: — Nie piszę, ale przypominam. Czyja to jednak pamięć? Opowiem ci o dwu przeżyciach, które mnie zdumiały. Nosiłem w głowie pomysł o chłopcu schizofreniku, który chce jeździć w kółko kolejką podziemną. Latem 1964 roku stałem nad zatoką w Portugalii, patrzyłem na morze — i nagle ujrzałem całą powieść *Inner Circle* (Wewnętrzne koło), o trzech różnych motywach i wymiarach czasu. Dlatego uważam, że była darem, albo, żeby użyć twojego wyrazu, podyktowana. Drugie przeżycie było wcześniejsze: w kawiarni w Eisenstadt, mieście Haydna, gdzie napisałem listy Kiry, wcale nie zamierzone, i to w takim pośpiechu, jakby mi je ktoś dyktował. Po siedmiu godzinach nie mogłem ręką ruszyć, ale *Isolation* była skończona.

Andrzej: — Tu docieramy do pewnych głębi, może dalej nie należy wchodzić.

Jerzy: — Są zjawiska tak dziwne, że wydają się zarówno cudowne jak i straszne. *Jeder Engel ist schrecklich*. Dla Rilkego anioł był przerażający. Czy muza jest aniołem?

Andrzej: — Dla mnie tak, szczególnie gdy używa ręki Mozarta.

Wiesz, w niebie podobno aniołowie grają Bacha Panu Bogu, a sobie grają Mozarta. Ja w to wierzę.

Jerzy: — Kurtyna. Skończmy na dziś rozmowę.



Studio Andrzeja w Twickenham. Ściany wyłożone jasnym drzewem, biurko; biały telefon z którego można tylko dzwonić, taki jednokierunkowy środek komunikacji; z tyłu fortepian, a na podniesieniu dwie skrzynie, jedna z nich ze skóry, stara — obie zawierają manuskrypty i szkice do kompozycji. Ascetyczne wnętrze, nie ma przedmiotów, które by rozpraszają uwagę.

Jerzy: — Tu w Twickenham nad Tamizą żyjesz w kręgu poezji i muzyki. Osiemnastowieczny poeta, Alexander Pope mieszkał niedaleko twojego domu. Napisałeś kantatę do tekstu jego *Universal Prayer*. Dyrygował ją po raz pierwszy Leopold Stokowski, prawda?

Andrzej: — Tak, w Nowym Jorku, w katedrze św. Jana — to było w 1970 roku. Dwa lata temu na festiwalu jesiennym usłyszano *Modlitwę powszechną* w Warszawie, po długiej znowie milczenia, ale o tym potem.

Jerzy: — Naprzeciw twojego domu stoi pałac księcia Orleanu, późniejszego Ludwika Filipa, który znał się na muzyce.

Andrzej: — Wiesz pewnie, Chopin odwiedził go tutaj w drodze powrotnej ze Szkocji, na rok przed śmiercią.

Jerzy: — Czy sądzisz, że atmosfera miejsca, szczególnie takie powiązanie z twórczością innych ludzi, wywiera dobroczynny wpływ na artystę?

Andrzej: — Sam już fakt, że mieszkam w Twickenham zmusił mnie do poznania poezji Pope'a — i stąd zachwyt, potem zrozumienie jego stylu, który poddał mi architekturę muzyczną dla kantaty.

Jerzy: — Alexander Pope był katolikiem.

Andrzej: — Niełatwa rzecz wówczas. Takie przyswojenie sobie obcej wyobraźni pozwala niejako zapuścić nowe korzenie w kraju do którego nas los rzucił.

Jerzy: — Atmosfera przeszłości i tło obecne. Obaj znaleźliśmy się w środowisku angielskim; twoja piękna żona jest Angielką, masz dwoje dzieci, wśród twoich przyjaciół muzycznych domi-

nują Anglicy, co jest zresztą zrozumiałe. Ale gdy chodzi o środowisko polskie, żyjesz — tak jak ja — na uboczu. Wybór czy konieczność?

Andrzej: — I to i tamto. Wielu rodaków na emigracji żyje przeszłością, która nigdy nie powróci. Rany niech się leczą same, bez rozdrapywania. Myślę, że w mojej obecnej fazie — tak jak na pewno i w twojej — należy odejść od problemów przeszłości i poświęcić całą pozostałą energię temu co jest obecne w nas teraz. Odnalezienie siebie wymaga jednak izolacji — stąd przyśłowiona samotność artysty.

Jerzy: — Samotność jest czasem ceną, którą trzeba płacić za oryginalność. Gorzki chleb — polskość, powiedział Norwid. Conrad czuł to samo, i wywoływało to w nim objawy patriotycznej drażliwości. Ale gdyby ci dwaj niezwykli ludzie mieli lepsze życie, to znaczy mocniejsze oparcie w środowisku, w którym się znaleźli — czy by wtedy potrafili dojść do „jądra ciemności” i przebić się przez ciemność stylu na drugą stronę ukrytego sensu życia? To, wydaje mi się, jest kluczowym pytaniem.

Andrzej: — I dlatego trzeba przyjąć fakt, że nie będzie się mieć zbyt dużego poparcia oficjalnych instytucji i kół, które zajmują się sprawami kultury w kraju zamieszkania. Natomiast pisarz czy artysta pracujący w Polsce, dopóki nie jest w konflikcie z władzami, znajduje poparcie różnych krajowych instytucji i placówek dyplomatycznych za granicą. W to wchodzi nagrody, subwencje, cała machina propagandowa wewnątrz i na zewnątrz kraju.

Jerzy: — Dopiero ostatnio zauważyłem, że Polacy rozproszeni w świecie bardziej się interesują dokonaniem artystów czy pisarzy, którzy od lat pracują poza krajem. Mówmy otwarcie: pewnie dlatego się interesują że ten okres się kończy, ludzie umierają.

Andrzej: — Właściwie kiedy tak zwana Wielka Emigracja przestała być aktywna?

Jerzy: — Mniej więcej gdzieś około 1860 roku, jeśli myślimy kategoriami powstańczego lub wojennego uchodźstwa. Norwid pisał dalej, do 1883 roku, ale był głosem wołającego na puszczy.

Andrzej: — Zupełnie przemilczany. Pochowany w zbiorowym grobie.

Jerzy: — Żalić się nie wypada, nawet gdy boli celowe przemilczanie. Jest taka brytyjska biblia sukcesu, *Who's Who* — i ty

i ja w niej się znajdujemy, czyli że „zauważono nas” jakby powiedział Gombrowicz, ale integracja ze środowiskiem to problem o wiele bardziej skomplikowany. Znam pisarzy angielskich, moich rówieśników, którzy są emigrantami z wyboru, mieszkają stale we Francji lub we Włoszech, czy nawet w Grecji. Każdy z nich, wiem to z rozmów, przyjmuje dystans wobec własnego kraju jako konsekwencję wyjścia z rodzimego środowiska, ale to samo dzieje się gdy artysta robotniczego czy chłopskiego pochodzenia, jak D.H. Lawrence lub nasz Kasprówicz, wchodzi dzięki własnemu talentowi do środowiska intelektualnego. Wyobcowanie daje mu dystans psychiczny a także siłę, co go czasem przestrasza.

Hałas przerywa rozmowę. Nisko ponad domem przelatuje odrzutowiec Concorde; dopiero co wystartował z lotniska w Heathrow, zaledwie kilka kilometrów od Twickenham. Ale wkrótce powraca cisza. Na starym murze naprzeciw okna siedzi ptak — niebo pochmurne jak zwykle w Anglii. Zamyślenie, trochę melancholii.

Andrzej: — Skąd pochodzi ta siła, która trwa na przekór — jak myślisz, Jerzy?

Jerzy: — Z dramatu dzieciństwa. Dla mnie skończyło się ono, razem ze wsią, przed czternastym rokiem życia — potem nastąpiła pustka a także nieunikniony gniew wieku dojrzewania. Odtrutka na ból. Dopiero teraz, po tylu latach, zaczynam lepiej rozumieć psychiczną siłę sieroctwa. Ona zmusza do przyjęcia prawdy, że człowiek jest zupełnie sam, a jeśli ma oparcie, to tylko w jakiejś wizji i — w Bogu.

Andrzej: — Moje dzieciństwo nie było wiejskie. Całe życie mieszkaliśmy w centrum Warszawy, choć rodzina Panufników pochodziła z Podlasia — przodkowie moi więc mieszkali na wsi. Pozostał w psychice jakiś atawizm, który odezwał się w pierwszym przeżyciu muzycznym.

Jerzy: — To mnie bardzo interesuje, geneza kompozytora. Czy cię dobrze zrozumiałem, pamiętasz konkretne zdarzenie z dzieciństwa, które ci uświadomiło, że nosisz w sobie muzykę?

Andrzej: — Pamiętam taką jedną scenę — miałem wtedy siedem czy osiem lat — byłem na wakacjach na wsi, moją ulubioną rozrywką było podsłuchiwanie dźwięków w słupach telegraficznych. Przykładałem ucho do słupa i pamiętam zafascynowanie akordem, który się stopniowo przetwarzał w linie melodyczne. Kalejdoskop dźwięków, rozumiesz. Słyszałem w nich skojarzenia, które układały się w szereg stale powtarzających się tonów, czterech lub trzech, jakby w różnych kolorach. Kalejdoskop.

Jerzy: — Czy znałeś już wtedy notację muzyczną?

Andrzej: — Ależ nie. Ani nie grałem jeszcze na żadnym instrumencie. Słuchając tych słupów telegraficznych — zdaje sobie teraz sprawę — przeżywałem proces twórczy, wewnątrz wyobraźni tworzyłem muzykę i ją zapamiętywałem. I to ciepło drzew wokoło, zapach żywicy, ekstaza przecucia, tak, tak, przecucia, że coś miało potem nastąpić. Mam pomysł — kiedy ci mówię o tym teraz, czuję że wykorzystam to dziecięce spotkanie z dźwiękiem w kwartecie smyczkowym, który niedługo zacznę komponować, jeśli anioł-muza pozwoli.

Jerzy: — Twoja historia ze słupami przypomina mi moje spotkanie z rymem. Po raz pierwszy zauważyłem końcówki słów kiedy słuchałem dziwaka, który chodził po wsi i cały czas gadał tylko rymami. Ludzie się z niego śmieli, ale dostawał podarki, był dowcipny. W pierwszych wierszach używałem konkretnych nazw miejscowości i ludzi, byłem autentystą zanim powstał ten ruch poetycki. Także fascynacja zapamiętanymi obrazami: mariawici idący przez wieś. Próba ich zrozumienia po latach, najpierw w powieści *The Knotted Cord* a wreszcie w monografii o tragicznej postaci biskupa Kowalskiego, *The Third Adam*. Kiedy B.B.C. przygotowało program radiowy oparty na tej książce, ty napisałeś muzykę — widzisz, nasze drogi zbiegły się, szliśmy sobie naprzeciw.

Andrzej: — Ten „trzeci Adam” wprowadził mnie znów w ojczysty klimat poprzez polską pieśń religijną. Majowe śpiewy.

Jerzy: — Przy umajonych figurach. Czy zgodzisz się, Andrzeju, ta polskość powraca dlatego także, że w miarę lat człowiek się pogłębia, idąc w głąb zbliża się do tych pierwszych korzeni.

Andrzej: — Nawet gdy zmieni język pisarski, jak to się stało z tobą. Kiedy właściwie przestałeś pisać wiersze po polsku?

Jerzy: — Gdzieś po 1952 roku. Nie było żadnej dramatycznej decyzji, pisanie po angielsku przyszło dość naturalnie. Potrzebowałem kontrastu i dystansu żeby znaleźć nowe formy wypowiedzi. Dystansu wobec przeżyć. Człowiek całe życie szuka integracji. Wspomniałeś słowo „architektura”. W którymś z twoich komentarzy mówisz o *unfrozen architecture*, to znaczy o niezamrożonej architekturze, czyli o muzyce.

Andrzej: — Moje ćwierćwiecze poza Polską utrwaliło we mnie przekonanie, że architektura, czyli struktura kompozycji, wzmacnia fundament na którym stoi całe moje myślenie muzyczne. Do

tego oczywiście dochodzi dyscyplina oraz oszczędność środków, która wynika z dyscypliny.

Jerzy: — Będąc tylko słuchaczem, silnie reaguję na te właśnie utwory w których, jak w ostatnich dwu symfoniach, sięgasz muzyki sfer, ale nie w sensie kosmologii Ptolemeusza. Chodzi o kręgi dźwiękowe.

Andrzej: — Nie tylko w ostatnich symfoniach. Nawet w bardzo wczesnych, jak w *Uwerturze tragicznej*, napisanej prawie czterdzieści lat temu, gdzie konstrukcja opiera się wyłącznie na jednej komórce, a ta komórka składa się z czterech nut.

Jerzy: — Wracamy, Andrzej, do twoich czwórek i szóstek — tamte słupy telegraficzne chodzą za tobą jak duchy dźwięków. A co do trójek, to pewnie triady metafizyczne jak w koncepcjach religijnych. Do tego wrócimy jeszcze, jeśli pozwolisz.

Andrzej: — Kiedyś mówiliśmy o strukturalizmie językowym, który stał się tak modny że aż wydaje się podejrzany.

Jerzy: — Jest w nim coś sekciarskiego, szczególnie u bezkrytycznych imitatorów. To co robiłem kiedyś we własnej poezji miało na celu strukturę, żeby wyzwolić się z przeliryzowania wiersza. Ostatnie dwa poematy, które napisałem po polsku, *Piąty poemat* i *Sielanka stołeczna* (oba, *nota bene*, ogłoszone w *Kulturze*) były eksperymentami opartymi o składnię metafory; nazwałem to „rzutowaniem metaforycznym” — szukałem równowagi na pograniczu języka. To samo w *Inner Circle*, gdzie jest trójkątna kompozycja, jakby ta twoja triada, warstwy czasu wyrażone w trzech stylach.

Andrzej: — Bo widzisz, Jerzy, konstrukcja daje emocjom proporcje. To ona zostaje jak budynek. O tym dobrze wiedzieli klasycy.

Jerzy: — A Chopin, choćby w genialnych Etiudach? Jak one mocno siedzą w architekturze, w materiale dźwiękowym i w tej żarliwej treści poza nutami.

Andrzej: — Tak, tak. Należy uparcie szukać równowagi w materiale i w sobie.

Jerzy: — Dwie szale drgają w symbolu zodiakowym. Libra, znak Wagi.

Andrzej: — Należymy przecież do tego samego znaku. Czy takie powiązanie astrologiczne łączy nas? — i czy bierzemy tę symbolikę na serio?

Jerzy: — Trzej magowie-astrologowie szli za gwiazdą betlejemską. Ile miesięcy w kalendarzu, tylu apostołów. A jak rozumieć Apokalipsę św. Jana bez symboliki zodiaku?

Andrzej: — Czas na spacer do kuchni. Pieczone kartofle już na nas czekają.

Jerzy: — Zapach z dzieciństwa...



Mieszkanie Jerzego wbudowane w dach wiktoriańskiego domu na Hampstead w północnym Londynie. Widok z okien na światła całego miasta — wrażenie jakby się było w środku latarni morskiej lub w kajucie okrętu. Pokój z filarem podpierającym sufit: stara fotografia w owalnej ramie, dziadek Józef; niżej podobizna gotyckiej rzeźby Matki Boskiej ze Skępego. Książki, ciemne belki — dużo nieba naokoło.

Andrzej: — Lubię intymną atmosferę twego mieszkania. Nadaje się do rozmyślań i do zwierzeń. W twojej parafii mieszkał poeta Keats.

Jerzy: — Niedaleko stąd, idąc w dół ulicą — tam napisał odeę do słowika, wielce muzykalnego ptaka.

Andrzej: — Pamiętasz urodzinowe przyjęcie, które tu urządziliśmy we trzech dla wybranych przyjaciół, razem z bardzo znanym powieściopisarzem angielskim? On też spod znaku Wagi i też mieszka w Hampstead.

Jerzy: — Popatrzmy na te daty urodzenia. Twoja 24 września, ten sam dzień, w którym urodził się Cyprian Norwid.

Andrzej: — Czy to może zły omen?

Jerzy: — Mój też mógłby być zły. Urodziłem się 29 września, w dniu świętego Michała Archanioła, dlatego mnie tak diabeł nie lubi. Jung próbował przywrócić astrologii jej pierwotne prawo do określania predyspozycji charakterów. Możemy to obaj stwierdzić na własnej skórze. Jeśli łączą nas wspólne cechy i zainteresowania, to może jednak coś jest w tym zodiakowym pokrewieństwie. Mówiłeś przedwcześniej o jesieni — to nasza pora roku — mnie najlepiej się pisze jesienią. Tobie także, sądząc po tytule *Muzyka jesieni*.

Andrzej: — Wenus podobno ma być opiekunką naszego znaku. Można ją przyjąć jako symbol. Ten symbol, ta planeta oznacza energię erotyczną w kosmosie. Bez niej nie można sobie wyobrazić aktu tworzenia.

Jerzy: — Ta sama energia przenika ceremoniał religijny, jak gdyby człowiek pragnął zbliżyć się myślami do tego co jest nie-nazwane i niewyraźne. Wychowałem się jako dziecko w kulcie Matki Boskiej, który był nasycony ciepłem i zapachem przyrody. Jak suchy jest protestantyzm bez elementu kobiecego. Jung to sam przyznał, pochwalając dogmat wniebowzięcia.

Andrzej: — Znalazłem dużo pomocnych spostrzeżeń w książce Junga *Człowiek i jego symbole*. Nie ma natchnienia bez zachwyty, a natchnienie, pewnie się z tym zgodzisz, jest boginią, nie bożkiem, tak ja to odczuwam.

Jerzy: — Kiedy, szukając analogii, zajmowałem się trochę Kabałą, uderzyła mnie postać Szekinah, kobiecości zesłanej na wygnanie do niższego świata. Przypomina się *Das Ewig-Weibliche*, które nas ciągnie ku górze, uwięziona Anima w naszej psychice.

Andrzej: — Myślę, że w tym elemencie tkwi także tajemnica folkloru, nie sądzisz?

Jerzy: — Tak, ta prakolebka pieśni o której jest mądry wiersz w *Vade-mecum* Norwida. Zwróć, Andrzej, uwagę na wyraz *kolebka*. Jak ja nie lubię folkloru na eksport, tego przebijania ludzi w cudaków. *Sclavus saltans*. Pamiętasz jak Chopin z gniewem reagował na zwulgaryzowany sentymentalizm ludowości. Ale jak ty sam widzisz teraz folklor, w czterdzieści lat po twoich *Pięciu pieśniach ludowych* na głosy chłopięce i pięć instrumentów?

Andrzej: — Powstały, powiedzmy szczerze, z inspiracji patriotycznej; po klęsce wrześniowej chciałem dotknąć tych sił, które instynkt przechował w ziemi, pod powierzchnią. To był impuls podświadomy.

Jerzy: — Matka-Ziemia. Pragniemy żeby nas karmiła, kołysała, kochała. Tu przychodzi mi pytanie dosyć oczywiste. Czy pracując poza Polską czujesz te same impulsy?

Andrzej: — Sądzę, że nawet głębiej niż przedtem. Komponując na przykład *Sinfonia sacra*, utwór milenijny, włączyłem się niejako w ten dawny nurt i pieśń Bogurodzica stała się siłą tworzywa muzycznego. Co dziwne jednak: napisałem *Sacrę* w Hiszpanii, dokładnie mówiąc w Andaluzji, którą ty tak kochasz.

Jerzy: — Przez lata Hiszpania zastępowała mi Polskę. A język dał mi Góngorę, świętego Jana od Krzyża, — przysłówia Sancho Pansy. *Don Quijote*, co za genialna powieść. Dawniej, może

o tym nie wiesz, pisałem podróżując z miejsca na miejsce, wiozłem notatki i książki w walizkach, musiałem być w ruchu. Teraz tego nie robię.

Andrzej: — Ja także stałem się bardziej osiadły. Zaczynamy już podsumowywać własny dorobek.

Jerzy: — Rozumiem lepiej własnych rodziców, pradziadów, może nawet własny naród. Do tego potrzeba dystansu. Mnie oświadczyłeś, że dał go język angielski. Napisanie kilkunastu książek to jakby wrastanie w inny organizm, podróż do środka osobowości. Fakt, że twój ojciec konstruował instrumenty, nawet założył pierwszą fabrykę instrumentów muzycznych w przedwojennej Polsce, a potem szkołę budowy instrumentów — to wszystko było niejako przygotowaniem budynku, w który wszedłeś i wypełniłeś własnymi nutami. Mówiłeś mi, że twoja matka grała na skrzypcach — czyli że ona też przyczyniła się do tego budynku. Nie ma przypadków w genealogii aktu tworzenia, w to wierzę głęboko im dłużej na tej ziemi żyję.

Andrzej: — Dlatego, że obcujesz z twoimi przodkami, nawet jeśli twoje dźwięki są transponowane na angielski.

Jerzy: — Mój dziadek Józef, ten który patrzy na mnie ze ściany, nie umiał czytać i pisać, miał za to kulturę obyczaju i ceremoniału. Czuję za sobą te pokolenia milczenia, idące wstecz Bóg wie jak daleko, w pamięć cywilizacji wiejskiej. To żaden prymityw, który wymyślili chłopomani. Przeciwnie. Ale w piszącym tkwi genealogia słowa. Ona zmusza, żeby temu milczeniu pokoleń dać wyraz.

Andrzej: — O, tak. Dlatego trzeba się strzec pawia i papugi wszelkich imitatorów, którym nazbyt imponuje mechanizm mody. Nowatorstwo a oryginalność to według mnie dwie różne rzeczy.

Jerzy: — Podpisuję się pod tym dwiema wersjami mojego do-brzyńskiego nazwiska.

Dzwoni telefon w sąsiednim pokoju. Jerzy rozmawia z reżyserem B.B.C., który nagrywa audycję o poezji Papieża. Coraz więcej niebieskich i czerwonych świateł poza oknami. Widać wieżowiec poczty. Nie ma chmur, tylko wiatr, który wyostreza kontury miasta.

Andrzej: — O tej wieczornej porze przychodzą różne refleksje. Prostota, bezpośredniość, nawet dziecięca naiwność — jak je ustrzec od niebezpieczeństwa mechanizacji, manipulacji technicznej, spekulacji intelektualnej?

Jerzy: — Czasem trzeba bardzo głośno krzyknąć, że król Ubu

jest nagi. Pozwól, że spróbuję odtworzyć z pamięci myśl Whiteheada. Tak to mniej więcej idzie: „Szukaj prostoty, ale jej nie dowierzaj”. Jeśli ją w ogóle znajdziesz. Wbrew naszemu przyrzeczeniu na początku zazdroszczę ci jednej rzeczy: że posługujesz się językiem dźwięku. Nie potrzebujesz tłumacza.

Andrzej: — Ja sobie zdaję sprawę z tego przywileju. Ale i tobie nie wolno narzekać, bo masz do dyspozycji język, który znają miliony.

Jerzy: — To może niekiedy zastraszyć. Pomyśl ile setek książek wychodzi w ciągu tygodnia. Pisarz znajduje się na ogromnym oceanie języka gdzie brzegów nie widać. Płynie.

Andrzej: — Podobnie jest z przestrzenią dźwięku. Co by to było, gdyby jakiś chytry inżynier wymyślił sposób na wypuszczenie tego co nagrane z głośników wszystkich stacji radiowych naraz? Szalona orkiestra w ataku na świat.

Jerzy: — Mogę to sobie łatwo wyobrazić. Raz jeszcze dojdziemy do granicy problemu. Szczerłość wypowiedzi, cokolwiek rozumiemy przez szczerłość w sztuce, zależy od środków przekazu, które dyktują swoje warunki, i tu prorok z Toronto, McLuhan, ma dużo racji. Niewidzialna elektryczność nałożyła niewidzialne kajdany, które opasują nasz glob. Wiś globalna: jest w tym zwrocie ironia antypastoralna.

Andrzej: — Obyśmy się nie zasmucili z powodu pana McLuhana.

Jerzy: — Nie, to tylko dygresja.

Andrzej: — W ostatecznym rozrachunku komunikatywności i szczerości cóż zostaje? Indywidualny głos człowieka. Nawet gdy go świat zagłusza.

Jerzy: — Pozostaje mimo wszystko muza ciszy, która rozdziela swoje zbożne dary wtedy, kiedy się ich wcale nie spodziewamy.

Londyn, przed Wielkanocą 1980 roku.

Copyright Jerzy Peterkiewicz 1980.

Copyright Andrzej Panufnik 1980.

To nic nie zmieni

Nie jestem bohaterem i swoje wiem, proszę mnie źle nie zrozumieć. Tego człowieka co się spalił sam widziałem. Szukałem właśnie waty, po drugiej stronie ulicy była kolejka po cytryny i pomarańcze, a tu stali ludzie. Z daleka myślałem, że studenci coś robią, jakiś manekin albo coś, ale nie, to był człowiek, jeszcze ręka mu się zaciskała. Był przepasany łańcuchem i miał tablicę. Metalową tablicę z napisem. Gasili go gaśnicami i ktoś krzyknął, żeby zdjąć czapki. Chciałem zawołać księdza. Niektórzy mówią po co umarłem kadzidło? Ale ja myślę, że potrzebne, jak nie umarłem to nam. Nie znalazłem księdza, więc poszedłem i kupiłem tę watę. Myślałem, że to będzie jak z Pyjasem, ale nie. Pogrzeb załatwiono po cichu i nawet się dużo o tym nie mówiło, ale w dzień stawiano świece i rzucano wiązanek kwiatów. Potem, w nocy, ktoś to sprzątał.

Wie pan, ludzie tutaj tego nie rozumieją, ale my mamy więcej goryczy. Byłem tu na pochodzie pierwszego maja. Co oni wiedzą? Mógłbym być dla nich profesorem. Owszem, ekonomicznie jest lepiej. U nas jak ktoś ma posadę to go mają. Żyć trzeba, a oni mogą z panem zrobić co chcą. Wyrzuć z pracy, wyrzuć z mieszkania. Już chociażby to, że zmuszają do kłamstwa. Pytają kogo pan wczoraj spotkał, a pan nie wie po co im to i co z tego robią? Albo sprawa paszportów. Co ja panu będę mówił, to wszystko jest znane.

Mówiłem tu z jednym komunistą. Patrz — mówię — jak zabiorę tę książkę i mnie złapią, to następnym razem nie dostanę paszportu, a ja chcę zobaczyć jak wam się żyje, zachodnim komunistom. Pan wie, wzruszył tylko ramionami i powiedział, że ja nic nie rozumiem. Ja nic nie rozumiem, słyszał pan?

W tę naszą opozycję to ja nie wierzę. Co to zmieni? Czytam te różne pisma, ale sam tylko patrzę. Nie mam przekonania. Chciałbym wiedzieć, jak to jest, ze mną i z innymi, czy to strach daje taką optykę? Bo tak mówią, proszę pana, wszyscy — „co to zmieni?”.

Ja sobie nie wyobrażam, żeby to się mogło zmienić, ale jest coraz gorzej. Jak papież przyjechał to ludziom dało siłę. Pewnie panu mówili. To było imponujące. Ludzie przyjechali do Krakowa z całej Polski. Chłopi z węzełkami z jedzeniem. Tłumy takie, że myślałem, że nikt nad tym nie zapanuje. A był spokój i porządek. Chodziłem z grupką Czechów. Pan wie, w Krakowie Czechów nie lubią, ale wtedy wszyscy byli inni. Myślę, że wtedy, przez kilka dni, ludzie traktowali na poważnie pojęcie bliźniego.

Komunizm przerobił nas na jakichś biednych pragmatyków. Na ulicy czy w sklepie ten bliźni zachowuje się ciągle jak świnia. Człowiek się zaraża tym świństwem. Taki tani pragmatyzm. Człowiek jest albo narzędziem albo przeszkodą.

Jak papież przyjechał ludzie odpoczywali od tego świństwa. Normalnie można to było obserwować na ulicy. Wie pan, to było duże przeżycie i ludzie byli inni przez wiele dni, ale to nie mogło zmienić systemu i powoli wszystko wróciło do normy. Co roku staram się wyjeżdżać na Zachód, żeby odpocząć od tego taniego pragmatyzmu. Tu ludzie na codzień są spokojniejsi, nie ma w nich tej złości, tego świństwa. U nas to było odświeżenie, uduchowienie i trwało tylko kilka dni. Tu jest to normalne, jak gdyby wpisane w system, więc ludzie tego nie szanują. Dla mnie to jest odpoczynek, idzie pan po ulicy i twarze przechodniów są bez agresji. Pan zapewne już tego nie pamięta. Zresztą ja nie wiem czy tak było zawsze, czy też to świństwo narosło w ciągu ostatnich lat. Może tak było dawniej też, tylko ja byłem młodszy, silniejszy, bardziej optymistyczny. Może po czterdziestce zaczęła się moja ucieczka, a równocześnie jakaś szczególna wrażliwość na to wszystko? Sam nie wiem. Dawniej używało się słowa chamstwo. Było w samej nazwie jakieś poczucie wyższości wobec tego chamstwa, wobec baby, która wypychała się przed panem do kolejki, wobec szofera autobusu, który zamknął panu drzwi przed nosem, wobec ekspedientki, której się nie chciało. Zastanawiałem się nawet czy państwo nie robi tego celowo, czy nie podsycą jakoś tej nienawiści i pogardy, czy nie ma w tym jakiejś sztuczki, jakiegoś makiawelizmu? A potem uświadomiłem sobie, że wcale tego nie planując albo, że planując to zupełnie inaczej, zaszczepili w nas ten piekielny pragmatyzm. Wyrugowali pojęcie bliźniego i pozostali tylko partnerzy w grze o to, żeby się jako tako urządzić. Niech pan

zwróci uwagę, że to nie jest wielka gra o to, żeby się dobrze urządzić, to nie jest gangsterska decyzja o tym, żeby po trupach zdobyć fortunę. Nie, przy pomocy małych ale ciągłych świństw człowiek urządza się jako tako. Zdobywa pan watę i jest pan zadowolony, przekupuje pan ekspedientkę i ma pan poczucie zwycięstwa. Skarłała nawet nasza niemoralność. Trudno mi sobie wyobrazić, żeby tu na Zachodzie nie było korupcji, ale wtedy wchodzi w grę duże pieniądze, jakieś wielkie brudne sprawy. U nas korupcja to jest sposób życia. Przekupuje pan panią, żeby panu odłożyła papierosy. Państwo jako aparat ucisku i wyzysku jest nadbudową nad jakimś nieskończeniem wielkim czarnym rynkiem, którym rządzą nieskończenie małe prawa. Wobec tego państwa i wobec tego czarnego rynku jest pan zupełnie bezbronny. Jest to społeczeństwo, którego wszystkie instytucje, te niby legalne i te zupełnie nielegalne, są wobec pana wrogi; a panu odebrano tę jedyną możliwość obrony, pozbawiono pana możliwości odczuwania bliźniego jako bliźniego.

Ludzie to różnie nazywają, znieczulicą, tumiwizmem, zobojętnieniem. Tak, jak gdyby bali się nazwać rzeczy po imieniu. Zwyczajny strach, żeby nie powiedzieć co to jest. Wie pan, byłem kiedyś na takim wykładzie o dobroci. Używano tam pojęcia bliźniego, ale inaczej niż ja to sobie wyobrażam. Nie ma co namawiać ludzi do dobroci jeśli przestają uświadamiać sobie kiedy czynią zło. Mnie jest potrzebne pojęcie bliźniego, żebym przynajmniej wiedział kiedy robię świństwo. Ja nie wiem czy mógłbym być człowiekiem dobrym, szczególnie w tamtych warunkach, bo łatwo być człowiekiem dobrym kiedy okoliczności nie zmuszają do ciągłych świństw. Widzi pan, ja chciałbym mieć wyrzuty sumienia; chciałbym, żeby jakieś wyobrażenie bliźniego było miarą tego co robię dla mnie samego. Nas pozbawiono miary.

Pan to nazywa cwaniactwem? To jest cwaniactwo, ale to jest efekt, rezultat a nie przyczyna. Przyczyną tego cwaniactwa jest to, że nas pozbawiono miary, że wpędzono nas w ten pragmatyzm dla ubogich i zatraciliśmy się w urządzaniu sobie względnej wygody w niewygodzie.

Ten komunista o którym panu wspominałem uważa mnie za mistyka. Ja nie wiem czy to do czego tęsknię jest mistyka. Niewykluczone. Obaj jesteśmy mistykami. On jest mistykiem tego pragmatyzmu, o którym my wiemy, że jest pomyłką. Zrobił sobie bożyszcze ze sprawiedliwości i chciałby podzielić sprawiedliwie dobra materialne i duchowe. Ale Bóg jest tajemnicą. Nawet taki sztuczny Bóg też okazuje się tajemnicą. Jeszcze mu się to wszystko nie rozłazi. Jest człowiekiem dobrym wedle najstarszych schematów, nienawidzi bogatych i kocha biednych. On

się mnie boi, boi się o tę swoją prościutką ideę własnej dobroci. Jestem dla niego mistykiem, ale również ateistą wobec tej jego wiary w Sprawiedliwość osiągniętą przez racjonalny pragmatyzm. Nienawidzi komercjalizmu i drażnię go moim pożądaniem rzeczy nieosiągalnych u nas z powodu jego komunizmu; tyle, że on te rzeczy ma i sam nie uważa ich za zbędne. Wie pan, on nie jest taki naiwny na jakiego wygląda. Ubrana w prosty katechizm wiara chroni go przed subiektywną komplikacją indywidualnej oceny rzeczywistości. W tym wszystkim jest to postać intrygująca, ale nie ważna. O ile w Krakowie nie mogę dostać waty, to na Zachodzie zawsze mogę spotkać komunistrę, natomiast brak waty wydaje się tu być stanem nieosiągalnym, co ostatecznie też może być złudzeniem.

Tak czy inaczej, proszę pana, jesteśmy bogatsi o pewne doświadczenia, co wcale nie przynosi nam uznania. Pozornie głupkowaty problem, proszę posłuchać — czy fakt, że mnie ogłupiono może uczynić mnie mądrzejszym?

Pan się śmieje, ale jak to inaczej sformułować? System świadomości i konsekwentnie zmierza do pozbawienia obywatela zdolności samodzielnego myślenia. Gdzie indziej może pan zrzec się prawa do samodzielnego myślenia dla wygody, tam jest pan pozbawiony tego prawa, więc może pan zacząć o nie walczyć dla samej perwersji. Tu pojawia się bunt jako wartość. Przy czym, może jestem w błędzie, ale mnie się wydaje, że ten nasz bunt jest lepszą wartością aniżeli bunt tutejszych komunistów. Mamy lepszy obiekt buntu, ważniejszy powód. Mój komunista okazuje się jeszcze bardziej zakłamanym niż ja. Wie pan, ma nowiutkiego saaba. Taki samochód jest wart dziesięć tysięcy dolarów. Więc mu mówię: można by za tę sumę wykształcić co najmniej setkę dzieci w Afryce. To on wzrusza ramionami i pyta co to zmieni? Tu go mam. To jest to samo święństwo tylko na innym poziomie. To jest ta nasza tęsknota do jednoznacznej i bogatej relacji między naszymi działaniami a realizacją celu; przekonanie, że bylibyśmy zdolni do ofiar i wyrzeczeń gdyby to miało sens. Brak jednoznacznej relacji zwalnia nas od wierności sobie.

Ale nie tylko to, wie pan, tam u nas dotarliśmy chyba do jakiejś granicy, do jakiegoś dna. Szukałem w książkach odpowiedzi na pytanie co to jest kultura. Intuicyjnie wyczuwam, że to ważne. Bo, wie pan, naród, jakiś ideał dobrego Polaka, co to znaczy? A znów kultura — narodowa, europejska, też zawsze pojawiają się przymiotniki. Można jeszcze przez negację. Socjalistyczna kultura. Wie pan, że nawet oni dali sobie z tym spokój.

Powiedzmy, że jestem produktem trzech kultur: narodowej, katolickiej i europejskiej i jak gdyby na złość ich własnej aparatu

turze pojęciowej, właśnie socjalistycznej. Powiedzmy najszerzej — kultura to społeczne środowisko z pewnymi formami tradycji, które skłaniają członków tego środowiska czy społeczności do podobnych zachowań. Więc kultura socjalistyczna jest; i we mnie, podobnie jak w innych, nakłada się ta socjalistyczna kultura na te trzy pierwsze, które są starsze i które były pierwotne w stosunku do niej. Ja nie jestem fachowcem. Próbuję sobie odpowiedzieć na pytanie jak to jest? Ta socjalistyczna kultura jest niby najsilniejsza, a równocześnie jest najsłabsza. Nie wiadomo nawet czy jest kulturą, czy tylko jakąś beznadziejnie niesprawną organizacją naszego życia? Więc w końcu wszyscy zaczęliśmy szukać w tych innych warstwach. Oni sami próbują się najczęściej usprawiedliwiać przez narodową. Był nawet kiedyś taki afisz: socjalizm polską racją stanu. Między nami mówiąc, katolicyzm też był kiedyś polską racją stanu. Nie ma co wydziwiać. Zabawne jednak kiedy się robi takie afisze.

Tak czy inaczej problem kultury narodowej zrobił się najważniejszy i chyba najwięcej tu nieporozumień, z tradycji i z sytuacji. Wiek dziewiętnasty, z jego nacjonalistyczną histerią, doprowadził to wszystko do absurdu; a my bylibyśmy wtedy u szczytu frustracji, więc dodatkowo wrażliwi, chłonni na nacjonalistyczną chorobę. To, że jestem Polakiem jest dla mnie ważne; ciągle jeszcze nie wiem dlaczego, bo na początku był przypadek.

Ja się wyzwoliłem z tego przekonania o więzi krwi i o wyższości naszej kultury nad sąsiadami, ale w wielu to siedzi. Wie pan, sprawa żydowska jest prosta. Uśmieje się pan, ale najtrudniej mi było z Czechami. Im bardziej o tym myślałem, tym bardziej wpadałem w kompleks wyższości ich kultury nad naszą, a potem odwrotnie — naszej nad ich. W końcu pomogła mi fizyczna praca w grupie Czechów. Normalne, codzienne związki z jednostkami, takie zwykłe przekonanie się, że oni są różni; nie różni od nas, a różni między sobą. To banalne jak ktoś mówi, że stereotyp niczego nie opisuje, ale stereotypy są wygodne, trudno od nich uciec.

Więc dobrze, co to znaczy, że jestem Polakiem? Zastanawiałem się i ciągle się jeszcze zastanawiam czy nie zostać na Zachodzie. Tak sobie kiedyś myślałem nad zupełnie absurdalną możliwością — powiedzmy, że mógłbym się tu przeprowadzić, żyć dostatnio i bez tych wszystkich dolegliwości, które u nas sprawdza komunizm; powiedzmy, że postawiono by mi jeden warunek: że przyjąłbym również sposób myślenia mojego komunisty i to nie na niby, ale naprawdę. Stara bajka o zaprzędaniu duszy. Po prostu ja nie byłbym ja i byłoby mi dobrze. Przerażała mnie logika tego rozumowania. Odkryłem wtedy, że ta moja polskość to po prostu ja, to moja ciągłość, moja pamięć.

Definicje tej narodowej kultury zostały u nas kompletnie zakłamane przez różne sytuacje i przez różnych ludzi. Nie decyduję się na zostanie na Zachodzie ze zwykłego strachu. Nie jestem już młody, wcale nie wiem jak bym tu sobie poradził. U wielu emigrantów ksenofobia jest jeszcze silniejsza niż ta u naszych narodowców w kraju. Te spotkania są przerażające i chyba najbardziej ostrzegają przed próbą zostania. Krótko mówiąc boję się, że nagle byłbym Polakiem i tylko Polakiem. Jak długo jestem tam, odzywają się we mnie te dwie inne kultury: europejska i katolicka. Moja europejska kultura jest jakimś żalosnym szczątkiem, który odnajduję w sobie przez zazdrość. W czasach Odrodzenia, a potem u schyłku dziewiętnastego wieku byli Europejczycy; ludzie, którzy poruszali się po Europie, tak jak ja poruszam się po Krakowie. Moja kultura europejska jest z drugiej albo i z trzeciej ręki. Podejrzewam, że kultura europejska przestała być całością, to znaczy, że kiedyś była całością dla jakiejś małej grupki, a teraz nie ma nawet takiej grupki. Kultura, czy też pozór żywej kultury europejskiej przestał istnieć; została tradycja europejska i tamte grupki pozostawiły po sobie coś co słabo wiąże tę tradycję. Ja panu nie umiem tego nazwać, ale to dla mnie ważne, bo to ogranicza moje uwiązanie w polskiej kulturze. Szczególnie ci ludzie z pokolenia naszych dziadków, arystokracja, masoneria i bohema; ich nieprzyzwyczajone oddalenie, jakaś ostatnia próba objęcia całości z wyżyn, na które już później nikt nie mógł się dostać. Z żyjących Miłosz jest pogrobowcem tamtych Europejczyków i dlatego musiał uciekać z Europy. Europa musiała być dla niego nieznośna swoją obcością.

Kraków ciągle jest jeszcze miastem europejskim. Nie ma Europy, nie ma europejskiej kultury, ale pozostały budynki, a nawet całe ulice, które zdają się mówić, że Europa była. Szczególnie nocą. Ta agresja na twarzach, o której panu wspominałem, znika o zmroku. Po zmroku, kiedy zamykają wreszcie źle zaopatrzone sklepy, kiedy znikają kolejki, a drogi przechodniów wyznaczone są sympatią, obecność socjalistycznej kultury ujawnia się panu w postaci koszmarnego dźwięku buczków zagłuszających „Wolną Europę”. Jeszcze kiedy byłem w gimnazjum krążyła wśród uczniów żartobliwa odpowiedź na pytanie „co słyszeć?” — „Nic nie słyszeć, zagłuszają”. Pan już pewnie tego nie rozumie. Kupuje pan gazetę, tę lub inną, kupuje pan książki. Może pan narzekać na nadmiar informacji, na trudność wyboru. Tymczasem u nas coś się zmieniło. I znowu nie umiem tego nazwać. Wydaje mi się, że ta cwaniackość w ocenie rzeczywistości ustępuje czemuś innemu. To nasze stare „co to zmienić” nabrało innego znaczenia, jest jak gdyby bardziej niepewne.

Mówiłem panu, że ja nie wierzę w tę naszą opozycję, ale jej

istnienie jest czymś co trochę zmienia moją optykę. Wie pan, oni są wbrew temu mojemu „co to zmienić”. Jeśli mam powiedzieć prawdę to często odrzucam te ich pisemka z irytacją. Często trafiam na tony, które są mi nie tylko obce ale i wstrętne. Znajdzie pan w tej naszej opozycji wszystko, i nasz stary antysemityzm, i echa faszyzmu, i utopizm, i inteligencją pogardę dla motłochu, chłopomanie i robotnikomanię. Czasem niecenzurowane pisma powtarzają cenzurowaną propagandę. Kłóć się między sobą i dają się powodować bezpiece podsycającej te kłótnie. W końcu odkryłem, że mnie to wszystko jakoś cieszy, bo mi pozwala zostać na boku. Pan nie zna nawet mojego nazwiska i mogę panu powiedzieć prawdę, boję się. Zwyczajnie się boję, przesłuchania, rewizji, pobicia. To jest zupełnie naturalne i myślę, że oni też się boją.

Nie wiem czemu pan wyjechał, ale pan też się musiał bać. Tyle, że ich jeszcze wtedy nie było. Wie pan, dziesięć, piętnaście lat temu też się bałem, ale ten strach był jak powietrze, nie nadawał się do analizy. Teraz ten mój strach nabrał nowego wymiaru, stał się czymś konkretnym. Wtedy to była tylko duszność, teraz wiem dokładnie czego się boję, boję się siebie. Wspominałem panu o kulturze katolickiej. To się wiąże z tym co panu mówiłem o bliźnim, z tym wyobrażeniem siebie samego i drugiego człowieka. Właśnie tu kryje się gdzieś złośliwa informacja, że mniej jest ważna relacja między moim działaniem i skutkiem tego działania, a bardziej ważny jest sam fakt próby. Ta kultura katolicka przeciwdziała temu taniemu pragmatyzmowi. Nagle okazuje się, że mogę coś zrobić nie dla narodu, społeczeństwa czy demokracji, ale dla siebie. Powie pan, że to egoizm? Bzdura. To znaczy możliwe, że jest to egoizm. Możliwe, że jest to jakiś rodzaj egoizmu, ale mnie się wydaje, że na takim egoizmie bazuje wszystko to, co najlepsze w europejskiej kulturze.

Przez trzydzieści lat świadomego życia zastanawiałem się kim ja właściwie jestem? Co robię i co mam robić ze swoim życiem? Socjalistyczna kultura chce mnie zużyć. Mogę się znaleźć w tej roli i mogę nawet doświadczyć przyjemności z tego tytułu. Zdaje się, że z każdą kulturą trudność polega na tym aby być zarazem częścią i autonomiczną, integralną całością. Przy wszystkich kłopotach z definicją wydaje się, że kultury są z definicji totalitarne. Dochodzę tu do jakiegoś absurdu — jestem częścią czy produktem, czy też zarazem częścią i produktem kilku systemów totalitarnych. Wszystkie te systemy w ten lub inny sposób chcą mnie pozbawić integralności, włączyć i zużyć. Mogę się również znaleźć pomiędzy; jako jednostka luźna, kierowana tylko cwaniactwem. Paskudna sytuacja. Nikt nie może mi powiedzieć

czego ja właściwie chcę. Oczywiście wierność czemuś danemu z góry jest łatwiejsza — intelektualizm człowieka dobrze wychowanego, którego swoboda wyboru nie sięga aksjomatów.

Tak, jeśli pan będzie pił kawę, chętnie się również napiję. Otóż, proszę pana, ja nie wiem czy pan znalazł sobie dla siebie odpowiedź na to pytanie o własne aksjomaty. Gdzieś coś trzeba założyć, żeby na tym postawić całą resztę. Gdzieś trzeba umocować jakąś relację JA do czegoś najważniejszego.

Nie wiem jaką rolę pełni w pana życiu erotyka. To jest takie pole, gdzie jest stosunkowo najwięcej tabu i najwięcej wykroczeń. Wszyscy sobie jakoś z tym radzimy w zależności od potrzeb. Ale to wcale nie jest nieważne jak. Okazuje się, że nawet sposób łamania pewnych zakazów i norm jest ważny. Wie pan, próbowałem do moich aksjomatów dotrzeć przez różne negacje, przez pytanie do czego jestem niezdolny? Oczywiście zakładam, że ja jestem ja. Teoretycznie, zmieniając warunki w mniej lub bardziej wczesnym dzieciństwie, czy też nawet teraz poddając mój umysł różnym zabiegom, można ze mnie zrobić zbrodniarza. Ale taki jaki jestem, w normalnym stanie umysłu, nie sędzę abym mógł popełnić gwałt czy morderstwo. Erotyzm odślania w nas czasem możliwości, o których nie myślimy, ale chyba równocześnie uświadamia granice. Cały czas zmierzam do tego bliźniego, który może być miarą albo narzędziem czy przeszkodą. Kiedy próbowałem sobie to wszystko jakoś uporządkować zawsze zostawiałem problemy erotyczne na uboczu; jako coś, co z tymi sprawami niewiele ma wspólnego. Tymczasem to się tak nie da. Nie znalazłem tu żadnej rozsądnej odpowiedzi, ale problem jest poważny. Wie pan, chodzi mi o wzajemny szacunek w sprawach, w których człowiek najłatwiej traci kontrolę nad sobą, tam gdzie instynkt jest najsilniejszy.

Przyjechałem tu do Szwecji z mitem szwedzkiej swobody erotycznej. Proszę się nie śmiać, zdawało mi się, że tu się podchodzi do dziewczyny i pyta się jej czy nie ma się ochoty z panem przespać. Tymczasem Szwedki są znacznie bardziej nieprzystępne niż Polki. Erotyczne podboje Polaków kończą się tu prawie zawsze na zakupie pisemka porno. Za mało wiem o tym kraju, ale wydaje mi się, że ta erotyczna swoboda wcale nie oznacza rozpasania. To raczej u nas jest rozpasanie, bo erotyzm u nas jest tak samo jak alkohol formą ucieczki. Jurność zaszczutego frustrata wydaje mi się czymś szczególnie niebezpiecznym.

Mniejsza z tym, wie pan, próbując jakoś umieścić to swoje ja w czasie i przestrzeni, szukając jakichś wartości znajduję, że dałem się wrobić w ten ich pragmatyzm. Problem waty tam w kraju i tych paru rzeczy, które sobie kupiłem tu, a których

nie można dostać tam, prawie doskonale wypełnia moje działania, nie myśli ale działania.

Zwracam panu książki, a za dwie chciałbym zapłacić. Ja wiem, pan mi mówił, że mogę je dostać za darmo, ale ja chciałbym zapłacić. Nie wiem jeszcze czy się zdecyduje, czy nie zostawię ich na promie, nie wiem czy starczy mi odwagi. Wie pan, ja to robię dla samego siebie. Właśnie dlatego, że to niczego nie zmieni, że to jest bez sensu. Zostało mi jeszcze pięćdziesiąt koron i to pewnie nawet nie pokrywa ceny tych książek. Kiedy robiłem zakupy to mówiłem sobie, że niczego nie zabiorę. Potem, kiedy zmieniłem zdanie to myślałem, że w końcu my płacimy ryzykiem, paszportami, strachem. Dopiero jak to głośno mówię, widzę jak ten pragmatyzm nas przeżarł. Ja te książki już czytałem i mógłbym je zostawić. Zabieram je tylko dla siebie, to znaczy dla innych; to znaczy dla siebie w tym sensie, żeby nie mieć wyrzutów sumienia, że je tu przeczytałem a nie zabrałem.

Nie wiem czy pan mnie rozumie. Zabieram panu czas, żeby panu wyjaśnić jakąś zupełnie absurdalną sprawę. Pan się pewnie spodziewał, że ja panu opowiem coś o Polsce, ale pan tu wie więcej niż ja. My się po trójkacie dowiadujemy co się stało na sąsiedniej ulicy. Pan tu, po drugiej stronie Bałtyku, może zbierać i składać te okruchy w jakąś całość. My próbujemy się zaledwie domyslać prawdy o sobie.

Nie wiem czy pan mnie zrozumiał i nie wiem po co ja panu zawracam głowę. Chyba już pójdę. To wszystko jest bez znaczenia i niczego nie zmieni. Może się jeszcze zobaczymy, jeśli mnie wypuszczą w przyszłym roku.

Andrzej KORASZEWSKI

KALAHARI II

Oto jest kraj pustylny
i kamieni pełny
ostatnie wolne węże
śpią pod baldachimami z żyraf
piaski płoną co rano
nad żwirowiskami
upadają ptaków kolorowe oczy.

Tu buszmeńscy wodzowie błotem malowani
odkładają toporki jak uśpione ryby
i wspominają ten dzień
tę największą radość
gdy wynaleziono ogień.

A potem patrzą na mnie
i mnie tutaj nie ma
spowici dymem
oni nie istnieją
nocą liść jest insektem
i krzaki się chwieją

słyszę prehistoryczny wiatr.

Wojciech ALBIŃSKI

Wiersze

Wojciech ALBIŃSKI

KALAHARI I

Ta jaskinia była wysoka jak kościół

ptaki i nietoperze
łopotaty w ciemnościach
a wtedy wstawał człowiek
i rzucał kamieniem

od czterdziestu tysięcy lat
różni ludzie palili tu ogniska
zostawiali kości i tłukli naczynia
aż popiołów zebrało się tyle
że dziś chodzimy z pochyloną głową

ostatni mieszkańcy
pokryli ściany rysunkami
odgrzebujemy twarze mężczyzn
o oczach rozwartych na szeroko
o językach wywalonych do pól piersi
kobiety o szyjach długich
i wyrażających smutek

nie dziwimy się pamiętając
że na końcu każdej epoki
ludzi napętnia przerażenie

a był to koniec
epoki jaskiniowej

Archiwum polityczne

Wolniej, niżej, bliżej...

Jesteśmy w roku olimpijskim. Może już ostatnim, twierdzą liczni komentatorzy rozważający perspektywę amerykańskiego bojkotu letnich Igrzysk w Moskwie.

Nie po raz pierwszy napięcia polityczne stają się elementem atmosfery olimpijskiej. Są przykłady znacznie bliższe w czasie niż modne teraz wspomnienia hitlerowskich Igrzysk w Berlinie w 1936 roku. W roku 1956 Olimpiada w Melbourne odbywała się w listopadzie, na początku australijskiego lata. Zawodnicy sowieccy spotykali Węgrów przybyłych ze zgliszcz Budapesztu, Anglików i Francuzów tuż po ich ostatniej imperialistycznej przegrodzie w strefie kanału Sueskiego. W roku 1968 Olimpiada w Mexico City miała miejsce w trakcie „Praskiej wiosny”, jeszcze przed interwencją państw Paktu Warszawskiego. Emocje rewolucyjne tego burzliwego roku dotarły do Ameryki Łacińskiej i tuż przed otwarciem Igrzysk na ulicach Meksyku wojsko i policja zastrzeliły ponad dwustu demonstrujących studentów, by olimpijskie spotkanie młodzieży całego świata odbyć się mogło według programu. Potem z podium medalistów Murzyni amerykańscy wzniesioną pięścią proklamowali siłę czarnej rasy. W 1972 roku Olimpiada w Monachium stała się sceną zamachu terrorystów z organizacji „czarnego września” i końcowe konkurencje odbywały się w żałobie po reprezentantach Izraela. W roku 1976 w Montrealu doszło do bojkotu Olimpiady przez państwa czarnej Afryki, żądające wykluczenia z Igrzysk Nowej Zelandii za jej kontakty sportowe ze Związkiem Południowej Afryki. Tym razem, w roku 1980, w bezpośredniej konfrontacji znalazły się oba sportowe i polityczne giganty — Sowiety i Stany Zjednoczone.

Zimowa część Igrzysk Olimpijskich już się odbyła. Gospodarzami byli Amerykanie. Na trasach Lake Placid — gdzie śnieg był sztuczny, bo opady z nieba się spóźniły, a najgęstsze chmury przywiała polityka — panował nastrój ostatniego balu. Sportowe wyczyny witane były przez komentatorów telewizji i radia przypomnieniem, że może już nigdy więcej nie będziemy świadkami takich scen.

Najbardziej sensacyjnym wydarzeniem stał się mecz hokeja na lodzie między drużynami Stanów Zjednoczonych i Sowieków. Logicznym faworytem była świetnie wyszkolona reprezentacja Związku Sowieckiego — zwycięzca czterech poprzednich Olimpiad i aktualny mistrz świata. W przedolimpijskim meczu towarzyskim z mało doświadczonym zespołem amerykańskim, zestawionym ze studentów pod wodzą młodego trenera, drużyna sowiecka wygrała bez wysiłku dziewięć do dwóch. W spotkaniu „o wszystko” w finałach turnieju olimpijskiego waleczni Amerykanie wygrali po dramatycznej grze cztery do trzech. Zdarza się. Sport widowiskowy urzeka między innymi tym, że czasami Goliat pada. Najwięcej szans na to jest w grze przed własną publicznością, kiedy uniesienie tłumu udziela się zawodnikom, staje się źródłem dodatkowej siły. Uczucia narodowe na trybunach w Lake Placid miały temperaturę wrzącej lawy. Wybuch radości po sportowym zwycięstwie rozszedł się po całym kontynencie, dotarł do Białego Domu. Telewizja pokazywała jak amerykański trener i kapitan drużyny odbierali telefon z gratulacjami od prezydenta Cartera, i jak później członkowie drużyny ściskani byli przez prezydenta na schodach przed Białym Domem.

Padł Goliat, ale i Dawid miał tym razem proporcje olbrzyma. Nie tak było w Pradze pierwszej zimy po inwazji państw Paktu Warszawskiego, kiedy na hokejowych mistrzostwach świata Czechosłowacja wygrała z Sowiekami. Noc po zwycięstwie stała się w pokonanym kraju pogrobowym świętem praskiej wiosny. Radość tłumów postawiła pod broń wojsko i policję. W 1956 roku w Melbourne, na odwrotnej stronie globu, w olimpijskim turnieju piłki wodnej spotkali się Węgrzy z Rosjanami w meczu, który dawał szansę emocjonalnego odwetu za Budapeszt. Obcy tłum zagrzewał Węgrów, a potem tylko patrzył na brutalną bijatykę w wodzie, w której silniejsi byli ci skrzywdzeni. Miewali i Polacy chwile sportowych przewag nad sowieckim Goliatem. Nawet niewysoko notowani hokeiści pobili drużynę mistrzów świata kilka lat temu w Katowicach, przed swoją publicznością. Tłum szczęśliwych kibiców ochrypnął na resztę mistrzowskiego turnieju, a drużyna Polski tak się zużyła emocjonalnym napięciem pojedynku z Rosjanami, że poprzegrywała potem ze słabszymi.

Jakieś nowe tęsknoty upodabniają reakcje milionów wielkiej

Ameryki do uczuć słabych Czechów, Węgrów i Polaków. Ale nie to jest moim tematem. Emocjonalna pobudliwość kibiców stanowi podszewkę sprawy bojkotu Olimpiady w Moskwie. Czyni z proponowanego bojkotu broń propagandowo potężną, ale też dwuznaczną, obosieczną. Zwycięstwo hokeistów amerykańskich nad sowieckimi, tak radośnie przyjęte przez prezydenta Cartera, niekoniecznie jest argumentem na rzecz wycofania się z Igrzysk letnich w Moskwie.

Wprawdzie nie brak argumentów innych. Już decyzja przyznania Moskwie prawa do organizowania Olimpiady była wątpliwa. Olimpiada ma być sportowym festiwalem młodzieży z całego świata, spotykającej i potykającej się na stadionach w atmosferze równości i swobody. Karta olimpijska tego nie precyzuje, ale z jej ducha jasno wynika, że te zasady równości i swobody obejmują także spotkanie kibiców z całego świata. Stolica olimpijska powinna być zawsze miastem otwartym, dającym gwarancje swobody ruchu i łatwego kontaktu z mieszkańcami.

Moskwa tych warunków nie spełnia. Obserwatorzy, którym natura systemu i organizacja życia społecznego w Rosji nie jest obca, wiedzieli, że ważnym aspektem przygotowań olimpijskich będzie gigantyczna operacja policyjna dla odizolowania stolicy od kraju i olimpiady od stolicy. Świat miał przybyć do Rosji by zobaczyć to, co mu pokażą, ale prawdziwa Rosja pozostałaby tym kontaktem nietknięta. Stąd obława na dysydentów, odbieranie Ukraińcom, Żydom i „wątpliwej” młodzieży prawa do mieszkania w Moskwie, przygotowywanie letnich obozów na wsi gdzie wysłane będą na czas Olimpiady moskiewskie dzieci. Kibice z zagranicy wchłonęli mieli być przez zamknięty obieg wypróbowany już na rzeszach turystów, a rozbudowany i udoskonalszony w toku przygotowań olimpijskich: kierowani do wydzielonych hoteli, gdzie tubylcy mogliby wchodzić tylko za specjalną przepustką, pozbawieni prawa do otwartej wymiany pieniędzy, a zaopatrzeni w kupony wymienne w określonych restauracjach i sklepach, wożeni reprezentacyjnymi trasami.

Olimpiada w Moskwie odbyć się może tylko kosztem łamania oczywistych i podstawowych zasad Karty Olimpijskiej. Nie było nigdy szans by stolica Imperium Sowieckiego stała się na czas Igrzysk miastem naprawdę otwartym, by dla przyjęcia paru-settysięcznej inwazji sportowców, dziennikarzy i kibiców zawieszono praktyki, które elita władzy uważa tam za jeden z fundamentów ustroju. A już z całą pewnością taki wyłom w obowiązującym systemie izolacji nie mógł powstać dobrowolnie, bez zdecydowanego i umiejętnie organizowanego nacisku z Zachodu. Tymczasem Zachód w pogodzie ducha przygotowywał swój własny udział w moskiewskiej olimpiadzie, udzielając gospodarzom

bezpłatnego poparcia zarówno poprzez stowarzyszenia sportowe czynne w ruchu olimpijskim jak i instytucje urabiające i wyrażające szeroką opinię publiczną. Próby zwrócenia uwagi na rozpozczętą w Sowietach przedolimpijską operację policyjną i pokazania związków między obławą na dysydentów a Igrzyskami puszczano mimo uszu.

Tak było do chwili kiedy wojska sowieckie wjechały do Afganistanu. I nagle niewłaściwość urządzania Olimpiady w Moskwie stała się tematem pasjonująco aktualnym. Sformułowany przez prezydenta Cartera postulat zabrania Igrzysk letnich Moskwie, lub co najmniej zbojkotowania ich przez Zachód i kraje Trzeciego Świata jeżeli wojska sowieckie nie opuszczą Afganistanu poparty został między innymi przez premierów Australii i Wielkiej Brytanii. Rozgorzała na ten temat dyskusja byłaby nie do pomyślenia jeszcze parę miesięcy wcześniej. Wstydlive dotychczas związki między polityką i sportem proklamowane są nagle przez demokratycznie obrane rządy państw zachodnich jako nieuniknione i właściwie naturalne. Jeżeli rządy komunistyczne — brzmi nowy argument — posługują się sportem dla propagandowo politycznych celów, to i my mamy prawo posłużyć się sportem przeciwko nim.

Wskaźnik oficjalnych nastrojów wahał się tak gwałtownie, że kwestia gwałconej przez gospodarzy Igrzysk Karty Olimpijskiej, przedtem prawie nieobecna w środkach masowego przekazu, została nagle zdystansowana przez sprawę Afganistanu. Zanim stała się aktualna, przestała istnieć. Proponowany bojkot Olimpiady wiązany jest wyłącznie z obecnością wojsk sowieckich w Afganistanie. Nie ma nic wspólnego z potęgującą się przedolimpijską czystką w Moskwie. Wycofanie tych sił zbrojnych z powrotem w granice Związku i zgoda sowiecka na jakąś formę zneutralizowania Afganistanu przyniosłaby automatyczne zawieszenie bojkotu, cokolwiek by się działo wewnątrz Rosji.

Osobiście uważam, że próba bojkotu Igrzysk w Moskwie została już przegrana, nawet jeżeli Amerykanie i pewna ilość sportowców z innych krajów na olimpiadę nie pojadą. Z punktu widzenia organizatorów nieobecność Amerykanów będzie wielką sportową stratą, ale ewentualny efekt propagandowy został roztrwoniony przez mieszkankę taniego oportunistów, hipokryzji i politycznej nieudolności rządów, które wystąpiły z inicjatywą bojkotu. Obawiam się, że to właśnie Zachód, z własnej winy, poniesie większość politycznych kosztów tej konfrontacji.

W gruncie rzeczy Afganistan jest najsłabszym z kołków, na których by się dało uczepić bojkot Olimpiady. Między jednym a drugim nie ma żadnych integralnych związków. Dystans między nimi obnaża czysto arbitralny, taktyczny charakter tego chwyt-

tu z gatunku „jak wy nas tak, to my was zażyjemy inaczej”. W Białym Domu lub w gabinecie pani Thatcher na Downing Street bojkot Olimpiady wydawał się zapewne posunięciem idealnym, obiecującym maksimum niemiętego dla Sowietów hałasu przy minimalnych kosztach własnych. Miał skutecznie zastąpić politycznie trudniejsze i z natury kontrowersyjne sankcje gospodarcze, a do tego zapewniał możliwość łatwego i niekrępującego odwrotu w wypadku gdyby oziębienie stosunków Wschód-Zachód okazało się nietrwałe: ostateczny termin zgłaszania udziału w Igrzyskach upływa dopiero w końcu maja.

Polityczna atrakcyjność bojkotu w dużym stopniu wynikała z egzotyki sportu, z braku rozeznania polityków w problematyce ruchu olimpijskiego. Dla obserwatora jako tako w tym biegłym jasne jest, że decyzje zapadły w nieświadomości jak naprawdę wygląda struktura międzynarodowych kontaktów sportowych. Dopiero w trakcie organizowania politycznych nacisków na zachodnich sportowców i działaczy ruchu olimpijskiego stało się jasne, że wcale nie jest to struktura plastyczna, łatwo się poddająca tego typu operacjom. Piętrzą się nieprzewidziane przez polityków trudności, to co miało być łatwą a efektywną demonstracją dyplomatyczną przemienia się w rozpaczliwy zabieg ratowania twarzy.

Ruch olimpijski prowadzony jest przez system ciał przedstawicielskich, z nadrzędnym wobec nich Międzynarodowym Komitetem Olimpijskim na czele. To właśnie MKO przyznaje prawo organizowania Igrzysk, podpisuje formalny kontrakt z organizatorami i pilnuje jego wypełnienia. Z chwilą kiedy w mieście olimpijskim zapłonie znicz, symboliczna władza nad terenem Igrzysk przechodzi w ręce MKO i jego flaga — z pięciu kołami symbolizującymi pięć kontynentów — zastępuje flagę państwową organizatorów.

Międzynarodowy Komitet Olimpijski współpracuje ze wszystkimi międzynarodowymi federacjami olimpijskich dyscyplin sportu, wśród których dwadzieścia jeden ma wziąć udział w letnich Igrzyskach w Moskwie. Każda Federacja układa i sankcjonuje w swoim sporcie pełny program międzynarodowych meczów i turniejów, których ukoronowaniem jest udział w olimpiadzie raz na cztery lata. Zawodnikom z krajowych zrzeszeń nie wolno jest, pod groźbą zawieszenia, brać udziału w międzynarodowych zawodach nie uznanych przez odpowiednią Federację.

MKO i Federacje poszczególnych sportów są w założeniu strukturami demokratycznymi. Wiążące decyzje zapadają drogą głosowania, poprzedzonego okresem rozmów i konsultacji w których kształtuje się program i ścierają się odmienne poglądy. Osobliwością tych ciał jest ich zróżnicowany skład, odbijający kon-

trasty w ustrojach społecznych reprezentowanych w ruchu olimpijskim krajów. Niezwykle na tym terenie aktywne państwa obozu sowieckiego reprezentowane są przez „działaczy” wywodzących się ze średnich szczebli biurokracji partyjnej. Poza funkcją „społeczną”, która im daje bilet wstępu do międzynarodowego ruchu olimpijskiego, mają też z reguły posady państwowe. Na przykład w Polsce prezesami związków i zrzeszeń sportowych są zwykle wyżsi urzędnicy Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki, dyrektorzy departamentów w Ministerstwie Spraw Zagranicznych lub Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, czasem oficerowie wyższych rang. Przypuszczam, że podobnie wygląda sytuacja w krajach Trzeciego Świata, grającego w ruchu olimpijskim rosnącą rolę. W demokracjach zachodnich są to natomiast autentyczni woluntariusze, przeważnie wybitni niegdyś zawodnicy, niejeden z własnym medalem olimpijskim w domowej gablotce, lub zamożni kibice-*bobby*ści jak choćby Irlandczyk lord Killanin, obecny prezes MKO. Nic dziwnego, że ci pierwsi, delegowani do międzynarodowych organizacji sportowych, realizują tam posłusznie polecenia własnych rządów; ci drudzy, świadomi swej politycznej niezależności i dumni z niej, kierują się przede wszystkim interesem sportowców których reprezentują i perspektywami dalszego rozwoju ruchu olimpijskiego.

Nie było więc szans, by Międzynarodowy Komitet Olimpijski odebrał Moskwie Igrzyska, tym bardziej, że nie skonsultowano się z nim nawet przed zrobieniem z tego sprawy publicznej. Całkowicie nierealny okazał się też projekt urządzenia Igrzysk alternatywnych w tym samym terminie, bo jakkolwiek impreza konkurencyjna musiałaby się odbywać pod egidą tych samych międzynarodowych organizacji, które wystąpią jako gospodarze Igrzysk moskiewskich. MKO i federacje poszczególnych dyscyplin olimpijskich nie będą zadawać sami sobie ciężkich ciosów poprzez jednoczesne firmowanie konkurencyjnych, wrogich sobie imprez, a nie ma obecnie możliwości zalegalizowania międzynarodowych zawodów w sportach olimpijskich poza istniejącą strukturą. W teorii możliwe jest uzyskanie sankcji na takie alternatywne Igrzyska w dalszym terminie, po zakończeniu Olimpiady w Moskwie, ale dla zawodników byłoby to jak zalewanie się zwietrzałym piwem. Atrakcyjność takiej imprezy jest też wątpliwa i z czysto sportowego punktu widzenia, bo czołowi zawodnicy już od lat paru realizują system treningu i rytm startów zaplanowany w najdrobniejszych szczegółach tak, by absolutny szczyt ich formy przypadł w terminie olimpiady.

Te naturalne przeszkody rosną w klimacie wzajemnych pretensji pomiędzy politykami, forsującymi nadal ideę bojkotu moskiewskiej olimpiady, a zawodnikami i związkami sportowymi

zaangażowanymi w ruchu olimpijskim, którzy odbierają te naciski jako zamach na ich niezależność. Sytuacja stała się tak dramatyczna, że każdy ruch rządów, nawet kiedy dyktowany jest chęcią kompromisu, sportowcy przyjmują jako kolejną próbę politycznej manipulacji przed którą należy się bronić za wszelką cenę. Opinia publiczna, początkowo raczej zdezorientowana, przesuwając się coraz bardziej zdecydowanie na stronę sportowców. W Wielkiej Brytanii, której rząd wyróżnia się w Europie aktywnością w organizowaniu bojkotu, 70 % ludności jest według ankiet instytutów badania opinii publicznej bojkotowi przeciwnych.

Utrata poparcia opinii publicznej dla bojkotu Igrzysk jest porażką najbardziej niepokojącą. Pomijając sankcje natury gospodarczej albo militarnej, do których Zachód wcale nie jest skory, nacisk opinii publicznej jest w konfrontacji Wschód-Zachód bronią najbardziej właściwą. Były szanse zmobilizowania opinii w sprawie olimpijskiej przez rozegranie innej karty — karty obrony praw człowieka. Międzynarodowy Komitet Olimpijski jako formalny gospodarz Igrzysk w Moskwie nie mógłby się uchylić od dzielenia pośredniej odpowiedzialności za przedolimpijską czystkę — za zamykanie i wyganianie dysydentów, wywożenie dzieci, kontrolowanie napływu kibiców, odbieranie im swobody ruchu i kontaktu z tubylcami. Publiczne rozliczenie MKO z tych spraw byłoby naturalne. Nie ściągłoby zarzutu politycznej manipulacji, posługiwania się sportem przez polityków jako tanią i wygodną bronią, według cynicznej zasady walki cudzym kosztem.

Pora już zmierzać do ogólnych, poza-sportowych wniosków. Rządy totalitarne, kontrolujące całość zorganizowanego życia społecznego w swoich krajach, mogą niemal ze wszystkiego uczynić instrument walki propagandowo-politycznej. Rządy demokracji zachodnich nie powinny się poddawać tęsknotom do takiej samej swobody, bo jej bez naruszenia istniejących struktur osiągnąć nie mogą. Bojkot moskiewskiej olimpiady organizowany był na Zachodzie metodą pseudo-sowiecką w niesowieckim ustroju.

Wcale nie jest to czarnowidztwo. W zaostrażającej się konfrontacji ideologicznej Zachód trzyma mocne karty, które boi się rozgrywać. Broń właściwa musi być w zgodzie z pluralizmem życia społecznego w demokracjach Zachodu, musi korzystać z dynamiki tego życia. Bronią właściwą była kampania o prawa człowieka, czerpiąca z tego, co stanowi siłę demokracji parlamentarnych, a wymierzona w słabe punkty ustrojów totalitarnych. Niestety, okazało się, że i to było uderzenie pozorowane, czysto taktyczne.

Widmo demokracji straszy w krajach Wschodniej Europy.

W żadnej innej części świata nie istnieją dziś tak silne tęsknoty do swobód realizowanych w demokracjach Zachodu. Nie jest to tajemnicą dla rządzących tam reżymów. Ironią sytuacji jest fakt, że Zachód panicznie się boi swojej wywrotowej siły, bo boi się wszystkiego co narusza coraz bardziej iluzoryczne *status quo*.

Nie trzeba się łudzić rzekomym przebudzeniem po inwazji sowieckiej w Afganistanie. Nowa wersja „polityki siły” prowadzona przez „Białą Dom” i niektóre zaprzyjaźnione rządy jest kolejnym symptomem wewnętrznej słabości tego obozu, toczono go przez coś na kształt kryzysu tożsamości. Jest to robienie do przeciwnika groźnych, lecz porozumiewawczych min, z nadzieją powrotu do sytuacji poprzedniej, która nagle zyskuje status niemal idealnego światowego porządku. Już w pierwszych odsłonach swojej nowej roli „twardego” męża stanu prezydent Carter uznał za wiążącą doktrynę Breżniewa — podkreślając, że obecność wojsk sowieckich w Afganistanie jest nie do przyjęcia, bo kraj ten jest poza terytorium państw „Paktu Warszawskiego” — i wbił parę dalszych gwoździ w trumnę inicjowanej kiedyś przez siebie kampanii o prawa człowieka. Dla ludzi ze Wschodniej Europy nie są to powody do radości.

Bolesław SULIK

Korespondencja z Rzymu

Przeciw „pokusie ucieczki od odpowiedzialności”

Ruch Światło-Zycie, inaczej zwany „ruchem oaz” (lub oazowym) powstał na terenie diecezji krakowskiej na początku lat 70-tych, a następnie rozprzestrzenił się w kilku innych diecezjach*. Ruch będący częścią struktur kościelnych, pod przewodnictwem ks. Fr. Blachnickiego, znajduje się pod kuratelą Komisji Episkopatu dla apostolatu świeckich. Stanowi bardzo oryginalne zjawisko odrodzenia religijnego i odnowy życia parafii. Do tej pory ruch oazowy, gromadzący młodzież licealną i akademicką, nie występował w sprawach publicznych. Tym większego więc

* Liczba uczestników oficjalnie niepodana — przekracza jakoby ponad sto tysięcy.

znaczenia nabiera deklaracja uchwalona 2 marca br. w Częstochowie na sesji krajowej „odpowiedzialnych Ruchu Światło-Życie w sprawie zaangażowania członków Ruchu w aktualne problemy narodu”. Deklarację podpisali „delegaci przedstawiciele ruchu” (460). Jest to dokument określający stosunek ruchu do sytuacji społecznej i politycznej przed wyborami do sejmu. Odzucając „pokusę ucieczki od tragicznej ogólnonarodowej sytuacji”, deklaracja wzywa do „tym pełniejszego zaangażowania i tym większej odpowiedzialności”. Fakt, że w „warunkach totalitarnego rządu nie ma żadnych możliwości na prowadzenie legalnej działalności politycznej, zgodnie z sumieniem chrześcijańskim i wskazaniem Kościoła, a wszelkie próby angażowania się do tej działalności kończą się na tym, że dane osoby czy grupy stają się przedmiotem manipulacji obcych sił politycznych” — skłania wierzących do „odżegnywania się od działalności politycznej”. Deklaracja ostrzega przed niebezpieczeństwem „ucieczki od odpowiedzialności” i postuluje „zaangażowanie się w politykę” dla rozwiązania problemów, pod których ciężarem „uginają się i padają nasi bracia”. Pojawiły się bowiem w kraju „ruchy demokratyczne stojące w obronie elementarnych praw człowieka i jego wolności, przyjmujące na siebie ryzyko wielu szykan, utraty wolności, a nawet życia”. Powołując się na drogę wskazaną przez encyklikę papieską *Redemptor Hominis*, deklaracja ruchu oazowego domaga się przełamania lęku i wejścia „na drogę odważnego, konkretnego i prostego dawania świadectwa prawdzie bez względu na konsekwencje... Tak zostałyby wprowadzona w życie narodu realna siła wyzwolenia, której wpływ zaznaczyłby się we wszystkich dziedzinach życia, nie wyłączając politycznej. W ten sposób chrześcijanie byłiby wierni obowiązkowi angażowania się w sprawy dobra wspólnego, nie wychodząc z przesłanek politycznych, ale idąc za nakazem sumienia”.

Deklaracja stwierdza, że udział w wyborach jest dla chrześcijan „nie tyle aktem politycznym, co sprawą sumienia”. Kto nie może, zgodnie ze swym przekonaniem, wyrazić zaufania wobec systemu rządzącego, jego programu, celów i metod, „niech da świadectwo prawdzie w jedyny możliwy sposób — nie uczestnicząc w wyborach”. Deklaracja ustosunkowuje się do ruchu opozycji demokratycznej, do tych ludzi, „którzy z bardzo wielkim ryzykiem i odwagą podjęli na różny sposób, z wykluczeniem jednak przemocy, walkę o sprawiedliwość, wolność, godność osoby ludzkiej i podstawowe prawa człowieka w naszym społeczeństwie”. Niezależnie od tego jaki jest stosunek ruchu „Światło-Życie” do programów i koncepcji politycznych ugrupowań opozycji, deklaracja stwierdza: „oświadczamy, że samo odważne dawanie świadectwa prawdzie i występowanie w obronie słusznych praw człowieka z narażeniem nawet własnego życia zasługuje na głębokie uznanie oraz na udzielenie wszelkiej pomocy moralnej oraz innej pomocy, jaką podyktuje nam ewangeliczna miłość i roztrpność”.

Co nowego po „wyborach”?

Stosunki Kościół-Państwo na obecnym etapie można określić jednym słowem: immobilizm. Kierownictwo partii stara się unikać zadrażnień, ale jest zbyt słabe, by pozwolić sobie na „luksus” zasadniczej zmiany kursu i realizację choćby części postulatów Kościoła. Słabość tę obnaża przebieg trwającej już pół roku afery — budowy trasy szybkiego ruchu koło klasztoru na Jasnej Górze.

Na katolickim odcinku świeckim te same czynniki są odpowiedzialne za akcję nękającą w stosunku do ośrodków duszpasterstwa akademickiego i „katechezy narodowej”, tzn. wykładów ludzi świeckich w kościołach na tematy historyczne i kulturalne (nabierają one coraz większego rozmachu wobec sparaliżowania działalności „latającego uniwersytetu”). Policja dokonała rewizji i zatrzymań w środowiskach katolickich związanych z pismem *Bratniak*, zaangażowanych aktywnie w życie parafialnym. W Szczecinie podrzucano zatrzymanym osobom obciążające materiały. Nie brak więc zwykłej prowokacji. Akcja ta zmierza z jednej strony do „kompromitowania” jako opozycji tych inicjatyw, które w takiej czy innej mierze zależne są od Kościoła; z drugiej strony chodzi prawdopodobnie o odcięcie od Kościoła grup młodzieżowych występujących niezależnie choć nie posiadających powiązań organizacyjnych z ruchem opozycji. Akcję organów policyjnych ułatwia niewątpliwie brak jasno określonej linii w polityce wyznaniowej, która oscyluje pomiędzy szykanami a względną tolerancją.

Nominacja nowego szefa Urzędu d/s Wyznań stanowi pociągnięcie o charakterze czysto personalnym i nie można jej interpretować jako zapowiedzi zwrotu. Odwołany z tego stanowiska min. K. Kąkol próbował „usamodzielić się”, lawirować i dyskutować względną „liberalizację” w stosunkach z Kościołem. Zaszkośli mu pseudo-liberalne, niezręczne i minoderyjne wypowiedzi publiczne, zwłaszcza w kontaktach z korespondentami zachodnimi. Nowy szef tego urzędu, min. Kuberski, typowy aparatczyk, gwarantuje większe poczucie realizmu i podporządkowanie się dyrektywom Kani, członka Politbiura, odpowiedzialnego za politykę kościelną, bezpieczeństwo i wojsko (jakże znamienny i wymowny tryptyk atrybutów władzy). Kuberski jako minister oświaty odegrał sześć lat temu poważną rolę przy przygotowaniach reformy systemu „wychowania socjalistycznego”. Chodziło głównie o tzw. szkoły zbiorcze, które miały na celu radykalne uderzenie w katechizację. Projekt reformy nie doszedł do skutku z powodu protestów episkopatu i braku odpowiednich środków finansowych. Episkopat doskonale zdaje sobie sprawę, że od szefa Urzędu d/s Wyznań niewiele zależy, zwłaszcza w aktualnym stadium życia publicznego, kiedy ekipa Gierka, choć wzmoc-

niona po zjeździe, napotyka na piętrzące się trudności gospodarcze, co nakłada na nią konieczność liczenia się z krajami zachodnimi, zwłaszcza z Rep. Fed. Niemiec, a co za tym idzie zachowania oblicza relatywnie humanitarnego. W tej sytuacji szczególnej wagi nabierają poufne kanały konsultacyjne, z których, jak się wydaje, Gierek potrafi korzystać w celu utrzymania pewnej równowagi w stosunkach z Kościołem.

Partia katolicka?

Sporo hałasu narobiła w kraju teza prof. J. Szczepańskiego, bezpartyjnego członka Rady Państwa i wiceprezesa PAN-u, o konieczności utworzenia katolickiej partii politycznej. Pomysł ten, kolportowany od pewnego już czasu w kraju, wyłożony w tekście opublikowanym „bez wiedzy i zgody autora” na łamach *Kultury* („Po wizycie” nr 1/2, 1980) nie budzi zachwyty w partii. Są jednak i tacy w kierownictwie partyjnym, którzy uważają, że scentralizowany i kontrolowany polityczny odcinek katolicki mógłby skutecznie parować lub przynajmniej neutralizować spontaniczny rozwój laikatów, wymykający się kontroli partii a wzmacniający oddziaływanie społeczne Kościoła. Niezależny katolicki ruch „Znak” jest przeciwny tej koncepcji ze względów zasadniczych. W grę wchodzi więc jedynie fuzja trzech ugrupowań katolickich obecnych w sejmie. Istnieje już *nota bene* zorganizowana projekcja tych trzech grup (PAX, CHSS, neo-Znak) na odcinku zagranicznym w postaci warszawskiego „Forum”, utworzonego we wrześniu ub. roku. Na czele tego tworu stoi poseł Ozdowski z „neo-Znaku”, który wszedł ostatnio do Rady Państwa (pierwotny kandydat, literat Jan Dobraczyński, uznany jako bardziej reprezentatywny, odpadł wobec opozycji konkurentów). Zachodziłaby możliwość powołania do życia czegoś podobnego jako ośrodka koordynacyjnego tych trzech ugrupowań na terenie działalności publicznej. Wymyślono dlań nawet nazwę: Chrześcijańska Unia Jedności. Praktycznie biorąc: ekwiwalent wschodnioniemieckiej, satelickiej CDU. Wątpić należy żeby episkopat poparł taki nowo-twór, rozwiązanie przeciwieństwo fasadowe. W maju przewidziane jest zebranie komitetu wykonawczego „Forum”. Podobno we wrześniu planuje się nowy zjazd tej organizacji dla „współpracy chrześcijan Wschodu i Zachodu”. Najpierw trzeba jednak uspokoić obawy konkurentów: katolików z NRD z tzw. „Konferencji Berlińskiej” i czeskich kolaborantów, którzy kontestowali w ub. roku warszawską imprezę, tzn. powstanie „Forum”. Nie kwapią się do niej węgierscy katolicy*, jeśli nie liczyć znanego „księdza-patrioty”, osławionego kanonika Varkony’ego. Na placu pozostają jak zwykle emisariusze patriarchatu moskiewskiego.

* Nie chcąc być gorsi od Polaków — wystąpili z wnioskiem do Watykanu o edycję węgierską *Osservatore Romano*.

Słowa prawdy o Kościele w Czechosłowacji

Po długich latach milczenia kardynał František Tomašek postanowił ujawnić prawdę o Kościele w Czechosłowacji. Pewien młody kapłan włoski opublikował pod kryptonimem autoryzowany tekst rozmowy z sędziwym arcybiskupem praskim na łamach prowincjonalnego czasopisma katolickiego (*Il Regno*, Bologna). Nie wpuszczono go w lutym bieżącego roku do Czechosłowacji i po rewizji na granicy i konfiskacie przewożonych publikacji odesłano z powrotem do Wiednia (mimo ważnej wizy wjazdowej). 22 marca kapłan ten przeprowadził z kardynałem wywiad w Rzymie — kilka zaledwie dni po przyjęciu go przez Ojca Świętego. Po raz pierwszy otrzymujemy w ten sposób autorytatywną, bardzo obszerną wypowiedź, którą czechosłowackie koła kościelne w Rzymie określają jako prawdziwą sensację i uważają, że 80-letniego kardynała skłoniła do tego świadomość konieczności pozostawienia czegoś w rodzaju testamentu. Tomašek stwierdza m.in.: „Kościołom bogatym i potężnym pokazujemy jak można być wiernym Bogu w biedzie i udręce. Wiara u nas nie jest, tak jak kiedyś, sprawą odziedziczoną i tradycyjną — jest sprawą osobistego wyboru”. Mówi o sobie, o położeniu Kościoła, o kolaborantach, o watykańskiej *Ostpolitik*. Najtrudniejszy problem — według niego — stanowi opłakany stan hierarchii kościelnej: na 13 diecezji tylko 3 mają biskupów-ordynariuszy, pozostałe rządzone są przez administratorów apostołskich bądź przez wikariuszy kapitulnych. „Od czasu do czasu — mówi Tomašek — przedstawiciele rządu i Watykanu spotykają się, dyskutują, ale rezultaty są do tej pory mizerne. Nie powiodło się również ostatnie spotkanie w połowie stycznia. Rząd bowiem stale naciska na nominacje kandydatów na biskupów z organizacji „Pacem in terris”. Kard. Tomašek m.in. stwierdza dosłownie: „jest to stowarzyszenie uzależnione całkowicie, podkreślam całkowicie, od państwa. Program czerpie natchnienie z uczuć braterstwa i współdziałania, ale faktycznie nie działa w interesie Kościoła. Na skutek uzależnienia od reżymu dialog z hierarchią nie istnieje... Liczba członków tego stowarzyszenia nie osiąga 1/3 ogółu duchowieństwa. ...Popierają oni program partii, w większości jednak tylko formalnie, po to by uzyskać większą swobodę w sprawowaniu funkcji kapłańskich... Nigdy nie brałem udziału w ich zebraniach. Nie zgadzam się zasadniczo z tym stowarzyszeniem ponieważ nie ma aprobaty Watykanu, a nawet, mogę to powiedzieć, papież jest tym bardzo zaniepokojony”. Tomašek mówi dalej o dramatycznych warunkach życia religijnego. W dwóch zatwierdzonych przez władze seminariach (Litomierzycy i Bratysława) obowiązuje *numerus clausus*, stu zaledwie alumnów i basta. Powołania zaś rosną. Wykładowcy muszą mieć autoryzację ministerstwa kultury. Zgromadzenia

zakonne nie są prawnie uznane. Zakonnice mogą pracować w domach dla starców, zakonnicy w parafiach. Władze szykanują kapłanów: „czynią wszystko by utrudnić im życie”. O Husaku: — „nie może robić tego co chce, wiąże go wola innych członków KC”. — Co najbardziej ciąży na życiu kraju?: — „Obecność Moskwy. Wszystko jest dławione, ludność jest rozgniewana. Jak można sobie wyobrazić by funkcjonował kraj strzeżony przez Armię Czerwoną?” — Co się mówi o papieżu? — „Jest bardzo atakowany przez partię, przez organ ideologiczny *Tribuna*. Nie podoba się im jego linia ponieważ, według nich, zmierza do poszerzenia obszaru działalności Kościoła jako instytucji społeczno-politycznej. Oskarża się go o propagandę antysocjalistyczną”. — Czy rozmowy pomiędzy rządem i Watykanem będą kontynuowane? — „Tak, przewiduje się układy na temat nauczania religii, nominacji episkopalnych, zniesienia *numerus clausus* w seminariach, prasy i może zakonów i diakonów”. Na pytanie czy wierzy w działanie dyplomacji watykańskiej odpowiedź brzmi: „Oczywiście, ale bardziej wierzę w odrodzenie społeczne. Staramy się żyć i działać jak pierwsi chrześcijanie”. — Czy ten wywiad mu nie zaszkodzi? — „Nie sądzę. Kocham moją ojczyznę i chciałbym aby była wolna”. Na pytanie czy przygotowuje się nowy rok 1968 z masowym udziałem społeczeństwa? — „Nie mogę odpowiedzieć”. Na pytania zaś odnoszące się do „Kościoła katakumb”, w którym działają *incognito* biskupi i kapłani potajemnie wyświęceni i czy odbywają się „zebrania podziemne poświęcone modlitwie, wspólnej refleksji biblijnej i dyskusji nad sytuacją społeczną i polityczną — kard. Tomasek uchyla się od odpowiedzi.

Dominik MORAWSKI

Pisane 6 maja 1980 r.

ZAPIS 10

NUMER SPECJALNY

TADEUSZ KONWICKI

MAŁA APOKALIPSA

NOWA POWIEŚĆ WYBITNEGO PROZAIIKA

„... Chcemy ci coś zaproponować. W imieniu kolegów.

Czuję jakiś mróz na plecach. Odstawiam bardzo wolno nie dopity kieliszek.

— Co chcecie zaproponować?

— Żebyś dziś o ósmej wieczorem spalił się przed gmachem centralnego komitetu partii...”

(fragment)

Sprawy i troski

Fundacja Kościuszkowska

POLONIA NOWOJORSKA: LUDZIE I WYDARZENIA

Fundacja Kościuszkowska, która obchodzi w tym roku 55-lecie swego istnienia, znajduje się na progu nowego etapu.

Odszedł ze stanowiska prezesa profesor Eugeniusz Kusielewicz i na jego miejsce przywódcy Fundacji — jej *trustees* czyli areopag powierników, powołał młodego 32-letniego naukowca, doktora Wojciecha Juszcza, który gdyby nie małe biurokratyczne *qui pro quo* przed kilkoma laty, byłby teraz członkiem polskiej redakcji „Głosu Ameryki” w Waszyngtonie. (Wiadomość o przyjęciu go przysłała z opóźnieniem, kiedy zaakceptował już inne stanowisko).

Doktor Juszcza właściwie wrócił do Fundacji, bo dziesięć lat temu — jako dwudziestolatek — piastował tam funkcję asystenta profesora Kusielewicza.

Przez długie 45 lat Fundacja Kościuszkowska znajdowała się pod rządami swojego założyciela, profesora Stefana Mierzwę, który zamerykanizował swoje nazwisko na Stephen Mizwa. Była to fascynująca, wielowymiarowa postać, łącząca w sobie zalety lwa i lisa. Urodził się w 1892 roku we wsi Rakszawa koło Łańcuta i jako osiemnastolatek przybył do Stanów Zjednoczonych 17 lutego 1910 roku na pokładzie niemieckiego parowca kursującego między Bremą a Nowym Jorkiem.

Władze imigracyjne na Ellis Island wymagały wówczas, by każdy przybysz posiadał w kieszeni minimum 25 dolarów. Mierzwie brakowało do tej sumy siedem dolarów, które pożyczył mu jego towarzysz podróży Józef Mach. W tych warunkach już nikt do Ameryki nie wędruje. Imigrantów z Rosji, Kambodży i Wietnamu od chwili zaokrętownia wspierają pieniądze różne orga-

nizacje prywatne, do których po wylądowaniu dołączają w tym „podaniu ręki” instytucje rządowe. Tego za czasów Stefana Mierzwy nie było. Musiał się przebijać własnymi siłami. I jeśli weźmiemy pod uwagę, że już czternaście lat później — bo już w 1924 roku — zaczął kłaść podwaliny pod Fundację Kościuszkowską, zrozumiemy, że nie przesadziłem ani trochę na plus, nazywając go postacią fascynującą. Trzeba było być lwem i lisem by w połowie lat dwudziestych stworzyć polonijną fundację kulturalną.

W artykułach „na cześć i z okazji” zwykło się pisać, że Fundacja Kościuszkowska stała się obiektem dumy Polonii ponieważ symbolizuje jej wielkie osiągnięcia. Tymczasem prawdą jest, że gdyby Stefan Mierzwa liczył na hojność Polonii, nigdy by nie zrealizował swojego ambitnego projektu. Gdyby nie Amerykanie, i to *wasp* w *waspa*, których młodzieńki profesor rodem z Rakaszawy umiał czarować, Fundacja pozostałaby w sferze niespełnionych marzeń.

Na osiemnastu ofiarodawców, którzy złożyli się na kapitał 43.575 dolarów jest tylko jedno nazwisko polskie, profesora C. D. Zdanowicza, wykładającego wówczas na Uniwersytecie w Wisconsin, którego donacja wyniosła 250 dolarów. Lwią część gotówki w wysokości 25.400 dolarów dostarczył Samuel M. Vauclain z Filadelfii, który czuł się w obowiązku pomagać Polonii ponieważ fabryka na której czele stał — Baldwin Works — sprzedała kilka, czy kilkanaście lokomotyw Polsce. Innego rodzaju, ale niemniej decydująca była pomoc prezesa Vassar College, profesora Henry Noble MacCrackena, którego nazwisko dodało imprezie autorytetu w sferach naukowych.

W swoim pierwszym etapie, zakończonym wybuchem wojny w 1939 roku, Fundacja zajmowała się wyłącznie wymianą kulturalną. Wydała na ten cel 78 tysięcy dolarów posyłając do Polski 28 osób, sprowadzając do Ameryki 67 studentów i naukowców. Wśród tych ostatnich znajdowali się Ludwik Krzyżanowski, Oskar Halecki, Roman Dybowski, Kazimierz Grzybowski, Stefan Pieniążek, Kazimierz Studentowicz. Wśród stypendystów amerykańskich najwybitniejszym był chyba Eric Kelly z Dartmouth College, który po powrocie napisał wiele książek dla młodzieży osnutych na polskich legendach, między nimi *bestseller* pod tytułem *Trumpeter of Cracow*.

Uprzywilejowany charakter, jakim cieszą się fundacje w Ameryce, powodował w przeszłości i powoduje w dalszym ciągu, że są one magnesem przyciągającym różnych kombinatorów i niebieskie ptaki; doświadczenie nie przestaje kryć, jak trzeba się mieć na baczności.

Profesor Mierzwa pomimo całej swojej ostrożności tak głęboko zaprogramowanej w charakterze synów ziemi rzeszowskiej, dał się raz nabrać.

Opowiada o tym ze wzruszającą, zadziwiającą szczerością w swoich wspomnieniach *The story of the Kościuszko Foundation: how it came about*. Poświęcił temu nawet cały rozdział. Zwierza się w nim, jak lekkomyślnie powierzył niejakiemu Edwardowi Branch Lymanowi zadanie zbierania donacji na Fundację ponieważ ten oszołomił go mirażem możliwości stworzenia kapitału w wysokości jednego miliona dolarów. Profesor Mierzwa — według swoich własnych słów — do tego stopnia uległ jego elokwencji, że zgodził się płacić mu pensję w wysokości tysiąca dolarów, co na one czasy było królewską zapłatą.

Akcja Lymana okazała się całkowitym niewypałem. Owszem był wirtuozem w sztuce podbijania bębenków powiernikom Fundacji, ale jego kampania kwestarska nie przyniosła żadnych wyników. I gdyby nie hojność Samuela Vauclaina, tego od lokomotyw, Fundacja Kościuszkowska wykoleiłaby się w drugim roku swojego istnienia. Tego potknięcia profesor Mierzwa nie tylko nie usiłował zaretuszować, albo ukryć, lecz wręcz przeciwnie uwiecznił w swych wspomnieniach na wieczną przestrogę dla swych następców.

Niestety nauka poszła w las za czasów prezesury profesora Eugeniusza Kusielewicza, który wpadł w zastawioną zasadzkę. Epizod ten znam dość dobrze, bo w miarę moich skromnych dziennikarskich możliwości starałem się go unicestwić.

Otóż w przededniu jubileuszu, w którym Stany Zjednoczone miały obchodzić 200-setną rocznicę swojej niepodległości, rozeszła się pocztą pantoflową po polskim Nowym Jorku wiadomość, że Fundacja jest w trakcie zawarcia kontraktu z telewizją warszawską na wykonanie serii filmów obrazujących osiągnięcia Polonii amerykańskiej, jej wkład w narodowy dorobek Stanów Zjednoczonych od roku 1776. Pomysł jako pomysł wydawał mi się dobry, godny poparcia, ale nie z takim kontrahentem jak telewizja warszawska.

Na łamach *Nowego Dziennika* w moich felietonach pt. „Rozmaitości Nowojorskie” wystąpiłem przeciw tej *joint venture* Fundacji z telewizją reżymową ostrzegając profesora Kusielewicza przed powierzeniem tak delikatnego zadania propagandystom z PRL. To raz na zawsze skwaśiło moje stosunki z Fundacją. Profesor Kusielewicz uznał, że dołączyłem do niechętniej mu emigracji politycznej, którą nieco później nazwał *rakiem toczącym ciało Polonii amerykańskiej*.

Tą drogą go zapewniam, że nie kierowały mną żadne osobiste względy.

Wiem, że jego małżonka, mądra i uroczą pani Krystyna, z którą dzielę „argentyńskość”, nigdy nie podzielała jego podejrzeń co do moich intencji.

Okazało się, że w sprawie filmów miałem rację. Jesteśmy teraz w roku 1980 i jeszcze nie zobaczyliśmy ani jednego filmu z serii, która podobno kosztowała kilkakrotnie więcej niż przewidywał kontrakt podsunęty Kusielewiczowi przez spryciarzy. Ale bądźmy sprawiedliwi w stosunku do profesora. To nie była tylko jego wina, że dał się nabrać. Decyzję jego należy wycenić w kontekście chwili. W roku 1975 znajdowaliśmy się w punkcie kulminacyjnym polityki *détente*, która między innymi wprowadziła tak zwaną „zasadę Gulliwera” do stosunków między kapitalistycznym Zachodem i komunistycznym Wschodem. Było pobożną iluzją Henry Kissingera, że im bardziej zwiążemy żarłocznego wielkoluda sowieckiego nićmi różnych wspólnych transakcji i przedsięwzięć, tym bardziej złagodnieje, aż do tego stopnia, że będzie jadł z ręki. Nie można się dziwić, że profesor Kusielewicz był chłonny na sygnały nadawane w Departamencie Stanu i w Białym Domu. Jakaż Fundacja działająca na odcinku wymiany międzynarodowej może sobie pozwolić na obojętność na inspiracje Waszyngtonu.

Pod takim kątem widzenia wspólne przedsięwzięcie Fundacji z państwowym przedsiębiorstwem PRL było inicjatywą zasługującą na piątkę z plusem i nie mam najmniejszej wątpliwości, że ambasada w Warszawie w pełni ją aprobowwała.

Wchodząc w ten układ, kupując kota w worku, profesor Kusielewicz nie wziął pod uwagę czynnika ludzkiego, a mianowicie cwaniactwa jakim odznaczają się „wodzireje” reżymowych massmediów wyposażeni w nieomylny węch na frajerów.

Dla kilkuosobowego zespołu telewizji, kontrakt z Fundacją stał się przysłowiową „dojną krową”, którą wykorzystali jako idealny, zesłany z nieba pretekst dla lukratywnych wypadów do Ameryki.

Kontrakt przewidywał dwie wersje każdego filmu. Jedną na pokazanie w Polsce, drugą na mały ekran w Ameryce. Zespół przystąpił do kręcenia bez scenariuszy, prawie improwizując.

Z tego co wiem z bardzo wiarygodnego źródła z całej serii piętnastu zaprojektowanych filmów, tylko jeden nadaje się na projekcję w USA. Ale do profesora Kusielewicza można mieć jedynie pretensje o to, że w pewnej chwili przestało się o filmach mówić, że nad całą imprezą zapadła kurtyna zapomnienia.

W latach 70-tych Fundacja stała się instytucją kontrowersyjną, odległą bardzo od ideału, który sobie wymarzył Stefan Mierzwa. Patrząc wstecz, wiedząc to co teraz wiemy, wydaje

nam się rzeczą jasną, że profesor Kusielewicz podjął się zadania przedstawiającego Niemniejsze trudności niż kwadratura koła. Nawet Pitagorasowi się to nie udało, jak więc możemy mieć pretensje do młodego profesora z Uniwersytetu St. John, którego rządy w Fundacji zbiegły się z okresem abstrakcyjnych doktryn w dziedzinie amerykańskiej polityki zagranicznej. Czy można mu mieć za złe, że nie okazał się linoskoczkiem umiejącym wszystkich zadowolić tańcem na linie.

Faktem niezaprzeczonym jest i było, że nie może być mowy o autentycznej wymianie kulturalnej z rządem, dla którego wszystko podporządkowane jest dyktatom penetracji i infiltracji o charakterze politycznym, który traktował i traktuje *détente* jako jeden z niuansów taktycznych, tego co Lenin nazwał „korelacją sił”. Być może, gdyby prof. Kusielewicz umiał zgrabniej lawirować, gdyby temperament nie pchał go do antagonizowania „niezłomnych”, uniknięto by kryzysów, napięć i konfrontacji. Nie miał niestety dobrych doradców. Przyjęcie przez prof. Kusielewicza prezesury Zjednoczenia Narodowego w Brooklinie, instytucji o wyraźnych ciągłach w stronę konsulatu, podniosło temperaturę kontrowersji.

Ale w imię sprawiedliwości nie można panu Eugeniuszowi odmówić zalet. Jest doskonałym mówcą. Umiał trafiać poprzez serce do sakwy starej Polonii. Nawet jego krytycy przyznają, że był świetnym kwestarzem. Ma niewątpliwe zasługi, bo dzięki niemu wielu młodych Amerykanów polskiego pochodzenia poznało kulturę i język polski. Na zarzuty, często gołosłowne, odpowiadał szermując realiami sytuacji insynuując, że jego krytycy bujają w obłokach. Głosił, że celem Fundacji jest jednoczenie wysiłków tych wszystkich Amerykanów polskiego pochodzenia i przyjaciół Polski, którzy pragną rozszerzyć kontakty kulturalne i naukowe między narodem polskim i amerykańskim. Idąc po tej linii Fundacja musi spotykać przedstawicieli władz PRL, co przez „niezłomnych” — w jego pojęciu personifikowanych przez śp. Gierata i SPK — uważane jest za zdradę. Jeśli jednak kontakty te mają być utrzymane — powtarzał profesor — jeśli młodzież polsko-amerykańska ma mieć możliwość odwiedzania kraju swych przodków i odbywania studiów w Polsce, spotkania z przedstawicielami PRL stają się niezbędne. Można było mu na to odpowiedzieć: *c'est le ton qui fait la chanson*, wszystko zależy od intonacji.

Dysonansem był udział przedstawicieli zarządu Fundacji w polonijnym Forum zwołanym do Krakowa w 30-tą rocznicę PRL. Było to jednym z symptomów do jakiego stopnia polski uboczny produkt *détente* upolitycznił Fundację Kościuszkowską. Podniosło to napięcia, zaperzenia po obu stronach „barykady”, kon-

trowersje, i musiało w końcu doprowadzić do przesilenia gabineutowego.

Przed następcą profesora Kusielewicz, doktorem Wojciechem Juszcakiem stoi bardzo trudne zadanie. Mówi się o tym w Nowym Jorku i wszyscy, którym na sercu leży przyszłość Fundacji chodzą wokół niego na palcach by w ten sposób okazać mu pomoc i sympatię.

Zmieniły się obiektywne warunki w których działa Fundacja. Zmierzch *détente*, choćby tylko przejściowy, musi się odbić na programach wymiany kulturalno-naukowej. Po okresie *impetuoso con fretta* za Kusielewicz wchodzimy w okres, który najlepiej oddadzą terminy muzyczne jak *moderato* i *queto*. Niewątpliwie doping Departamentu Stanu w kierunku „motania Gulliwerów” do niedawna jeszcze *prestissimo* brzmi teraz *pianissimo*.

Zanim przejdę do rozmowy z doktorem Juszcakiem, postaram się odpowiedzieć na pytanie z czego „żyje” Fundacja Kościuszkowska. My wiemy, ale ci za morzem — jak słusznie w liście do mnie zauważył Redaktor *Kultury* — mają blade wyobrażenie.

Od czasu kiedy profesor Mierzwa podjął swoją *mission impossible* pukając po pierwsze dolary, wiele się zmieniło. Fundacja mieści się od 1945 roku w pięknym, eleganckim pałacyku w najlepszej dzielnicy miasta, między alejami Piątą i Madison. Posiada przeszło cztery tysiące członków, którzy — podejrzewam — mniej lub więcej punktualnie płacą składkę roczną w wysokości 25 dolarów. Dla studentów i tak zwanych *senior citizens* czyli emerytów jest „ulgowa taryfa” w wysokości 10 dolarów. Fundacja okrzepła finansowo w ostatnich latach, ale w żadnym stopniu nie odzwierciedla to wzbogacenia się Polonii amerykańskiej, która — bądźmy szczerzy — nie nauczyła się wspierać finansowo Fundacji, pomimo przywilejów podatkowych, które każdą donację pozwalają odliczyć od ściąganych przez *Internal Revenue Service* świadczeń.

Kilka cyfr, jak wygląda rzeczywistość. W roku 1966 budżet Fundacji opierał się na dochodzie w wysokości 99.500 dolarów. A preliminarz budżetowy na rok 1975/76 — sporządzony przez prof. Kusielewicz — optymistycznie opiewał na 547.009 dolarów, co jednak, niestety, okazało się marzeniem ściętej głowy.

Fundacja utrzymuje się przy życiu dzięki dotacjom i zapisom doktora Sendzimira, doktora Stanisława Chylińskiego i innych ofiarodawców, których można policzyć na palcach dwóch rąk, a także dotacjom celowym Fundacji Alfreda Jurzykowskiego na fundusz stypendialny. Składkami opłaca się tak zwane bieżące wydatki. Akcja kwestarska nie spoczywa w rękach specjalistów,

jak to jest przyjęte w Ameryce, ale jest improwizowana w sposób bardzo dyletancki przez ludzi dobrej woli.

Od chwili powstania do roku 1975 Fundacja zdołała zebrać około pięć milionów dolarów. Przez ostatnie pięć lat suma ta wzrosła o nieznaczne kilka procent.

Powtarzam raz jeszcze, Polacy amerykańscy nie grzeszą hojnością w stosunku do swoich instytucji. Preliminarz budżetowy na rok 1981, dotacje na stypendia, fundusze na inne programy, opiewa na sumę około 260 tysięcy dolarów, a więc prawie połowę hiperbolicznej cyfry z roku 1975. Jeśli odliczymy współczynnik inflacji, Fundacja w rzeczywistych dolarach wyda niedużo więcej niż piętnaście lat temu.

Olbrzymie zasługi oddał Fundacji wybitny wynalazca w dziedzinie produkcji stali, doktor Tadeusz Sendzimir, któremu nowy prezes wręczył specjalny medal Uznania i Wdzięeczności na 45-tym dorocznym balu Fundacji Kościuszkowskiej.

Wydaje mi się, że doktor Wojciech Juszcak, stylem działania, impulsami pasuje do nowego rozdziału Fundacji. Po dynamicznym, porywczym, często niepowściągliwym profesorze Kusielewicz jest postacią przemawiającą półgłosem, *con sordino*, z tłumikiem. Najbliższe miesiące po powrocie z rekonesansu do PRL pokażą do jakiego stopnia potrafi opanować biurokratyczny mechanizm Fundacji, który teraz kołaczy się, jak ten śmigłowiec nad pustynią pod Tabazem.

Doktor Juszcak nie jest człowiekiem pozbawionym zmysłu humoru, co ułatwia z nim rozmowę. W mojej relacji o Fundacji Jurzykowskiego (kwietniowa *Kultura*) powiedziałem, że jego wydłużona sylwetka przypomina monsieur Hulot. Dialog z nim pogłębia to wrażenie. W każdym filmie francuskim mógłby zagrać rolę naukowca. Zna się na klawiszach semantyki i potrafi stosować uniki, jak się przekonałem w rozmowie z nim.

Zaczynam od pytania, którym starałem się nadać naszej rozmowie ton kolokwialny. Amerykanie nazywają to *human story*.

Czy był zaskoczony nominacją? Jak czuje się młody naukowiec w roli prezesa tak dostojnej instytucji jak Fundacja Kościuszkowska? Jak działa na niego sąsiedowanie z monumentalnymi płótnami Matejki, Malczewskiego, Fałata, zdobięcymi salony pałacyku Fundacji?

Odpowiada zgrabnie z ironiczo-sympatycznym błyskiem w oczach. Oczywiście był zaskoczony, że na niego padł wybór zarządu. Doskonale zdaje sobie sprawę, że jest młody, że wśród Polaków w Ameryce jest wielu utalentowanych i inteligentnych ludzi nadających się an stanowisko prezesa. Niemniej czuje, że jego doświadczenie i zaplecze w propagowaniu kultury polskiej w Stanach Zjednoczonych dało mu pewne kwalifikacje, albo to

co po angielsku nazywa się *edge* (przewagę) nad innymi kandydatami. Podkreśla też, że pracował jako asystent profesora Kusielewicz w latach 1970/73, co przemawiało na korzyść jego nominacji.

W toku rozmowy odkrywam, że doktor Juszcak, który przybył do USA jako dziecko mówi dobrze po polsku, ale konstrukcja zdań zdradza, że myśli po angielsku i tłumaczy na polski. To, jak się później przekonałem, dało mu *edge* nade mną przy kłopotliwych pytaniach.

Nie ukrywa, że okazja propagowania kultury polskiej w Stanach Zjednoczonych sprawia mu satysfakcję i radość. — „*Mam nadzieję, że pod moim kierownictwem sprawy Fundacji potoczą się pomyślnie*” — mówi z przekonaniem. *Que Dios te oiga* (oby Pan Bóg cię wysłuchał), myślę sobie po hiszpańsku, bo wiem, że chodzić będzie po zaminowanym terenie.

Podchodzę do sedna sprawy. — Założyciel Fundacji profesor Mierzwa miał swoją koncepcję Fundacji, profesor Kusielewicz — swoją, jaka jest koncepcja doktora Wojciecha Juszcaka?

Jest to bardzo skomplikowane, złożone zagadnienie, mówi. Odpowiedź na to pytanie będzie się rozwijała przez następne kilka lat. Ale teraz na progu swojej kadencji może stwierdzić, że podstawowym programem Fundacji Kościuszkowskiej jest wymiana kulturalno-naukowa między Stanami Zjednoczonymi a Polską i na odwrót między Polską a USA. Dla stworzenia tego pomostu kulturalnego powstała Fundacja 55 lat temu i jemu przede wszystkim musi służyć.

Na przestrzeni lat — mówi młody prezes — doszły inne elementy, jak na przykład publikacje książek polskich autorów o Polsce w tłumaczeniu na język angielski. Doktor Juszcak ożywia się bardzo kiedy mówi o „*rozszerzeniu świadomości*”, o sztuce polskiej poprzez wystawy i stypendia dla artystów, by w ten sposób ułatwić im zaznajomienie się z Ameryką.

Mówi, że te dwie sprawy: wydawanie książek i stypendia dla artystów specjalnie mu leżą na sercu. Chciałby w tym zakreświe jak najwięcej zrobić. W Stanach Zjednoczonych daje się odczuwać brak informacji na temat osiągnięć polskich w zakresie sztuk pięknych. I nie tylko sztuk pięknych, ale w ogóle polskiej kultury.

Zgadzam się całkowicie z moim rozmówcą, ale jak do tego podejść to inna sprawa. Nie przestaje się tego tematu wałkować, ale nic się nie robi.

Doktor Juszcak pragnie ożywić i przeorganizować działalność wydawniczą która — jego zdaniem — do tej chwili błędziła

bez koncepcji. Pragnie jej dać szerszy profil. Zainteresowania osobiste ciągną doktora Juszcaka do poezji (doktoryzował się na podstawie dysertacji o poecie emigracyjnym Tadeuszu Sułkowskim, zmarłym 20 lat temu w Londynie). Ma w dorobku przekłady na język angielski Wierzyńskiego, Miłosza, Janty i innych. Jest pod urokiem literatury polskiej XIX-go wieku. Niedawno ukończył tłumaczenie „*Dziurdziów*” Orzeszkowej. Ukończył studia polonistyczne pod kierunkiem prof. Tymona Terleckiego na uniwersytecie w Chicago. Powtarza za Terleckim, że zarówno polska poezja jak i polska literatura są „przetłumaczalne”, to znaczy, że mogą zainteresować intelektualną Amerykę. Odrzuca twierdzenie sceptyków, że polscy pisarze i poeci nie stanowią większej atrakcji i podniety w przekładzie.

Od siebie mogę dodać, że wszystko zależy od jakości przekładu. Mamy pod tym względem dwa świetne przykłady w postaci wydanych w Stanach Zjednoczonych Pamiętników Paska. *Memoirs of the Polish Baroque* dokonane dzięki stypendium Fundacji Jurzykowskiego przez Catherine S. Leach są kapitalne, natomiast *The Memoirs of Jan Chryzostom z Gosławic Pasek*, pozycja Fundacji Kościuszkowskiej, praca tłumaczki Marii A. J. Święcickiej jest poprawna. Podkreśla to recenzja Ireny Nagurskiej w *The Polish Review*, stwierdzająca, że angielski Święcickiej jest bezbarwny, natomiast Catherine Leach — pełen wigoru.

Oczywiście wolno projektować wielkie programy, podobnie jak to robił prof. Kusielewicz, preliminując przeszło pół miliona dolarów na rok 1976, ale z pustego nawet sam Salomon nie naleje i w tej chwili sytuacja finansowa nie pozwala na żadną ambitną ale nierealną ekspansję. Oczywiście można się na ten temat podniecać, ale to sprawa czysto retoryczna. Priorytet ma — mówi mi przecucie — *rescue operation* — kwestarska akcja ratunkowa zaprogramowana i przeprowadzona przez fachowców.

Jeśli chodzi o szerzenie wiedzy o Polsce w USA, to mój rozmówca ma konkretny plan. Może bardzo praktyczny. Nie wiem. Myśli o Polaku, historyku sztuki, płynnie władającym angielskim, który zrobiłby roczne jakby *tournee* po uniwersytetach amerykańskich z prelekcjami. Ostry *challenge* dla młodego naukowca-turysty z Polski.

Przedmiotem troski nowego prezesa — jak wynika z emfazy — jest sprawa studiów polskich na uniwersytetach amerykańskich. Przypomina Sputnika mówiąc, że ten wyczyn rozbudził w 1957 roku wielkie zainteresowanie sprawami słowiańskimi w USA, ale że była to przejściowa moda i po 10 latach przycichło. Odbiło się to przycichnięcie w sposób ujemny na studiach literatury i historii polskiej na uniwersytetach amerykańskich.

Dziwnymi drogami kroczy kultura w USA. Sputnik otwie-

rający drogę Mickiewiczowi, Gombrowiczowi i Witkiewiczowi... Nawet Mrozek by tego nie wymyślił.

Pytam, jaki będzie główny akcent Fundacji w latach 80-tych za rządów doktora Juszczaka, który jest wystarczająco młody by doprowadzić Fundację do roku 2000. Na wymianę z Polską, czy na pogłębienie wiedzy o polskiej kulturze w Ameryce.

Na to futurologiczne pytanie młody prezes odpowiada wymijająco. Nie mam mu tego za złe. Nie wiadomo, co będzie za rok, a co dopiero za pięć.

Mam też wrażenie, że unik spowodowany jest realistycznie ograniczonymi możliwościami Fundacji, która — jak mówi — jest jedyną instytucją w Stanach Zjednoczonych spełniającą rolę więzi między polską kulturą i sztuką i amerykańską kulturą i sztuką.

Przypominam sobie, że w rozmowie ze mną prezes Alexis Coudert spytał w pewnej chwili, czym się tłumaczy fakt, że jest tak mało polskich fundacji i że po pieniądze zawsze wszyscy pukają do Fundacji Jurzykowskiego. Nie umiałem mu na to pytanie odpowiedzieć.

Każdy z nas ma jakąś sprawę na sercu. Na zakończenie wywiadu pytam doktora Juszczaka o sprawę która leży na sercu redaktorowi *Kultury*. — Czy Fundacja Kościuszkowska zamierza rozszerzyć zakres swojej działalności w Polsce nawiązując kontakt i udzielając pomocy Kasie Pomocy Naukowej i Towarzystwu Kursów Naukowych działających na marginesie oficjalnego PRL?

Doktor Wojciech Juszczak nie spodziewał się, że go zahacze o taką „sercową” sprawę. O ile był przedtem swobodniejszy w swojej polszczyźnie, teraz czuję że „trzyma się” tekstu angielskiego. Mówi, że jest to zagadnienie bardzo trudne, bo w tej chwili nie jest jeszcze wprowadzony w te sprawy. Ale Fundacja Kościuszkowska patrzy na sprawy wymiany kulturalnej jako na sprawy czysto kulturalne dotyczące *istoty ludzkiej* i dlatego Fundacja nie robi różnic między organizacjami, między przekonaniami osobistymi osób. Tym, co się liczy jest *wydajność kulturalna danej osoby* i jeśli to się zgadza ze *standardami Fundacji*, to wówczas osoba jest *godnym kandydatem*.

Żegnamy się. Życzę mu szczęśliwej żeglugi.

Nie poruszyłem z doktorem Juszczakiem sprawy, która wydaje mi się wielkiej doniosłości. Powstrzymałem się, bo nie chciałem zwać na jego głowę jeszcze jednego problemu. Oprócz tego wydaje mi się, że odpowiedniejszym adresatem jest w tej sprawie zarząd Fundacji.

Otóż w tej chwili niezbędne jest sformułowanie *kodu* postępowania z władzami PRL. Prezes Fundacji, któremu *trustees* instytucji powierzają bardzo delikatną misję dyplomatyczno-kul-

turalną powinien mieć wyraźnie określone pełnomocnictwa. Nie może działać luźno, improwizując, ulegając swoim impulsom, które — jak widzieliśmy — nie zawsze są najlepszym doradcą.

Zdzisław BAU

Poeta Powstania Warszawskiego

Staraniem sydneyjskiego Koła b. Żołnierzy Armii Krajowej odbył się w październiku ub. roku w Klubie Polskim w Sydney uroczysty bankiet dla uczczenia Zbigniewa Jasińskiego, poety Powstania Warszawskiego. Impreza ta, jedna z najbardziej udanych w Australii, upłynęła w serdecznym nastroju i przepełnionej sali.

Józef Łobodowski w swym cyklu „O cyganach i katastrofistach” marginiesowo nadmienił kiedyś w *Kulturze*, że Jasiński podczas ostatniej wojny miał wiele przygód. Już jako 5-letni chłopiec po wybuchu pierwszej wojny światowej dzielił los swego ojca na zesłaniu nad rzeką Wiatką, prawie na Syberii. Po powrocie do wolnej Polski ciągle uciekał z domu „na morze”. Maturę zdobył późno jako eksternista, mając już za sobą kilka lat pracy na statkach handlowych oraz 2 lata służby w Marynarce Wojennej. Gdy w wypadku doznał strzaskania prawego stawu łokciowego, zwolniono go z kategorii D — niezdolny do służby wojskowej. W rezultacie 3-letnie studia w Wyższej Szkole Dziennikarskiej w Warszawie i szereg artykułów prasowych o morzu. Posada w wydawnictwach Ligi Morskiej i Kolonialnej w Warszawie, a następnie w Instytucie Bałtyckim w Gdyni. Gdy złamana ręka przestała mu dokuczać, Jasiński podpisał kontrakt na wyjazd do Senegalu, aby tam dołączyć się do załogi jachtu „Poleszuk”, ale po kilku miesiącach zmuszony był opuścić jacht w Gwinei Francuskiej i wrócił do Polski.

Po wybuchu drugiej wojny światowej był żołnierzem Ochotniczego Korpusu Czechosłowackiego gen. Lwa Prchali, jedynej formacji Wojska Polskiego przyjmującej ochotników (przy zaciągu Jasiński przemilił swoją kategorię D). Ranny odłamkiem niemieckiej bomby lotniczej. Zatrzymany przez czołwkę sowiecką i zesłany do łagru Tietkino, około 400 km za Kijowem. Po kilku miesiącach przekazany Niemcom drogą wymiany jeńców nad Bugiem, z transportu niemieckiego ucieka w Lublinie.

Znów w Warszawie, Jasiński już w marcu 1940 roku jest żołnierzem ruchu oporu. Postrzelony w łapance ulicznej. W 1943 roku jest kurierem AK i dociera do serbskiej kopalni miedzi w m. Bor, blisko Bułgarii. W 1944 roku znów w Warszawie, bierze udział w Powstaniu, przydzielony do radiostacji AK „Błyskawica”.

Po upadku Powstania podporucznik AK Jasiński jest jeńcem w głodo-wym Oflagu Sandbostel. Oswobodzony w 1945 roku (po 7 miesiącach) przez armię brytyjską, wymyka się i dociera do Paryża. W koszarach Bessières melduje się w Ośrodku Wojska Polskiego jako... marynarz (o swej kategorii D znów zamilczał) i na tej podstawie zostaje wysłany z Francji do polskiej Marynarki Wojennej w Wielkiej Brytanii. Tu otrzymuje stopień podporucznika marynarki i przydział do wydziału prasowego Kierownictwa

Marynarki Wojennej w Londynie. Po rozwiązaniu Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii Jasiński przechodzi do P.K.P.R. z brytyjskim stopniem porucznika. I wreszcie w 1952 roku emigruje do Australii, gdzie po 5 latach przyjmuje obywatelstwo australijskie. Ale po ceremonii tej w australijskiej gazecie w Griffith ogłoszono artykuł Jasińskiego pt. „Voice of a Naturalized Sheep” („Głos naturalizowanej owcy”), będący ostrym protestem przeciw bezceremonialnemu „załatwianiu” imigrantów podczas nadawania im obywatelstwa. W rezultacie w następnych latach ceremonie te (w Griffith) odbywały się z należytą godnością.

Sydnejski bankiet na cześć Jasińskiego jako poety Powstania można by połączyć z 50-letnim jubileuszem jego pracy pisarskiej. Debiutował drukiem już w 1929 roku, gdy jego szkic pt. „Sztorm” ukazał się w literackim dodatku *Ilustrowanego Kuriera Codziennego* w Krakowie. Ten sam dziennik w 1937 roku ogłosił w 83 odcinkach jego powieść marynarską pt. „Biczman”, wyróżnioną na konkursie I.K.C. W międzyczasie Jasiński wydał 2 zbiory własnych wierszy morskich (1931 i 1936) oraz antologię pt. „Morze w poezji polskiej” (1937 r.). Jako publicysta morski Jasiński utrwalił swą pozycję szeregiem artykułów prasowych.

„Morski” okres pisarstwa Jasińskiego skończył się z wybuchem wojny. W Podziemiu i w Powstaniu pochłonęły go sprawy żołnierskie, akowskie, które po wojnie kontynuował w prasie emigracyjnej, m.in. w *Kulturze* oraz w pismach londyńskich jak *Wiadomości*, *Dziennik Polski*, *Orzeł Biały* i pismo lotnictwa *Skrzydła*. Szczegóły tych prac widnieją w obu tomach wydawnictwa Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie pt. „Literatura polska na obczyźnie 1940-1960” pod redakcją Tymona Terleckiego (Londyn, 1964/1965).

Sydnejski bankiet na cześć Jasińskiego uhonorował go jako poetę Powstania Warszawskiego.

Spśród wszystkich jego utworów powstańczych najbardziej znany jest dumny wiersz pt. „Żądamy amunicji”, który wysłany w świat na fali „Błyskawicy” wywołał silne wrażenie na Zachodzie. Gdy wiersz ten podczas Powstania ogłoszono w londyńskim *Dzienniku Polskim*, znany publicysta Zygmunt Nowakowski wykrzyknął z patosem: „Tu małość, a tam — wielkość”. A świetny poeta Jan Lechoń w nowojorskim *Tygodniku Polskim*, pod jego redakcją, ocenił wiersz Jasińskiego jako „świszczący pamflet na naszą historię”. A w Rzymie, w tygodniku 2-go Korpusu *Orzeł Biały* (dziś kontynuowanym w Londynie jako miesięcznik S.P.K.) ukazał się dramatyczny artykuł naczelny, osnuty wokół wiersza Jasińskiego, i pod tytułem „Nam starczy ducha”, wziętym z tekstu wiersza.

Powstanie Warszawskie wciąż jeszcze trwało, gdy wiersz ten na Zachodzie miał już kilka przekładów na języki obce: angielski, francuski, włoski i słoweński. A po 10 latach prawdopodobnie również na język rosyjski, bo — według warszawskiego „Słownika Współczesnych Pisarzy Polskich” — przekład jakiegoś utworu Jasińskiego ogłoszono w moskiewskim czasopiśmie *Zwieno* (1954).

Tak samo jak na Zachodzie, w Polsce wiersz „Żądamy amunicji” ma utrwaloną pozycję, ogłaszany tam jest nie tylko w antologiach, ale także zwykle w rocznicę Powstania — w czasopismach, almanachach, a nawet na odwrotnej stronie kartek kalendarzy. Przeważnie są to przedruki z przedruków, więc często w formie spazzonej. Zdarzają się też fałszerstwa na rzecz komunistycznej propagandy...

Oryginał „Żądamy amunicji” ma tylko 4 zwrotki. W PRL bywa, że dopisują kilka innych, mających świadczyć, że żołnierzom Armii Krajowej brak było ducha i że walczyli w Powstaniu niechętnie. Na przykład kilka lat temu w *Życiu Warszawy* wiersz ten ukazał się w... 16 zwrotkach, tj. z tuzinem dopisanych inną ręką. Zauważono to informacją, że autorem

całości był Zbigniew Jasiński, który poległ w Powstaniu. Ale oryginał tekstu Jasińskiego pamiętano w Warszawie — redakcję pisma zasypano protestami, m.in. interweniował też poeta Mieczysław Ubyś (pseud. AK „Wilki”). Redakcja odwołała wiadomość o śmierci Jasińskiego, a nawet wydrukowała „Żądamy amunicji” w brzmieniu oryginalnym, bez dodatków propagandy PRL.

Natomiast zupełnym milczeniem otoczony jest w prasie PRL inny utwór Jasińskiego: znacznie dłuższa, tragiczna „Pieśń o Powstaniu”. Nic dziwnego, gdyż zawiera on ostre akcenty niechęci do armii sowieckiej, która za Wisłą biernie przyglądała się agonii Powstania. Z kraju mamy jednak relacje, że utwór ten dotarł tam na taśmach magnetofonowych. „Pieśń o Powstaniu” została po raz pierwszy ogłoszona w całości w *Kulturze* (nr 87/88, 1955).

W latach 1955-1957, podczas 2-letniego objazdu hollywoodzkiego Teatru im. Modrzejewskiej pod dyrekcją Leonidasa Dudarewa-Ossetyńskiego „Pieśń o Powstaniu”, w dramatycznej recytacji Lidii Próchnickiej, doznała gorącego przyjęcia w kilkuset ośrodkach polonijnych od Arizony i Teksasu na południu Stanów Zjednoczonych aż po Manitobę w północnej Kanadzie.

W 1957 roku — z inicjatywy znanego poety i publicysty, Aleksandra Janty — grono przyjaciół Teatru Ossetyńskiego wydało „Pieśń o Powstaniu” w formie książki (bez wiedzy autora, któremu Janta chciał sprawić tym niespodziankę). Utwór Jasińskiego został tu poprzedzony „słowem wstępnym” Andrzeja Pomiana (pseud. AK „Dowmunt”) pt. „Poeta Powstania Warszawskiego”. Książka ta zawiera też mapkę z trasą objazdu Teatru po kontynencie Ameryki Północnej oraz przedruki recenzji z prasy amerykańskiej i kanadyjskiej. Na liście przedpłacicieli widnieje Kazimierz Wierzyński.

Jasiński w Powstaniu napisał jeszcze 3 inne wiersze: „Sierpień”, „Od-mawiamy” (znany też pod tytułem „Warszawska Gazownia”) oraz „Sumienie świata”. Inny poeta powstańczy, Mieczysław Ubyś, napisał dwa wiersze poświęcone Jasińskiemu. Jednym z nich, napisany w Powstaniu, pt. „PKO”, poprzedzony jest dedykacją: „Na cześć Tego, który podczas rosnącej paniki zaintonował hymn narodowy”. Drugi wiersz Ubyśa, bez tytułu, napisany był w obozie jenieckim, z dedykacją: „Zbyszowski Jasińskiemu, bohaterowi mego 'PKO'”.

Twarda postawa poety, widoczna w jego utworach powstańczych, cechuje go również w życiu prywatnym. Przed kilku laty otrzymał z Polski list z podpisem Mieczysława Moczara — generała zapraszał go na 3-tygodniowy pobyt w Ojczyźnie na koszt ZBOWIDU... Gdy zapytałem Jasińskiego, jak na to zareaguje, odpowiedział: „Na listy z propozycją łapówki nie odpowiada się”.

Jak już wspominałem, powstańcze wiersze Jasińskiego znane są tylko z przedruków rozproszonych po różnych wydawnictwach, w formie często spazzonej. Dopiero teraz komplet tych utworów — w brzmieniu oryginalnym, a więc bez wypaczeń — ma po raz pierwszy ukazać się drukiem w całości, w formie książki pt. „Krwia i rymem — dokumenty powstańcze”.

Oprócz wierszy książka zawierać ma również głosy prasy emigracyjnej z okresu Powstania, jako świadectwo ówczesnych nastrojów Polaków na Zachodzie w odniesieniu do Powstania, mające dziś — tak samo jak wiersze Jasińskiego — wartość historyczną.

Sydnejskie Koło AK zamierza w miarę swych skromnych funduszy przyczynić się do realizacji wydania książki. Można zatem mieć nadzieję, że utwory poety Powstania Warszawskiego nareszcie znajdą nakładcę.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Lata osiemdziesiąte zaczęły się kolejnym atakiem Związku Sowieckiego. Atak przebiegał udanie, prawie nie napotykał oporu. Po rewolucji październikowej propagandziści sowieccy wymyślili formułę, która zyskała sobie światową popularność: ZSSR — oblężona twierdza. Sowieccy propagandziści i dziś posługują się tą formułą. Związek Sowiecki, który już w chwili swych narodzin rzucił wyzwanie światu, w stanie oblężenia znajdował się zaledwie kilka lat. Potem posługiwał się słowem „oblężenie” dla uzasadnienia nędzy, terroru, najokrutniejszej z tyranii.

Dziś w sytuacji oblężonej twierdzy — w pełnym tego słowa znaczeniu — znajduje się świat zachodni. Związek Sowiecki atakuje go ze wszystkich stron, wprost lub pośrednio, i odnosi zwycięstwa, jako że Zachód nie rozumie i nie chce zrozumieć swojego położenia. Pamiętniki Henry Kissingera są tragicznym dokumentem, świadczącym o bezsile Zachodu, skoro nawet ten najbystrzejszy z polityków amerykańskich nie pojął — a wraz z nim i inni zachodni politycy — szczególnej, niespotykanej dotychczas w historii, natury Związku Sowieckiego. Kissinger wciąż jeszcze wierzy, że żyje w XIX wieku i że wystarczy przebiegłej dyplomacji, aby się z Moskwą dogadać.

Niejedną książkę można by napisać o tym, czym się różnią „dwa światy, dwa ustroje”. Publikowane w prasie sowieckiej informacje z Afganistanu mogą moim zdaniem zastąpić wszystkie te książki. Naczelne miejsce wśród nich zająć winien niewątpliwie reportaż *Literaturnoj Gaziety* z 19 marca 1980 roku. Opowiada on o starym Afgańczyku, który, ujrawszy sowieckiego czołg, „przywarł doń i ucałował zakurzone działo”. Goebbels, przeczytawszy w piekle ten reportaż, musiał pozielenieć z zazdrości: nawet jemu nie przyszło do głowy pisać, że idące do gazu ofiary całowały drzwi pieców krematoryjnych.

W drugim świecie, w drugim ustroju prezydent Carter oznajmił wczesnym rankiem swym współobywatelom, bojąc się jakby,

żeby go nikt nie uprzedził, o fiasku operacji ratowania zakładników w Iranie. Piotr Grigorienko, niegdyś generał a dziś dysydent, akurat w dniu katastrofy amerykańskiej występował w radio francuskim. Na pytanie, co myśli o nieudanej operacji amerykańskiej, odpowiedział, że w armii sowieckiej rozstrzelano by wszystkich uczestników desantu i nikt by się o niczym nie dowiedział. Tego samego dnia był w Paryżu i Andriej Gromyko. On także oświadczył: wierzyć mi się nie chciało, kiedy mi o tym powiedziano. Dziennikarze francuscy skomentowali to następująco: sowiecki minister spraw zagranicznych był wstrząśnięty amerykańską próbą uwolnienia zakładników. Można bez wahania powiedzieć, że wstrząśnięty był przede wszystkim natychmiastowym obwieszczeniem porażki.

Nie wdając się w ocenę postępowania Moskwy i Waszyngtonu, nie przesądzając, co jest lepsze — czy twierdzenie, że Afgańczycy całują sowieckie czołgi, czy natychmiastowe przyznawanie się do porażki, można, jak sądzę, oba te fakty uznać za charakterystyczne przejawy przeciwstawnych mentalności. Z zestawienia dwóch faktów, dwóch typów postępowania można wysnuć wniosek, że w wojnie propagandowej zwycięża system sowiecki. Tylko sowiecki system świadom jest wszechmocy Słowa jako broni.

Istnieją na przykład liczne sposoby walki z niedostatkiem produktów żywnościowych. Jednak tylko w ustroju socjalistycznym stosuje się szczególnego rodzaju metodę: w 1978 roku wydano w ZSSR okólnik dotyczący książek o problemach żywienia. Zabrania on między innymi publikacji zawierających fotografie mięsa, bananów itp. W razie nieuniknionej konieczności zezwala się na ilustrowanie tekstu rysunkami, które jednak mają być jak najbardziej schematyczne. Niewykluczone, że w Związku Sowieckim, a może i w całym obozie socjalistycznym wyrośnie pokolenie, które zobaczywszy mięso lub produkty mięsne nie pozna, co to takiego.

Największym błędem wszystkich zachodnich działaczy państwowych jest przekonanie, że propaganda sowiecka, w natężeniu kłamstwa przerastająca wszystko co dotychczas znano w tej materii, oddziałuje tylko na rosyjskich dzikusów. Że w Rosji zawsze tak było i będzie.

Kissinger pisze z pewnością siebie harwardzkiego profesora: „Polityka Związku Sowieckiego jest oczywiście spuścizną starego rosyjskiego nacjonalizmu”. Inny harwardzki profesor, Richard Pipes, jeden z doradców Ronalda Reagana, radzi dla zrozumienia poglądów przywódców rosyjskich studiować zamiast dzieł zebranych koryfeuszów marksizmu-leninizmu „Przysłowia narodu rosyjskiego” W. Dahla.

„Przysłowia narodu rosyjskiego” w żaden jednak sposób nie mogą wyjaśnić zebrań na których francuscy trockiści oklaskują Armię Czerwoną — oswobodzicielkę Afganistanu. Nie objaśnia

one także, dlaczego mobilizacja Moskwy daje znacznie lepsze rezultaty aniżeli mobilizacja Waszyngtonu. Sojusznicy USA niechętnie, półgębkiem wyrazili solidarność ze staraniami USA, a na dwadzieścia dziewięć europejskich partii komunistycznych dwadzieścia dwie posłusznie stawily się na zjazd w Paryżu i gorąco poparły sowiecką politykę zagraniczną. Siedem partii nie przysłało przedstawicieli, że jednak prasa sowiecka nie wspomniała o tym ani słowem, naród sowiecki wie, że nie jest osamotniony.

„Przysłowia narodu rosyjskiego” nie wyjaśnia też w żaden sposób, dlaczego Związek Sowiecki, bezustannie rozszerzający swe terytorium i strefę wpływów, wciąż uchodzi za zwolennika pokoju i „współistnienia”. Henry Kissinger oświadcza w swych pamiętnikach, że „w 1969 roku Zachód coraz ostrzej odczuwał brzemię zimnej wojny”. Jest to jedno z najbardziej zdumiewających wyznań byłego amerykańskiego sekretarza Stanu, zdumiewające jako świadectwo kompletnego niezrozumienia tego co pisze i jako wierne odzwierciedlenie nastrojów Zachodu. Zaledwie pół roku minęło od okupacji Czechosłowacji, a Zachód już nie może wytrzymać, już cierpi od „zimnej wojny”. Wstrząsające słownictwo: „zimnej wojnie” zawsze jest winien Zachód. W 1969 roku Zachód już ma wyrzuty sumienia i spieszy skończyć z „zimną wojną”. Szukając dróg do Moskwy, Kissinger, dopiero co mianowany doradcą nowego prezydenta do spraw bezpieczeństwa, idzie do sowieckiego posta w Waszyngtonie Dobrynina. Opisując upadek zachodniej cywilizacji, przyszedł Gibbon niewątpliwie wspomni o barwnym epizodzie jakim było przyjęcie u Dobrynina, przyjmującego wysłannika prezydenta Nixona w prywatnych apartamentach i w jedwabnym szlafroku.

Pamiętniki Kissingera brzmią niezwykle aktualnie, bowiem dziś, w pięć miesięcy po wkroczeniu wojsk sowieckich do Afganistanu, Europa zachodnia przejawia już „zmęczenie zimną wojną”. Francuski poseł uczestniczy z trybuny w defiladzie pierwszomajowej w Moskwie. Kanclerz RFN Helmut Schmidt błaga o zaproszenie do Moskwy. Olivier Chevrillon, jeden z najbardziej świadomych rzeczy dziennikarzy francuskich, pisze we wstępie do *Le Point* (nr 398, 5 maja 1980): „Liczni obserwatorzy zastanawiają się, czy kanclerz Schmidt... nie planuje nowego paktu z sowieckim imperium. Obawiając się wojny, rozczarowawszy się do Cartera i Stanów Zjednoczonych, [Schmidt] popadnie w neutralizm. Jego żywe pragnienie spotkania z Breżniewem, jego niedawne wypowiedzi o konieczności rozmów z Moskwą o rozmieszczeniu pocisków w Europie wskazują, jak niektórzy sądzą, na zaczynającą się ewolucję: RFN stanie się wkrótce słabym ogniwem Paktu Atlantyckiego”.

W dużym artykule opublikowanym w amerykańskim piśmie *Foreign Affairs* Aleksander Sołżenicyn mówi o śmiertelnym niebezpieczeństwie dla Zachodu, który nie rozumie Związku Sowieckiego, a w szczególności o „syndromie Kissingera”. Sołżenicyn podkreśla, że cechuje on nie tylko byłego amerykańskiego sekre-

tarza Stanu. „Syndrom Kissingera” polega na tym, że dopóki człowiek jest na wysokim stanowisku, prowadzi politykę ugody i kapitulacji, a kiedy tylko opuści stanowisko, nagle otwierają mu się oczy i zaczyna bronić polityki twardej i zdecydowanej. Sołżenicyn przypuszcza, że ludzie dotknięci „syndromem Kissingera” wiedzą, jak naprawdę wygląda sytuacja, a kapitulanką politykę prowadzą, bo chcą zachować stanowisko. Mnie się wydaje, że położenie jest znacznie bardziej tragiczne, że politycy zachodni nie wiedzą, jak naprawdę wygląda sytuacja, i istoty sowieckiego ustroju nie rozumieją.

Odsunięty od władzy a więc wolny od trosk tej kondycji Kissinger pisze, że „wielkie mocarstwa często zachowują się jak dwóch uzbrojonych po zęby ślepców, szukających się po omacku w pokoju ze strachu, że przeciwnik, którego każdy z nich uważa za widzącego, wymierzy śmiertelny cios”. Jest to parafraza słynnej heglowskiej definicji metafizyki. Niemiecki filozof dorzucił: dwóch ślepców szuka się nawzajem w pustym ciemnym pokoju. Z pamiętników byłego sekretarza Stanu wyłania się prawdziwy obraz USA, ślepego, uzbrojonego po zęby giganta, szukającego po omacku wroga, który dawno wyszedł z pokoju i czeka na ulicy przyczajony za węglem. Nawet odsunięty od władzy Kissinger ma nadzieję, podobnie jak inni przywódcy zachodni, że mimo wszystko znajdzie w ciemnym pokoju Związek Sowiecki i przekona go o konieczności „współistnienia”.

Najbardziej zaskakującym świadectwem niezrozumienia natury ustroju sowieckiego jest brak długofalowej polityki w stosunku do ZSSR. Związek Sowiecki sam reguluje swoje stosunki z Zachodem — kiedy chce, przekłada je do pokojowego koryta, kiedy chce — stwarza napięcie. Dlatego nawet to, co mogłoby uderzyć w ustrój sowiecki traci sens, bowiem akcje są krótkotrwałe, nieprzemyślane.

Należy wątpić czy USA długo utrzymają embargo na eksport zboża do ZSSR, skoro znalazł on dostawców w Argentynie, Kambodży, Brazylii. Tymczasem embargo zbożowe mogłoby stać się skutecznym instrumentem nacisku na ustrój sowiecki.

W ostatnich latach, od 1978 poczynawszy, a w szczególności w 1979 roku kierownictwo sowieckie przystąpiło do reform jednej z podstaw swego państwa. Embargo przyspieszyłoby zaczęte zmiany, których skutków nie sposób oczywiście przewidzieć, ale których znaczenie mogło być kolosalne. Po raz pierwszy w swych dziejach państwo sowieckie zaczęło popierać samodzielne gospodarstwa chłopskie. W moich przeglądach prasy sowieckiej nieraz przychodziło mi pisać o nadzwyczajnych plodach literackich L. Breżniewa. Dziś można je także śpiewać: kompozytorka Szubnowa napisała do słów Breżniewa oratorium „Chleb i pieśń”. Jeśli jednak zapomni o literackich walorach dzieł Breżniewa, można w nich znaleźć, zwłaszcza w książce „Ugór”, pewne aluzje do zachodzących w ZSSR procesów. Breżniew pisze mianowicie: „Nie mało jest jeszcze przywódców, którzy żyją tylko

nadzieją na wszechmocne fundusze, nie zastanawiając się, skąd państwo ma je brać?”. Pytanie na pozór dziwne: skąd rzeczywistość potężne kolchoźnicze państwo ma wziąć chleb i mięso dla wykarmienia ludności? Pytanie to jednak należy rozpatrywać jako przestrożę dla przywódców (republik, *oblastiej*, zakładów pracy) — niczego nie dostaniecie, państwo wam żywności nie da. Pozwólcie zatem ludności ją produkować: dajcie jej ziemię, jeśli można pomóżcie nasionami, narzędziami, nawozami.

Sowiecka prasa natychmiast podchwyciła dyrektywę Breżniewa. Jedna jedyna gazeta *Trud*, organ wszechzwiązkowych związków zawodowych, opublikowała w 1979 roku dwadzieścia dwa artykuły o rozwoju samodzielnych gospodarstw rolnych. W roku 1980 artykuły na ten temat pojawiają się w *Trudzie*, *Prawdzie* i *Izwiestiach* coraz częściej. W artykule „Istota i perspektywy rozwoju prywatnych gospodarstw posiłkowych”, opublikowanym w ekonomicznej serii *Izwestii Akademii Nauk SSSR* nr 2, 1979, ekonomista Ł. A. Chorużyj dokonuje zasadniczej rewizji marksizmu. Na dowód wydajności prywatnego rolnictwa posiłkowego przytacza on przykłady z okresu niewolnictwa: w starożytnej Grecji, w Sumerze, starożytnym Egipcie i Rzymie weteranom legionów dawano po skrawku ziemi wielkości tego, do jakiego mają prawo dzisiejsi obywatele sowieccy. Ekonomista Chorużyj nie wie albo zapomina powiedzieć, że starożytna Grecja i Rzym chleb przywoziła zawsze z kolonii. Ale nie ma to oczywiście znaczenia. Żyjący dziś na Zachodzie sowiecki ekonomista Borys Rumin, autor artykułu o „drugim nurcie rolnictwa w ZSSR” jako epigraf przywołuje słynne hasło I. Ilfa i Je. Pietrowa: „Ratunek tonących w rękach samych topielców!”. Mądrość tę przyjęli sobie sowieccy przywódcy.

W roku 1979 16 do 20 % ludności Leningradu znaczną część niezbędnej żywności produkowało na własnych działkach. W Tomsku 20 % ludności ma własne działki. Cyfry te, wzięte z gazety *Trud* za rok 1979, można uznać za typowe także dla innych miast sowieckich. 9 lutego 1980 roku pojawił się w *Prawdzie* artykuł wychwalający sukcesy wojskowej obsady moskiewskiego okręgu wojskowego w dziedzinie samodzielnego zaopatrzenia w żywność. „Wszystko co trafia na żołnierski stół — kartofle, cebulę, kapustę, buraki, ogórki itp.” żołnierze produkują sami. Prowadzą też hodowlę świń. Fakt, że artykuł opublikowano w *Prawdzie* a nie w *Krasnoj Zwieździe* oznacza, że cała sowiecka armia ma przejść na samodzielną produkcję żywności. Armia Sowiecka ma oczywiście i inne sposoby na „samodzielne zaopatrzenie” — w Afganistanie nie potrzebuje uprawiać własnej cebuli. Jednak dyrektywa nakazująca armii samej się zabezpieczać w żywność świadczy po pierwsze o ciężkim położeniu rolnictwa a po drugie o tendencji do rozwiązania kryzysu przez rozszerzenie sieci zagród indywidualnych.

Następstwa tej polityki mogą być bardzo poważne, przy czym główne jej efekty polegać będą nie na polepszeniu zaopatrzenia

ludności w żywność i nie na zmniejszeniu 'płynności kadr' — robotnik, który dostanie od fabryki kawałek ziemi nie zechce zmieniać miejsca pracy, lecz na tym, że zmniejszy się zależność obywatela od państwa, że spod kontroli państwa wykmie się znaczna część dochodów gospodarczych, które rozprzestrzeniać się będą drogą naturalnej wymiany, że zacznie się odradzać zainteresowanie dla ziemi i pracy na roli. Należy dorzucić, że nowa polityka cieszy się naturalnym poparciem społeczeństwa: bodaj pierwszy raz od czasu wojny z Niemcami polityka rządu znajduje zrozumienie obywateli kraju.

Embargo na zboże i trudności z zaopatrzeniem kraju w żywność niewątpliwie zmusiłyby przywódców sowieckich do dalszych ustępstw na rzecz „drugiego nurtu”.

Rzadko, niestety, mogę włączyć w przeglądy prasy sowieckiej materiały z kronik sądowych. W Związku Sowieckim nie popełnia się przestępstw, bowiem nie piszą o nich gazety. A jeśli piszą, to tylko żeby powiedzieć że dokonane przestępstwo jest nietypowe dla sowieckiego życia. I tym razem gazety sowieckie o morderstwie i aresztowaniu mordercy nie napisały ani słowa, i wątpię należy, czy napiszą. Nietypowe! Ja chciałbym o tym kilka słów powiedzieć, bo o aresztowanym była mowa w jednym z moich przeglądów. Pisałem o Walerym Jemielianowie, bo obroził on pracę doktorską o masonach i dowiódł w niej istnienia światowego spisku masonsko-żydowskiego. Doktor nauk filozoficznych Jemielianow został czołowym sowieckim teoretykiem antysemityzmu, profesorem, kierownikiem katedry arabistyki moskiewskiej wyższej szkoły języków obcych imienia Maurice Thoreza. Mniej więcej rok temu przytrafiło się nieszczęście. Profesor Jemielianow napisał książkę pt. „Desyjonizacja” i wyłożył w niej kilka oryginalnych myśli. Po pierwsze, że „Żydów cechuje stały kryminalny genotyp o charakterze hybrydoidalnym, wyrosły z mieszanek starożytnych dynastii zawodowych przestępców rasy czarnej, żółtej i białej”. Po drugie, że Palestyna była od najdawniejszych czasów ruską ziemią, a Mojżesz przez czterdzieści lat wiódł Żydów przez pustynię, bo czekał, aż się Aryjczycy nawzajem powyrzynają w wojnie trojańskiej i będzie mógł zająć Palestynę (wszyscy wiedzą, że Rosjanie byli Aryjczykami i jako tacy uczestniczyli w wojnie trojańskiej pod przewodnictwem rdzennego Rosjanina Achillesa!). Po trzecie, że chrzest Rusi w X-tym wieku był częścią syjonistycznego spisku zmierzającego do rozbicia słowiańskiej rasy. Itd., itp. Doktor Jemielianow książkę napisał i przez współplemieńców Palestyńczyków odprawił ją na Zachód. Wydawnictwo „Palestyńskie Wolne Słowo” opublikowało ją po rosyjsku we Francji.

I tu nieszczęście. Jemielianowa wyrzucili z partii i z pracy. Wtedy żona zaczęła go męczyć, wymówki mu robić, że stracił posadę i legitymację partyjną. Aryjczyk Jemielianow pojął widać,

że żona jest nasłana przez syjonistów, więc zabił ją, a trupa wyrzucił na śmietnik. Ale przed sowiecką milicją nawet Aryjczyk się nie ukryje. Jemielianowa aresztowali. Należy przypuszczać, że mieszkańcom sowieckich domów wariatów przybędzie wkrótce jeszcze jeden pacjent — tym razem naprawdę obłąkany.

Ta kryminalna historia jest nadzwyczaj pouczająca: w Związku Sowieckim obłąkany antysemita może obronić pracę doktorską, może kierować uniwersytecką katedrą, ale nie ma prawa — nikt nie ma prawa — występować z własną inicjatywą. Kiedy będzie trzeba, książkę „Desyjonizacja” przełożymy na obce języki i opublikują ją we wszystkich krajach świata. Póki nie ma rozkazu — czekaj!

Profesor N. P. Utiechin ogłasza na przykład bez najmniejszych trudności w piśmie *Russkaja Literatura* (nr 4, 1979) duży naukowy artykuł pt. „Mistrz i Małgorzata” M. Bułhakowa, w którym dowodzi, że po pierwsze Chrystus był Syryjczykiem (a nie jak niektórzy twierdzą przedstawicielem innej narodowości), a po drugie „Judejczycy dysponowali potężnymi powiązaniami” na dworze imperatora i dzięki temu przeszkodzili Piłatowi w uścisławieniu Syryjczyka Chrystusa. Profesor Utiechin dowodzi z niezwykłą łatwością, że M. Bułhakow był antysemitą i napisał antysemicką powieść. Bo to dziś wolno. A wysyłać antysemickie rękopisy za granicę i zabijać żon — na razie nie wolno.

Adam KRUCZEK

Ucrainica w Północnej Ameryce

Emigracja ukraińska na kontynent amerykański przebiegała podobnie jak polska i zrodziła się z identycznych — jeśli chodzi o masy — powodów: biedy, głodu ziemi, chęci poprawy bytu. Przytłaczającą większość emigrantów — a jeśli chodzi o ukraińskich to niemal całość — stanowili wieśniacy: małorolni, bezrolni, robotnicy rolni, względnie ich dzieci. I jeszcze jeden wspólny czynnik — geograficzny: pochodzili z tych samych stron tj. dawnej Galicji, a później Małopolski Wschodniej, z tym że do imigracji ukraińskiej należała w latach poprzedzających wybuch pierwszej wojny światowej liczna grupa z Bukowiny, wchodzącej wówczas w skład monarchii austro-węgierskiej. Natomiast ilość imigrantów z obszarów należących do carskiej Rosji była minimalna. Imigracja ukraińska do lat 20-tych naszego stulecia była wyłącznie ekonomiczna, z tym oczywiście że mogły znaleźć się jednostki, które emigrowały z innych powodów.

Ścisłe ustalenie stanu liczebnego grupy ukraińskiej jest wręcz niemożliwe. Urzędy statystyczne w obu państwach stosują różne formularze spisowe i żadna z rubryk nie zawiera pytania o przynależność narodową. Organizacje społeczne i poszczególni rzecznicy grupy ukraińskiej często wobec tego operują własnymi danymi, które z zasady są znacznie wyższe niż urzędowe. Są bar dziej wyimaginowane niż realne, stanowiąc wyraz pobożnych życzeń. W obliczeniach należy się więc opierać na danych oficjalnych i wprowadzać pewne poprawki.

Świadomość narodowa imigrantów ukraińskich do wybuchu pierwszej wojny światowej była minimalna. Jeszcze dziś, zarówno w Stanach Zjednoczonych jak i w Kanadzie, nie brak takich, którzy deklarują się jako Rusini lub „ruscy” — dotyczy to osób władających tylko językiem ukraińskim.

Wasył Markus ocenia (na podstawie danych kościelnych) stan liczebny Ukraińców w Stanach Zjednoczonych następująco: katolicy — 280.000, katolicy z Rusi Podkarpackiej — 300.000, prawosławni z Rusi Podkarpackiej — 102.000, prawosławni — 135.000, protestanci — 50.000, prawosławni należący do rosyjskiego Kościoła — 400.000, rzymsko-katolicy — 50.000 — ogółem 1.317.000.

W spisie ludności z 1970 roku, wobec braku rubryki określającej etniczność, najbardziej miarodajna wydaje się rubryka językowa, zawierająca 27 języków. Odpowiedzi jednak w żadnym wypadku nie oddają pełnego stanu grupy etnicznej. I tak np. język angielski jako macierzysty podało 79,1 % ludności Stanów Zjednoczonych, zaś na pozostałe 26 języków przypadło 20,9 %.

Język ukraiński znajdował się w tej tabeli na 21 miejscu — tylko 249.351 osób podało ukraiński jako język macierzysty. Najliczniejsza grupa — 52.069 — mieszka w stanie New York, druga — 49.398 — w stanie Pennsylvania, a trzecia — 33.117 — w stanie New Jersey.

Rozpiętość między danymi Markusa a oficjalnymi jest ogromna i wynika nie tylko z posługiwania się odmiennymi kryteriami, ale także — szczególnie gdy chodzi o Markusa — z podciągania liczb. Dane kościelne należy obniżyć, a oficjalne podwyższyć — tylko o ile? Jak przeprowadzić te poprawki?

Dla porównania weźmy powszechny spis kanadyjski z 1971 roku, który pozwala na dokładne określenie ilościowe poszczególnych grup etnicznych, ponieważ zawiera trzy rubryki: a) pochodzenie etniczne, b) język macierzysty, c) język używany w domu. Ukraińskie pochodzenie zadeklarowało 580.655 osób; ukraiński język macierzysty — 309.890 osób, tj. 53,4 %; ukraiński jako język używany w domu — 144.755 osób, tj. 24,9 %.

Jeśli posłużymy się kanadyjskimi rubrykami w odniesieniu do oficjalnych danych USA, to należałoby przyjąć, że ilość ludności pochodzenia ukraińskiego wynosi ponad 500.000.

Imigranci ukraińscy, podobnie jak niemal wszyscy inni, rozpoczęli życie zorganizowane od wznoszenia kaplic, później kościołów. Cerkiew, poprzez duchownych, spełniała wielorakie funk-

cje, nie tylko religijne. Księża byli naturalnymi przywódcami pierwszych imigrantów, położyli podwaliny pod organizacje społeczne, samopomocowe itp. *Swoboda*, największe pismo ukraińskie w Stanach Zjednoczonych, zostało założone w 1893 roku przez ks. Hryhory'ego Hruszkę, który był jego pierwszym redaktorem. W rok później założono „Ukraiński Narodnyj Sojuz”, samopomocową organizację ubezpieczeniowo-społeczną. Niemal wszystkie grupy etniczne posiadają podobne instytucje, które stanowią rodzaj zaplecza finansowego. „Ukraiński Narodnyj Sojuz” liczy około 90.000 członków i dysponuje kapitałem w wysokości \$43.000.000. Jego siedziba znajduje się w Jersey City.

Wszystkie „sojuzy” są przede wszystkim samopomocowymi i ubezpieczeniowymi instytucjami gospodarczymi opartymi na składkach i innych wpłatach członkowskich. Powstały one w okresie napływu pierwszych imigrantów, gdy nie istniała jeszcze żadna forma publicznych ubezpieczeń.

Poza wymienionym powyżej „Sojuzem” istnieją jeszcze następujące trzy: „Ukraiński Robitnyczyj Sojuz” — nazwa zmieniona na „Ukraiński Bratśkyj Sojuz” — liczący około 23.000 członków i posiadający \$9.500.000 kapitału. Siedziba instytucji znajduje się w Scranton, stan Pennsylvania. Kolejne miejsce zajmuje „Prowydinnia” (Opatrzność) — instytucja skupiająca wyłącznie ukraińskich katolików. Centrala znajduje się w Filadelfii, siedzibie metropolity ukr. kat. w Stanach Zjednoczonych. Instytucja ta liczy 19.000 członków i posiada kapitał w wysokości około \$9.000.000. Wreszcie „Narodnia Pomicz” z centralą w Pittsburgu skupia 7.500 członków i posiada kapitał w wysokości ponad \$3.500.000. Wszystkie cztery instytucje posiadają własne organy prasowe, z tym że *Swoboda*, organ „Ukr. Nar. Sojuzu”, jest największym, najbardziej rozpowszechnionym dziennikiem w języku ukraińskim. Instytucja ta wydaje również tygodnik w języku angielskim. „Prowydinnia” publikuje dziennik *Ameryka*, „Ukr. Braćkyj Sojuz” wydaje tygodnik *Narodnia Wola*, a „Narodnia Pomicz” tygodnik *Narodnie Slovo*.

Obok tych instytucji istnieją jeszcze inne, czysto finansowe, oszczędnościowo-kredytowe, zrzeszone w CUKA — Centrala Ukraińskich Kooperatyw w Ameryce z siedzibą w Nowym Jorku. Ogólny kapitał tych 350 kas oszczędnościowo-kredytowych wynosi około \$115.000.000. Poważną instytucją finansową są również tzw. banki oszczędnościowe — *savings banks*. Ukraińskie banki oszczędnościowe połączyły się w „ligę” i w wielkich skupiskach ukraińskich dysponują poważnymi kapitałami.

Jak wynika z powyższych danych grupa ukraińska jest finansowo silna i zwarta. Inaczej wygląda to jednak na innych odcinkach. Jeśli idzie o strukturę socjalną, zawodową, stan majątkowy, itp. społeczność ukraińska w USA jest różnorodna. Nie inaczej przedstawia się jej oblicze polityczne, począwszy od stosunku do Stanów Zjednoczonych i stopnia identyfikacji z tym krajem do stanowiska wobec zagadnienia niepodległości Ukrainy.

Społeczność ta posiada 54 organizacje centralne, skupiające oddziały i grupy terenowe: sojuzów, organizacji politycznych, zawodowych, kredytowo-oszczędnościowych, młodzieżowych, kobiecych, sportowych, kulturalnych, naukowych, weterańskich, kościelnych, „narodnych domów”, „obrony Łemkowszczyzny”. Centralne wyłoniły „ponadcentralę” pod nazwą „Ukraiński Kongresowy Komitet w Ameryce”, który spełnia rolę oficjalnego rzecznika społeczności ukraińskiej wobec władz amerykańskich. Publikuje on czasopismo *Ukrainian Quarterly*. Ogółem istnieje 65 oddziałów UKKA na terenie 22 stanów. Na czele tej organizacji stoją egzekutywa i prezydium w składzie 30 osób. Podstawą finansową działalności UKKA jest „Ukraiński Narodnyj Fond”, ale składki są dobrowolne. W ostatnim roku budżet UKKA wynosił \$233.000, co nie pozwoliło na szerszą akcję. Dyrektorami biura UKKA byli wybitni działacze polityczni, powojenni imigranci: Julian Rewaj, premier krótkotrwałego rządu Rusi Podkarpackiej, po jego śmierci Wasyl Mudryj, były wicemarszałek Sejmu R.P., jeden z przywódców UNDO. Obecnie dyrektorem jest Iwan Bazarko. UKKA koordynuje działalność propagandową, oświatową i kulturalną.

Najpoważniejszą ukraińską instytucją naukową jest Instytut Ukrainoznawstwa w Harvard University. Powstał on dzięki ofiarności społeczności, która złożyła na ten cel \$3.000.000. Obok tego instytutu działają następujące placówki naukowe: Oddział Tow. im. Szewczenki, Ukraińska Rada Naukowa, Wolna Ukraińska Akademia Nauk.

Działalność polityczna jest ogromnie zróżnicowana i wbrew pozorom nie obejmuje wielkich rzesz tej społeczności, niemniej jednak jest bardzo intensywna na szczytach. Poważnym osiągnięciem imigracji ukraińskiej było utworzenie w 1967 roku Światowego Kongresu Wolnych Ukraińców, którego trzeci kolejny zjazd miał miejsce w listopadzie 1978 roku. Instytucja ta reprezentuje ogół emigracji ukraińskiej i jest jej szerokim przedstawicielstwem zarówno jeśli chodzi o sprawy wyznania jak i orientację polityczną.

Aktywność polityczną przejawia niemal wyłącznie imigracja powojenna, co jest zresztą zrozumiałe. Na czoło wysuwają się organizacje nacjonalistyczne, wywodzące się z dawnej OUN. OUN(r) (litera „r” znaczy rewolucyjna), której przywódcą był zamordowany w Monachium Stepan Bandera; obecnie na jej czele stoi Jarosław Stečko. Jest to niewątpliwie najsilniejsza, najliczniejsza i najbardziej aktywna organizacja, skupiająca nadto największą ilość młodzieży. Następny odłam — „melnikowcy” — od nazwiska zmarłego przywódcy płk. Andrija Melnyka — zwie się „Orhanizacja Derżawnoho Wirodżennia Ukrainy”. Obecny jej przywódca jest Mykoła Pławuk, przewodniczący sekretariatu Światowego Kongresu Wolnych Ukraińców. Trzeci Odłam to OUN-Z (za kordonem), zwany również *dwiwkari* względnie *uhaweriwci*, zorganizowany przez Lwa Rebeta, podob-

nie jak Bandera zamordowanego w Monachium. Obecnie na czele tej grupy stoi ks. prałat J. Hrynioch, a organem jej jest miesięcznik *Suczastnist'*, wydawany w Monachium.

Największe stronnictwo przedwojenne, UNDO (Ukraińskie Nacjonalno-Demokratyczne Objednannia) rozbite jest na dwa zwalczające się odłamy, z których żaden nie dysponuje prasą. Zasięg ich jest minimalny. Należą one do rzędu zanikających, gdyż brak im dopływu nowych sił. Na czele większego odłamu stoi b. poseł na Sejm R.P., adwokat O. Jaworśkyj z Toronto, na czele drugiego — dr W. Fedoronczak, zamieszkały w Rzymie. W podobnej sytuacji jest „Ukraińskyj Sojuz Socjalistiv”, legitymujący się zresztą zasługami z okresu walk o niezależność. Organizacja ta powstała po wojnie z połączenia ocalałych członków dwóch partii socjalistycznych z terenu Polski oraz członków dwóch partii z obszarów Ukrainy Zadnieprzańskich. Emigranci z wymienionych wyżej terenów utworzyli „Ukraińską Demokratyczno-Rewolucyjną Partię” — URDP, która rozpadła się na dwa zwalczające się odłamy. Na czele jednego stoi prof. Mychajło Woskobijnik, który wydaje w Detroit tygodnik *Ukraiński Wisti* i jest w opozycji wobec Ukraińskiej Rady Narodowej. Przywódcą drugiego odłamu jest prof. Mykoła Stepanko, uznający oficjalne przedstawicielstwo.

Zamierającą organizacją jest „Ukraińskyj Nacjonalnyj Sojuz”, powstały również po ostatniej wojnie i skupiający głównie żołnierzy armii ukraińskiej z obszarów Zadnieprzańskich. Prezesem jest dr Teofil Leontyj. Imigranci z tych terenów należą także do „Sojuza Sobornoji Ukrainy - Selanśkoji Partiji”, której przewodzi Jurij Semenko, oraz do „Sojuza Wyzwołennia Ukrajiny”. Są wreszcie i „hetmańcy”, organizacja ukraińskich monarchistów, wydająca swój organ prasowy *Bat'kiwsczyna*.

Bazą ukraińskiej emigracji politycznej miała być Ukraińska Rada Narodowa z prezydentem i rządem na czele, ale nie udało się próby wypracowania kompromisowej platformy. Tak np. Rady nie uznają „melnikowcy”, jedna z grup UNDO, jedna z grup URDP, organizacje z Ukrainy Zadnieprzańskiej i monarchiści. Większość tych partii to nikłe liczebnie grupy, związane wspomnieniami i przyjaźnią. Ten stan rzeczy nie ma wpływu na działalność najbardziej reprezentatywnego i wpływowego ośrodka jakim jest Światowy Kongres Wolnych Ukraińców, a szczególnie jego Sekretariat.

Polityka rusyfikacyjna władz sowieckich i zaostzona walka z elementami narodowymi z jednej strony, a dążenia do obrony ukraińskiej kultury z drugiej znakomicie mobilizują społeczność ukraińską w krajach osiedlenia. Akcja moskiewska odegrała np. olbrzymią rolę w obudzeniu poczucia narodowego młodzieży ukraińskiej urodzonej względnie wychowanej w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, w prowadzeniu akcji na rzecz zwalniania ukraińskich dysydentów z obozów, zesłań czy więzień.

Akcję konsolidacyjną prowadzi hierarchia Kościoła ukraiń-

ska-katolickiego z Kardynałem Josifem Slipyjem na czele. Na tym odcinku jest również aktywny Metropolita prawosławny Mstysław (Stepan Skrypnyk, b. poseł na Sejm R.P.). Autorytet i popularność Kardynała Slipyja, którego Ukraińcy uważają za patriarchę, są olbrzymie nie tylko wśród katolików. Stosunki między oboma wyznaniem są dobre, jeśli chodzi o zagadnienia ogólnonarodowe. W Stanach Zjednoczonych przeważają Ukraińcy-katolicy. Ten obrządek posiada dwie diecezje: filadelfijską i nowojorsko-stamfordską, z których pierwsza jest metropolią ukraińskiego Kościoła katolickiego.

Jak przebiegać będzie proces konsolidacji nie sposób przewidzieć. Ukraińskie Kościoły dysponują bardzo silnym orężem w postaci języka, ale w miarę postępu procesu integracji kurczy się zasięg języka ukraińskiego. Kościoły muszą do liturgii wprowadzać język angielski. Zanik języka nie zawsze musi oznaczać utratę łączności ze środowiskiem i identyczności ukraińskiej, ale osłabia i rozluźnia więzy a z upływem czasu musi prowadzić do głębokiej rewizji podstaw samookreślenia i działalności wszystkich instytucji powołanych przez społeczność imigracyjną. Bez przypływu nowych imigrantów i bez zasadniczych zmian w układzie politycznym Europy nastąpi powolny proces wchłonięcia ukraińskiej grupy przez otaczające ją społeczeństwo amerykańskie. Podobnie stało się już z innymi grupami etnicznymi.

Przejęcie idei niepodległościowej przez Światowy Kongres Wolnych Ukraińców niejako automatycznie pociąga za sobą etapowe i systematyczne zastępowanie emigrantów przez obywateli różnych państw, ale świadomych swego ukraińskiego pochodzenia, co niewątpliwie znajdzie wyraz w odmiennych metodach działania i realizowania ideałów narodowych.

Benedykt HEYDENKORN

Kronika niemiecka

Herbert Wehner, przewodniczący frakcji SPD w Bundestagu, oświadczył ponownie, że sowieckie plany zbrojeniowe i militarne mają charakter defensywny, a akcja w Afganistanie miała charakter prewencyjny. ■ Conrad Drzewiecki zrealizował w Berlinie Zachodnim swoją autorską wersję choreograficzną *Epitafium dla Don Juana*. ■ Zjednoczenie Polaków w Berlinie Zachodnim złożyło kolejny dar na Centrum Zdrowia Dziecka w wysokości 3 tys. marek; na ten sam cel 9.600 marek przekazał Hans-Jürgens Lorenzen, nauczyciel i pedagog ze Szlezewiku-Holsztynu; Związek Kościołów Ewangelickich w NRD od 1977 roku przekazuje na CZD dary rzeczowe. Dotychczasowa ich wartość wyniosła 850 tys. marek NRD. ■ Nakładem

Insel-Verlag ukazała się we Frankfurcie nad Menem książka Stanisława Lema *Die phantastischen Erzählungen* (Opowieści fantastyczne). ■ W *Kohlhammer-Verlag* w Stuttgarcie wydano *Slawische Religion* Aleksandra Gieysztor. ■ *Herder-Verlag* we Fryburgu Bryzgowijskim wydał zbiór poezji Karola Wojtyły (*Der Gedanke ist eine seltsame Weite*) w przekładzie niemieckim Karla Dedeciusa. Zbiór ten wyszedł równoległe z antologią tekstów filozoficznych b. profesora KUL-u i arcybiskupa Krakowa pt. *Von der Königswürde des Menschen* (Królewska godność człowieka). Wybór tekstów ukazał się pod redakcją Juliusza Stroynowskiego w *Seewald-Verlag* w Stuttgarcie. ■ Jakub Forst-Battaglia i Mirosław Stankiewicz są autorami obszernego przewodnika *Polen* (*Walter-Verlag*, str. 450, liczne plany miast). ■ *Instytut Badania Opinii Publicznej* w Allensbach obliczył, że 2 % obywateli RFN włada językiem polskim. ■ *Polskie Koleje Państwowe* zamówiły w Dortmundzkiej *Hoesch Maschinenfabrik* automatyczne zwrotnice kolejowe za sumę 6,7 mln. marek. ■ Nowym korespondentem *Polskiej Agencji Interpress* w Bonn został Bogusław Czerwiński. ■ W 1979 roku przetłumaczono i wydano w RFN 26 książek polskich autorów, w tej liczbie 5 tytułów pisarzy emigracyjnych (Czesław Miłosz, Sergiusz Piasecki, Janusz Piekalkiewicz i Krystyna Żywulska). ■ W miesięczniku *Osteuropa* ukazał się obszerny artykuł Karla Hartmanna *Polen nach dem Papsbesuch* (Polska po wizycie papieża); artykuł uzupełnia przegląd głosów prasy PRL na poruszony temat. ■ W Monachium zmarł ks. prałat Paweł Kajka, lat 72. Był przez wiele lat proboszczem kościoła polskiego w Monachium. W czasie wojny był więziony w obozie koncentracyjnym w Dachau. ■ Dr Karol Ślawiak przedłożył na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego pracę habilitacyjną na temat znaków pieniężnych w Polsce w latach 1973-1977. Okazuje się, że poza falsyfikatami banknotów dolarowych najczęściej usiłowano podrabiać zachodnioniemieckie marki. ■ *Wielka Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia i Telewizji* koncertowała w Hamburgu, Frankfurcie, Düsseldorfie i Essen — pod dyrekcją Stanisława Wiślickiego (solisci: Piotr Paleczny i Konstanty Kulka). ■ Spośród 1 mln. 18 tys. turystów z krajów zachodnich, którzy odwiedzili w minionym roku Polskę, trzecią część stanowili obywatele RFN; z przyczyn biologicznych coraz mniejszy procent stanowią turyści „nostalgiczni”. ■ Nakładem *Państwowego Wydawnictwa Ekonomicznego* ukazała się praca Mieczysława Tomali *Gospodarka RFN wczoraj, dziś i jutro*. ■ W Związku Sowieckim podjęto przy współpracy jednej z firm zachodnioniemieckich produkcję gumy do żucia. ■ *Politechnika* w Clausthal Zellerfeld (Harz) oraz *Akademia Górniczo-Hutnicza* w Krakowie podpisały porozumienie w sprawie współpracy naukowej i kulturalnej. Ponad czterdziestu pracowników naukowych obu uczelni zgłosiło chęć uczestniczenia w wymianie stypendialnej. ■ Na scenie hamburskiego *Schauspielhaus* odbyła się premiera sztuki Mikołaja Gogola *Revizor* w reżyserii Kazimierza Dejmka i scenografii Krzysztofa Pankiewicza. ■ Dyrygent polski Kazimierz Kord objął kierownictwo *Orkiestry Symfonicznej Rozgłośni Südwestfunk*. ■ W salach *Villa Streccius* w Landau otwarto wielką wystawę współczesnego malarstwa i grafiki polskiej. Wystawiono prace trzynastu malarzy i dziewięciu grafików, wśród nich Jolanty Ciesielskiej, Barbary Rosiak, Henryka Płociennika, Antoniego Starczewskiego, Jerzego Kudukisa, Jerzego Mroza, Zenona Liberskiego, Wiesława Garbolińskiego, Grzegorza Sztabińskiego i Ryszarda Hungera. ■ Andrzej Wajda zamierza wystawić na scenie zachodniobrzeńskiego teatru *Schaubühne* dramat Georga Büchnera *Śmierć Dantona*. ■ *Neue Deutsche Schule*, organ Związku Zawodowego Pracowników Szkolnictwa i Nauki, opublikował apel *Towarzystwa Kursów Naukowych* o materialne wspieranie funduszu *Kasy Pomocy Naukowej*. ■ NRD zajmuje pierwsze miejsce w sowieckim eksporcie ropy naftowej — 18,5 mln. ton w 1979 roku. NRD importuje ze Związku So-

wieckiego także 6,5 mld. metrów sześciennych gazu ziemnego (Polska 5,3 mld. m³), 4,2 mln. ton węgla, 85 tys. ton bawełny (Polska 105 tys. ton). ■ W Berlinie Wschodnim wydano nakładem *Evangelische Verlagsanstalt* powieść Andrzeja Szczypiorskiego *Msza za miasto Arras*. Dotknięty represjami autor nie może się doczekać wznowienia swojej książki w PRL... ■ 390 najlepszych polskich plakatów wystawiono w Wyższej Szkole Sztuk Pięknych w Berlinie Zachodnim. Katalog ze wstępem, poświęcony polskiemu plakatowi od 1890 roku do chwili obecnej, przygotowali: L. Thürmer, prof. Krysthan, Anna Rutkiewicz, dr Białostocki i W. Makowiecki. ■ Jak się dowiadujemy z prasy zachodnioniemieckiej, Heinrich Böll od siedmiu już lat nie jest publikowany w Sowietach. Laureat literackiej *Nagrody Nobla* dopiero teraz przyznał, że żadna z jego licznych książek wydanych przed laty w Związku Sowieckim nie była zgodna z tekstem oryginału; z powieści *Fotografia zbiorowa z damą* cenzura wykreśliła ponad 500 wierszy. A oto niektóre „retusze”: zdanie z oryginału niemieckiego: „Najprostszą metodą pozbycia się pewnych ludzi jest rozstrzelanie ich”. To samo zdanie w sowieckim wydaniu: „Najprostszą metodą pozbycia się pewnych ludzi w Niemczech było — rozstrzelanie ich”. Inne zdanie: „Kto był w obozie, ten może ocenić co znaczy natknąć się na parę oczu, w które spojrzeć można głęboko i swobodnie”. W sowieckim przekładzie: „Tylko człowiek, który poznał faszyzm, może zrozumieć, co znaczy spotkać towarzysza, któremu można spojrzeć w oczy”. Jeszcze o pruderii erotycznej sowieckiej cenzury. Böll: „Leżeliśmy, tarzaliśmy się na sobie”. Wydanie sowieckie: „Związało nas cierpienie”. ■ Zachodnioniemieckie środki masowego przekazu szeroko poinformowały o aresztowaniu Mirosława Chojckiego pod fałszywym zarzutem kradzieży powielacza a przy tej okazji o działalności *NOW*-ej i ruchu opozycyjnego w naszym kraju. *Frankfurter Rundschau* opublikowała list Adama Michnika i obszerną odpowiedź Güntera Grassa (*NOW*-a wydała jego *Blaszany bębenek*), w której wybitny pisarz protestuje przeciwko prześladowaniu działaczy opozycyjnych i jednocześnie radzi przywódcom politycznym w PRL, żeby raczej „skoncentrowali swoje wysiłki na poprawie stanu gospodarki narodowej” i przestali się wreszcie zajmować sprawami literatury i kultury w ogóle — z racji braku odpowiednich kwalifikacji. Dalsze artykuły w obronie Chojckiego ukazały się we *Frankfurter Allgemeine*, *Kölner Stadt-Anzeiger*, *Stuttgarter Zeitung*, *Die Welt* itd. Specjalne audycje nadały rozgłosnie *Deutsche Welle* (w siedmiu językach), *Deutschlandfunk* (program polski) i *Westdeutscher Rundfunk*. Ponad 30 zachodnioniemieckich intelektualistów (głównie lewica) wystąpiło z oświadczeniem protestacyjnym, w którym domagano się natychmiastowego zwolnienia Chojckiego i „zaprzestania represji, przypominających metody stosowane w Sowietach”. Protest podpisali m.in.: dr Rudolf Bahro, politolog, autor głośnej książki *Die Alternative*; prof. Joseph Beuys, plastyk; prof. Wolfgang Eichwede, politolog; prof. Ossip Flechtheim, politolog; prof. P. von Oertzen, członek prezydium SPD; Wolf Biermann, poeta i pieśniarz. ■ W Kolonii zawiązał się *Niemiecko-Polski Komitet Solidarności z Opozycją w Polsce*; zamierza informować *mass-media* i koordynować akcje na rzecz obrony prześladowanych oraz wspomagać materialnie ugrupowania demokratyczne w PRL. ■ Kwietniowy zeszyt *Archiv der Gegenwart* zamieścił encyklopedyczny przegląd działalności ruchu dysydenckiego w Polsce. ■ Przez dziesięć dni otwarta była w Düsseldorfie wielka wystawa *Polen '80*; pokazano śruby, gwoździe, piły, samoloty, szybowce, łopaty, przestarzałe komputery, maszyny rolnicze (produkowane na licencji amerykańskiej), radioodbiorniki (produkowane na licencji *Grundiga*), łożdzie (największym obiektem na wystawie był jacht pełnomorski o nazwie *Carter 30*), miłe wycinanki łowicze, meble z wikliny, garnki z kamionki, kryształ, zamki do drzwi marki *Yeti* (żeby nie mylić z *Yale*), parojęzyczne

albumy sławiące Jana Pawła II-go, których nie można kupić w Polsce, następnie — bardzo ładne kreacje *Domu Mody Polskiej*, obrzydliwe kopie szabel, mizerykordii, zbroi rycerskich itd. Stoisko sprzedające wódkę wyborową i piwo było stale obleżone przez tłumy naszych rodaków z Nadrenii-Westfalii (punkt zborny?); żałosne widowisko, chwila wydało się, że cała zachodnioniemiecka Polonia różnych odcieni próbowała wspólnymi siłami pomóc Polskiemu Monopolowi Spirytusowemu. Niemców po prostu odpychano na bok. Na szczęście całe to towarzystwo nie zjawiało się na wspaniałej wystawie *Hommage à Witkiewicz* (katalog Romana Cieślewicza z Paryża) ani w galerii sztuki nowoczesnej (ekspozycję urządziła i katalog opracowała Hanna Kotkowska-Bareja), którą otwarto w fachowo odrestaurowanej przez polskich konserwatorów XVII-wiecznej kamieniczce, podarowanej przez miasto Düsseldorf polsko-niemieckiej spółce handlowej *Depolma*. Odbył się festiwal filmu polskiego (m.in. *Bez znieczulenia*, *Dyrygent*, *Panny z Wilka* — Andrzeja Wajdy i *Amator* Krzysztofa Kiesłowskiego; *Człowieka z marmuru* nie pokazano!). *Dni Polskie* w Düsseldorfie zakończyła prelekcja wielokrotnego „laureata” *Czarnych list Kultury* Michała Misiornego na temat *Rozwoju kulturalnego PRL...* Misiorny przyjechał do RFN, mimo że w opozycyjnym *Biuletynie Informacyjnym* (nr 1/79) pisano, że „odpowiednie władze nie powinny więcej narażać Michała Misiornego na podobne męki”.

W dniu 4 maja odbyła się w Monachium uroczysta akademii, poświęcona uczczeniu pamięci ofiar Katynia. Obok licznie zgromadzonych Polaków w akademii wzięli udział goście niemieccy, czeszy, słowaccy i estońscy. Reportaż z tej uroczystości nadała telewizja bawarska. Odczytany został list bawarskiego premiera Franza Josefa Straussa do przewodniczącego Polskiej Rady Narodowej w RFN, dr. Frendla, w którym pisał m.in.: „Obchodzicie dziś 40-lecie zbrodni katyńskiej. Korzystam z tej okazji, by zapewnić Pana o mej szczerzej sympatii dla losu Pańskiego ciężko doświadczonego narodu. Równocześnie wyrażam Panu i wszystkim Pańskim przyjaciołom moje uznanie za Waszą działalność na niemieckiej ziemi, jaką rozwijacie w imię pojednania naszych narodów. Waszej pracy życzę na przyszłość jak najlepszych wyników”. Jest to pierwsze po wojnie tego rodzaju oświadczenie pod adresem polskiej emigracji niepodległościowej ze strony Straussa. Ponadto pozdrowienia dla uczestników akademii wraz z wyrazami hołdu dla ofiar Katynia przekazał poseł do *Bundestagu* — hr. Stauffenberg, syn płk. Clausa hr. Stauffenberga, organizatora zamachu na Hitlera.

Andrzej J. CHILECKI

Kraj

Polskie kwadratury koła

W publicystyce krajowej i emigracyjnej, a także w niezliczonych rozmowach i dyskusjach politycznych prowadzonych w Polsce powracają często motywy dwu sprzeczności, które w wielu sformułowaniach wydają się tak nierozwiązalne, jak problem kwadratury koła. Są to: sprzeczność między polskimi aspiracjami do niezależności a faktem sąsiedztwa i potęgi ZSSR (czy Rosji) oraz sprzeczność między wysuwaniem postulatów niepodległości i demokracji a potrzebą konkretnych praktycznych działań bieżących. Przyjrzymy się tym sprzecznościom, analizując je w nawiązaniu do szczególnie ważnych i charakterystycznych wypowiedzi publicystów.

I

Stefan Kisielewski (i nie tylko on, ale on najśmielej) twierdzi, że ponieważ pozostaniemy jeszcze długo, a przynajmniej w dającej się przewidzieć przyszłości, w sferze przemożnych wpływów ZSSR, należy zrezygnować z nierealnego żądania niepodległości i postarać się, ponad głowami rządu PRL, „dogadać” się z Rosjanami. Celem tego „dogadywania się” ma być zachowanie polskiej tożsamości narodowej, zagrożonej przez postępującą pod nieudolnymi rządami komunistycznymi sowietyzację. W rozmowach, które powinna inicjować opozycja, należy wysunąć ofertę stworzenia autentycznego przedstawicielstwa narodu polskiego; we własnym interesie, za cenę uwolnienia się od ideologicznych serwitutów, Polska pozostanie jako sojusznik w Pakcie Warszawskim.

Koncepcja powyższa oparta jest na jawnie przyjętym założeniu, że podział Europy nie zmieni się przez długie lata (S. Kisie-

lewski, „O podwójnym myśleniu i działaniu”, *Kultura*, 1980, nr 3, str. 104). Przyjmowanie takiego założenia określane jest zwykle jako wyraz „trzeźwości” lub „realizmu”: bez mrzonek, proszę Państwa, taka jest rzeczywistość! Jednakże właśnie w zasadniczo stabilnym ujmowaniu rzeczywistości kryje się największa słabość tzw. realizmu politycznego. To prawda, zasadniczy podział na strefy wpływów nie uległ w Europie zmianie od 35 lat — jednakże zmiany wewnątrz stref są olbrzymie. W ciągu tych 35 lat nastąpiła likwidacja wszystkich nie-komunistycznych rządów autorytarnych w Europie oraz okrzepnięcie demokracji parlamentarnej w RFN. Spowodowało to przekształcenie linii podziału wpływy USA — wpływy ZSSR na linię parlamentarna demokracja zachodnia — sowiecki totalizm. Drugim procesem było złagodzenie napięć i wzrost kontaktów między obu „obozami”; trzecim — zróżnicowanie wewnątrz bloku komunistycznego. I chociaż te procesy rozwojowe nie naruszyły zasadniczego podziału, to jednak wskazują one, że i na stosunkowo stabilnym terenie Europy rzeczywistość polityczno-ekonomiczna jest płynna i bardzo ruchoma. Trzeba też pamiętać, że tak anachroniczne państwo imperialne jak ZSSR jest w naszych czasach wyjątkiem; wyjątkiem jest również długotrwałość podziału Europy.

Wystarczy zresztą przejrzeć kalendarz międzynarodowych wydarzeń politycznych w ciągu ubiegłych trzech lat aby stwierdzić, że regułą jest dynamizm, nie trwałość ani nawet ciągłość. Zakładany przed paru laty przez najuczciwsze prognozy układ sił na Środkowym i Dalekim Wschodzie uległ radykalnej zmianie. Dlatego też założenie Kisielewskiego zdaje się nie tylko arbitralne, ale i nierozsądne.

Milcząco zawarte jest w rozpatrywanej koncepcji założenie drugie: że Rosjanie woleliby mieć w Warszawie dobrowolnie sprzymierzony rząd, cieszący się autentycznym poparciem społeczeństwa. Założenie to nie jest hipotezą przyszłościową, ale stwierdzeniem określonej postawy Moskwy; tym łatwiej wykazać jego błędność. Zupełnie takie samo założenie przyjmował w 1945 roku Mikołajczyk, który miał za sobą przeważną część społeczeństwa oraz wielką partię polityczną. Ale Rosjanie nie kwapili się do dialogu, chociaż historyczna szansa pojednania była wówczas, bezpośrednio po wojnie, lepsza niż kiedykolwiek później. Ogólna przyczyna jest dosyć prosta: Kreml chce mieć u swoich satelitów rządy nie reprezentacyjne, ale dyspozycyjne. Tak samo podchodzi do władz republik ZSSR, a jeżeli nie zależy mu na autentycznym przedstawicielstwie Gruzinów, Białorusinów czy Turkmenów — dlaczegożby miało mu zależeć na nim w przypadku Polaków, do których ma znacznie mniej zaufania i których położenie jest strategicznie ważniejsze? Nastawienie to jest zgodne

z całościowym widzeniem świata przez sowieckich komunistów: nie wierzą oni w spontaniczność jakichkolwiek zbiorowych zjawisk politycznych; za każdym z nich *musi*, ich zdaniem, kryć się jakaś dysponująca siła.

Rząd cieszący się zaufaniem obywateli i poczuwający się do solidarności z nimi a nie z gwarantami w Moskwie jest dla Krem-la możliwością niebezpieczną, ponieważ kierować się będzie interesem polskim, nie sowieckim. Kisielewski proponuje więc ZSSR coś, czego ten oczywiście nie chce.

Polakom zaś proponuje wyrzeczenie się postulatu niepodległości, albo „absolutnej niepodległości”. Cóż to takiego owa „absolutna niepodległość”? Kisielewski wyśmiewa ten ideał, używając niestety argumentów w stylu, *excusez le nom*, Wiesława Górnickiego. Nazywa wysuwanie hasła „pełnej niepodległości” czy „suwerenności” absurdem, i rezonuje: „niezależne wojsko i niezależna polityka zagraniczna? — mój Boże, toć niejedno zachodnioeuropejskie wolne państwo broni się dziś przed tym jak przed zarazą” (tamże). Argumentacja jest kazuistyczna, bo pod słowem „niepodległość” publicysta rozumie „prowadzenie polityki w pojedynkę” — a to coś zupełnie innego, czego dziś żadne prawie państwo na świecie (poza Albanią) nie robi. Niepodległe są przecież Austria, Grecja czy Norwegia — mniejsze od Polski, na pograniczu stref wpływów położone. Niepodległe nie tylko w tym sensie, że nikt im nie narzuca określonej ideologii, ale przede wszystkim w tym, że mogą sobie swobodnie (Austria w ramach neutralności) dobierać zagraniczne zobowiązania i partnerów. O nic więcej orędownikom niepodległości Polski nie chodzi. Niepodległość bowiem, to *możność* decydowania o własnym losie, a nie takie o nim decydowanie, które odrzuca wszelkie powiązania i zależności.

Rezygnowanie z postulatu niepodległości, rezygnowanie z postawy niepodległościowej z wymuszonym stanem rzeczy, z postawy wrogości wobec czynników zewnętrznych, narzucających nam siłą ustrój, ideologię i sojusze — jest rezygnowaniem z podstawowego kapitału przetargowego i jedynej podstawy do nadziei na przyszłość, jaką naród polski posiada.

Warto jeszcze zastanowić się nad implikacjami słów, streszczających proponowaną przez Kisielewskiego ofertę wobec ZSSR: „Pozwólcie nam zmienić ustrój i rządzić się po swojemu, a i tak zostaniemy z wami!” (tamże, str. 105). Znaczy to ni mniej ni więcej, że w wypadku konfliktu zbrojnego (którego prawdopodobieństwo rośnie na skutek awanturniczej polityki zagranicznej ZSSR) wojsko polskie gotowe będzie walczyć przeciwko Amerykanom, Anglikom, Norwegom, Włochom lub Chińczykom.

Jednym z najczęściej używanych argumentów, mających uzasadnić konieczność ugody z ZSSR, jest twierdzenie, że „Zachód”, a więc przede wszystkim USA, traktuje nas jako „organiczny składnik siły rosyjskiej” i nie kwestionuje dominacji ZSSR nad Polską. Kisielewski też ten argument powtarza, w postaci prostej i dobitnej. Ujawnia tu jednak smutny brak poinformowania. To prawda, że Stany Zjednoczone i kraje Zachodu nie kwestionują frontalnie podziału na strefy wpływów; nie wolno jednak nie zauważać, że coraz staranniej różnicują politykę wobec ZSSR i wobec poszczególnych państw bloku. USA uczyniły bardzo wiele (łącznie z listem Cartera do Gierka, o którym Kisielewski powinien był w Warszawie słyszeć), aby po wybuchu kryzysu afgańskiego dać rządowi PRL do zrozumienia, że będą traktować Polskę inaczej niż Związek Sowiecki. Nie dotyczą Polski ani ograniczenia handlowe, ani finansowe. I wypada też wiedzieć, bo rzecz była wielokrotnie omawiana w prasie fachowej, że planiści wojskowi NATO wyraźnie odróżniają potencjalne zaangażowanie bojowe armii ZSSR i armii polskiej. Mówienie że Zachód traktuje nas jako integralny składnik imperium sowieckiego jest więc poważnym uproszczeniem.

Wypowiedzi Kisielewskiego można, za Gustawem Herlingiem-Grudzińskim, rozumieć jako wezwanie do zastanowienia, czy ZSSR musi być państwem ideologicznym, narzucającym określony ustroj i model gospodarki — czy też może stać się „normalnym” mocarstwem imperialnym. (Kisielewski, trzeba przyznać, dosyć takie rozumienie utrudnia, chociażby przez zamienne używanie określeń „ZSSR” i „Rosja”). Zgoda, bardzo to ważne. Ale wówczas zastanowić się trzeba nie nad sensownością proponowania Sowietom przyjaźni w zamian za uwolnienie się od komunizmu, ale przede wszystkim nad tym, czy tendencje narodowe, dominujące w podskórnych fermentach sowieckiej Rosji, przyjmą ostatecznie kształt ekspansjonistycznego nacjonalizmu czy też pokojowego patriotyzmu rosyjskiego. A także nad tym, że chociaż Rosjanie są największym narodem Europy wschodniej, to nie są naszymi bezpośrednimi sąsiadami. I nad tym, że przemoc „nieideologiczna” może być równie dotkliwa jak przemoc podbudowana ideologią. I jeszcze nad tym, że domagając się prawa do zachowania tożsamości narodowej dla siebie nie możemy ignorować takich samych postulatów, wysuwanych przez Ukraińców, Łotyszów czy Gruzinów.

Nie można też odkładać na później pytań, związanych z możliwością zmian zasadniczych. Nie wolno, za Kisielalem, uważać że „do cudów przystosujemy się, gdy przyjdą”. Właśnie okres pierwszej wojny światowej i odzyskiwania niepodległości, z któ-

rego Kisielewski czerpie przykłady na poparcie swojego stanowiska, świadczy przeciwko niemu: większość polityków polskich, od Daszyńskiego do „realisty” Dmowskiego, przystosowywała się do „cudów” z kosztownym w skutkach opóźnieniem (bo cudy to nie tylko okazja, ale i wymogi), podczas gdy „fantasta” Piłsudski na wszelki wypadek montował od początku samodzielną polską siłę, POW. I właśnie historia uczy nas, że zgłaszanie się do Rosjan z ofertami porozumienia czy współpracy w sytuacjach, kiedy są przekonani, że mają wszystko, czego chcą, do niczego dobrego nie prowadzi: dość przypomnieć nazwiska Imereyńskiego i Wittego.

„Realista” Kisielewski, z przesadnym sceptycyzmem oceniający wpływy „opozycji” w Polsce (*nota bene* sceptycyzm ten wynika z bardzo wąskiego rozumienia tego mylącego zresztą terminu, ale o tym poniżej), powinienby raczej postulować wywieranie presji na rząd PRL, aby we własnym interesie domagał się od ZSSR zgody na rozszerzenie swobód wewnętrznych (większych przecież u nas znacznie, niż cztery lata temu, albo obecnie w krajach ościennych). Przeceniamy „opozycję”, pisze. Nie docenia Pan roli posiadania odrębnego aparatu państwowego, odpowiadam. To ten aparat jest jedynym uznanym przez ZSSR partnerem do rozmów, i ten aparat jest jedynym możliwym przedmiotem naszego bezpośredniego nacisku.

Nacisk taki, słyszymy często ostrzeżenia, grozi interwencją Moskwy. Nic w tym dziwnego, kiedy ostrzeżenia wypowiedane są przez funkcjonariuszy lub popleczników rządzącej partii; zaskakiwać musi powtarzanie ich przez amerykańskiego politologa polskiego pochodzenia, jakim jest prof. Andrzej Korboński (patrz *Kultura*, 1980, nr 3, str. 84-101). Nie zamierzam przypisywać Korbońskiemu jakichś ukrytych a brzydkich motywów; gotów jestem założyć, że powoduje nim głównie chęć uchronienia krajów Europy wschodniej przed rozczarowaniem i stratami. Trzeba jednak powiedzieć wyraźnie, że cała argumentacja Korbońskiego jest w istocie wymierzona nie tyle przeciwko popieraniu przez Zachód ruchów liberalizacyjnych, ale przeciwko samemu rozwijaniu tych procesów w krajach bloku moskiewskiego. Dlatego też zapewne, jak sam autor lojalnie stwierdza, nikt z jego polskich krajowych rozmówców nie zgadzał się z jego tezami.

O groźbie sowieckiej interwencji pamiętamy dobrze. Wiemy jednak również, że bez nacisków nie osiągniemy *niczego*, bo ani rządząca partia ani Sowietci nie będą mieli powodu ustępować, jeżeli nie będą do tego zmuszani. Rzecz jasna, że łączy się to z ryzykiem, ale niestety poza murami bibliotek naukowych trudno jest uprawiać politykę bez ryzyka. Korboński zdaje się też traktować interwencję sowiecką jako zabieg, który przynosi szko-

dy tylko ofiarom napaści, tj. sądzi, że Sowietom mogą wkroczyć do Polski bez kosztów własnych. W rzeczywistości koszty polityczne i inne byłyby znacznie wyższe, niż w przypadku Węgier 1956 i Czechosłowacji 1968, być może wyższe nawet niż w przypadku Afganistanu 1979. Moskwa wie o tym dobrze i łatwo się na interwencję nie zdecyduje. Margines manewru pozostaje spory.

Ponadto, mówiąc już konkretnie o stanowisku Zachodu wobec procesów „liberalizacyjnych”, politycy i politolodzy amerykańscy powinni sobie nareszcie uświadomić, że brak poparcia dla tych procesów byłby (i bywa) rozumiany jako zdrada głoszonych przez Zachód ideałów (nie mam tu na myśli tylko kwestii tzw. „praw człowieka”, ale cały program swobód demokratycznych). Skutkiem odmowy takiego poparcia będzie więc nie utrwalenie *status quo*, ale postępująca apatia i cynizm, utwierdzenie się beznadziejnej i biernej zgody na sowiecką dominację. Nie jest to zgodne z interesami ani Polaków, ani Amerykanów.

Stanowisko Korbońskiego należy natomiast uznać za całkiem słuszne, jeżeli się założy, że z konfliktu — zbrojnego lub tylko politycznego — między ZSSR a NATO (i ewentualnie Chinami) Związek Sowiecki wyjdzie zwycięsko. Nie jest to wykluczone, a z pewnością tak właśnie widzą przyszłość przywódcy na Kremlu i na oferty w rodzaju rozważanych przez Kisielewskiego patrzą z rozbawieniem. Przy założeniu ostatecznego zwycięstwa Moskwy dla patriotów polskich wybór jest ograniczony: albo do końca i bez względu na konsekwencje bronić zasad wolnościowych i godności narodowej, albo dążyć do ocalenia polskości w ramach ugody, której warunki były, są i będą dyktowane przez Rosję, tak jak w roku 1832 lub 1865. Nie powinniśmy odmawiać szacunku tym, którzy przyjmując owo katastroficzne założenie chcą pozostać Polakami. Ale nie powinniśmy z nimi współpracować, bo polityczne hipotezy przyszłościowe mają to do siebie, że ci, którzy w nie wierzą, przyczyniają się do ich spełnienia. Wydaje się, że tylko nieliczni Polacy skłonni są hipotezę sowieckiego zwycięstwa przyjmować, choćby podświadomie.

Po zastanowieniu okazuje się, że sprzeczność między naszymi dążeniami niepodległościowymi a rosyjską dominacją nie jest logicznie nierozwiązalną sprzecznością, jak problem kwadratury koła: jest realną i wielką trudnością historyczno-polityczną, która musi ulegać przeobrażeniom i którą rozwój wydarzeń może złaгодzić albo całkowicie usunąć.

Możemy się do tego przyczyniać, stosując trzy zasady:

1. Widzieć przyszłość Polski i Europy w kategoriach dynamicznych; myśleć o prawdopodobnych zmianach brać pod uwagę

przekształcenie się ZSSR w narodowe państwo rosyjskie i w tej perspektywie rozważać nasze przyszłe stosunki zarówno z Rosjanami, jak z naszymi bezpośrednimi sąsiadami. Wyciągać praktyczne wnioski z tych przemysłów.

2. Nie rezygnować z niczego, zarówno w sensie fizycznym jak i politycznym (a więc także i z przyszłej suwerenności), ale wszelkimi siłami starać się podnieść naszą własną wartość: potencjał ekonomiczny, dojrzałość polityczną, poczucie narodowej odrębności, gotowość do poświęceń.

3. Naszym przymusowym hegemonom niczego nie obiecywać ani nie oferować. Nie wykluczając możliwości, że przyszła niepodległa Polska będzie sprzymierzona z Rosją, nie powinniśmy takiej propozycji wysuwać, bo to stawia nas w pozycji proszałnej, nawet żebrackiej. Jakiegokolwiek propozycje muszą przyjść z drugiej strony.

II

Omówiona wyżej sprzeczność polega na tym, że musimy zdecydować: albo zamknijemy oczy na istnienie Rosji, albo pożegnamy się z marzeniami o niepodległości. Starałem się wykazać, że jest to dylemat fałszywy. Druga, moim zdaniem również pozorna, sprzeczność dotyczy działań wolnościowych w Polsce. Można ją ująć w formie alternatywy: albo wbić się wzrok w odległe ideały i dążyć wprost do niepodległości i demokracji — albo naprawia się to, co jest dziś. Alternatywa wyraża się najczęściej w pojęciach. Zwolennicy odległych ideałów określani bywają jako romantycy, fanteści, niepraktyczni deklamatorzy, wewnętrzni emigranci, ludzie nieodpowiedzialni, nawołujący do awantur a nawet powstania (!); tych drugich w zamian określa się jako naprawiaczy systemu, kunktatorów, kapitulantów, oportunistów, a nawet kryptoreżymowców i zamaskowanych komunistów (!).

W istocie sprzeczność jest pozorna i przypomina głośny tytuł Boya: czy myć ręce czy uszy? Rozpatrywanie kwestii działania politycznego w tych właśnie kategoriach jest jednak w naszym nieoficjalnym życiu publicznym zbyt rozpowszechnione, aby można było tę rzekomą alternatywę zbzyć wzruszeniem ramion. Odezwała się niedawno w zganieniu przez redakcję *Biuletynu Informacyjnego* tych działaczy „opozycji demokratycznej”, którym „frazesy o demokracji, niepodległości czy sprawiedliwości społecznej” przesłaniają „konkretny wymiar potrzeb i niedoli polskiego społeczeństwa” (*Biuletyn Informacyjny* nr 8/34, 1979). Na ten karcący artykuł odpowiedział rozsądnie Ludwik Dorn (*Biuletyn Informacyjny* nr 1/35, 1980), a redakcja rozsądnie

zrezygnowała z dalszych sporów; wiadomo jednak, że sam problem nie zniknął.

Dorn pisze: „Autorzy konstruują... antynomię między demokracją i niepodległością, jako hasłami szczytnymi wprawdzie, ale nierealnymi, a ponadto podatnymi na degenerację we frazes, a codziennymi potrzebami społeczeństwa. ... Sądzę, że brak demokracji i niepodległości można zaliczyć do „codziennego wymiaru niedoli” polskiego społeczeństwa (...), a z innymi niedolami wiąże się przyczynowo”. Słuszne to słowa, ale przedstawiające tylko jeden aspekt sprawy.

Polemika w *Biuletynie Informacyjnym* jest tylko jednym z licznych świadectw, jak rzadko uświadamiamy sobie, że dążenie do niepodległości i demokracji oraz starania o praktyczną poprawę dzisiejszego stanu rzeczy są w istocie współzależne i właściwie dopiero we wzajemnym powiązaniu nabierają pełnego sensu. Po pierwsze bowiem niepodległość i demokrację (zwłaszcza!) trzeba przygotowywać zawczasu w codziennych zabiegach, wśród nieuchronnych kompromisów i ustępstw, ucząc się w praktyce swobody myślenia nawet kiedy nasza możliwość wyboru jest ograniczana przez przemoc, kształcąc szacunek dla odmiennych poglądów a przede wszystkim wpajając poczucie odpowiedzialności za współobywateli i całe państwo (choćby jego struktura polityczna była nam nienawistna). Z drugiej strony konkretne działania praktyczne: starania o poprawę warunków pracy i jej efektywności, o polepszenie stanu zdrowotnego, o podniesienie poziomu wychowania i oświaty, o ochronę środowiska naturalnego, a także najróżniejsze inne próby wpływania opinii publicznej na postępowanie władz — to wszystko przekształca się z oderwanych i doraźnych poczynań w spójny zespół działań społecznych wówczas, kiedy się milcząco podporządkuje te akcje celom i wartościom ogólniejszym niż bezpośrednio uzyskiwane rezultaty.

Co jeszcze ważniejsze, owe praktyczne przedsięwzięcia, jak walka z alkoholizmem, obrona praw wierzących, starania o lepsze traktowanie indywidualnych rolników i rzemieślników, o uwolnienie nauki od presji ideologicznych — dadzą się całkowicie zrealizować *tylko* w warunkach zagwarantowanej swobody politycznej. Dopóki społeczeństwo nie uzyska trwałej kontroli nad organami wykonawczymi władzy, dopóty każdy uzyskany przez nie sukces będzie miał charakter doraźny i tymczasowy. Jednakże suma nawet drobnych i chwilowych zdobyczy może zmienić klimat polityczny i stworzyć nową jakościowo sytuację. Czynnikiem najważniejszym nie są tu szyldy i hasła, ale fakt podejmowania akcji spontanicznie, z inicjatywy społeczeństwa, a nie pod dyktando władzy. Dlatego też owe „naprawiaczkie”, ograniczone działania, nie atakujące wprost ani partii ani podstaw reżymu,

przez samą swoją genezę i wewnętrzną logikę są działaniami wolnościowymi, przygotowują i uprawdopodobniają zmiany ustrojowe.

Mamy więc, powtórzmy, zależność dwustronną: przyziemna robota „naprawiacza” jest niezbędna dla przybliżenia ostatecznych celów — a wytyczenie i niestracenie z oczu ostatecznych celów nadaje tej robocie ogólny sens.

Ponieważ zaś nikt, ani też żadna grupa ludzi, nie może robić wszystkiego na raz, konieczny jest podział pracy, uzgodniony albo spontaniczny i naturalny. Podział na aktywnych bieżąco i praktycznie — i na rozważających, analizujących, wytyczających ostateczne cele i dystans do nich; podział, w którym nie ma ani sprzeczności interesów, ani żadnego istotnego powodu do antagonizmów.

Jest to prawda zdawałoby się oczywista. Skąd się więc biorą owe spory nie tylko między opętanymi ambicją i żądzą monopolu na słuszość przywódcami, ale i między ludźmi dobrej woli, nie nastawionymi do siebie wrogo? Sądzę, że występują tu dwie przyczyny: jedna ogólnopsychologiczna, druga związana z historią tzw. opozycji w Polsce.

Każdy, kto dziś prowadzi w PRL działalność wolnościową i jest skutkiem tego narażony na różne szykany (choć nigdy na ryzyko takie, z jakim mieli do czynienia konspiratorzy lat 1939-1945), chce być przekonany, że wybrał najwłaściwszą drogę postępowania. Broni jej więc zawzięcie, uzasadniając w ten sposób przed innymi i przed sobą słuszość wyboru, który kosztuje go tyle wyrzeczeń. Stąd podświadomy antagonizm wobec tych, którzy wybrali drogi inne, antagonizm łatwo wspierany posądzeniami o wygodnictwo albo reklamiarstwo, oportunizm albo awanturnictwo. Uświadczenie wzajemnej niezbędności różnych formuł działania może ten antagonizm złagodzić albo usunąć.

Trudniej z drugą przyczyną konfliktów, która zdążyła się już swoiście zinstytucjonalizować. Chociaż różnice w programach politycznych, głoszonych przez różne ośrodki w Polsce, są dziś nieznaczne (np. niemal wszyscy deklarują się jako zwolennicy demokracji parlamentarnej, nikt nie głosi hasła reparytywacji wielkiego przemysłu ani ekspansjonizmu terytorialnego) — to od chwili pojawiania się, na jesieni 1976 roku, jawnych ugrupowań „opozycyjnych” toczą się ostre spory, przybierające często formę licytacji, odbywanej w dwu walutach: „bezkompromisowości” i „odpowiedzialności”. To współzawodnictwo w deklaracjach programowych wywołane zostało przez parę czynników: osobiste ambicje przywódców grup i grupiek, konkurencję o rozszerzenie wpływów, niefortunna teoria „artikulacji różnic”, głoszoną przez najaktywniejszego z przywódców, wzajemną nieuf-

ność jednostek i środowisk. Ten ostatni element przyczynił się najbardziej do popsucia atmosfery, bo zrodził absurdalne zwykłe posądzenia już to o komunistyczną niepoprawność, już to o reżymowo-nacjonalistyczną agenturalność. Raz rozpoczęta licytacja doprowadziła wreszcie do tego, że wszyscy zadeklarowali się ostatecznie w sposób mniej więcej jednakowy — ale kolejność i dobitność zgłaszania poszczególnych haseł oraz bojowe rozjątzenie utrwaliły w świadomości „konkurentów” ostre linie podziałów.

Do wytworzenia tej w dużej mierze sztucznej sytuacji konfliktowej przyczynił się też swoisty wszystkoizm, a mianowicie powodowana przez wygórowane ambicje grup i jednostek niechęć do podziału pracy, tak zdawałoby się naturalnego i nasuwanego przez warunki działania. Ci, którzy postulowali maksymalną jawność, otwartość i legalizm działania mogli się skupić na sprawach bieżąco-praktycznych, a ci, którzy decydowali się na niejawność, mogli kontynuować rozpoczętą nieco wcześniej przez PPN robotę formułowania i analizowania dalekosiężnych programów. Podobny podział pracy występuje zresztą z reguły w państwach o ustroju demokratycznym: partie polityczne prowadzą działalność bieżącą, a teoretycy, myśliciele i politolodzy zajmują się wizjami, programami, ideologiami. Niestety w Polsce ambicje i podejrzliwość uniemożliwiły taki podział pracy. Zmusza to niekiedy do żenujących łamańców myślowych i sprzecznych wypowiedzi: bo zaiste trudno jest prowadzić „zgodną z obowiązującym prawem”, „nie godzącą w podstawy ustroju” i „nie kwestionującą uwarunkowań wynikających z sytuacji międzynarodowej PRL” działalność, głosząc zarazem, że jest się równie jak „konkurenci” bezkompromisowym zwolennikiem niepodległej i demokratycznej Polski.

Gdyby jedynym wyrazem opisanych tu sztucznych podziałów była konkurencja między przesadnie ambitnymi działaczami, nie byłoby to jeszcze groźne. Jednakże swary i licytacje wpłynęły silnie na ukształtowanie a następnie pewne skostnienie form działania tzw. opozycji demokratycznej — ba, przyczyniły się do wytworzenia w świadomości zbiorowej pojęcia „opozycji” czy „dysydentów” jako wyodrębnionej (a także nielicznej i ograniczonej środowiskowo) grupy aktywistów, którzy prowadzą działalność *par excellence* polityczną nawet wówczas, kiedy występują np. w sprawie fatalnego zaopatrzenia aptek.

Mimo że pisano już wielokrotnie o tym, że tzw. opozycja w Polsce nie jest naprawdę opozycją (bo np. nie stanowi alternatywnej siły politycznej, dążącej do przejęcia władzy) — termin się przyjął i jest niestety coraz powszechniej używany, także przez same ugrupowania „opozycyjne”. Nazwa ta zamyka jednak „opozycję” we własnym małym getcie i odcina ją od reszty spo-

łeczeństwa. Powoduje to z kolei zatrącenie wycucia własnych możliwości a także sensu odgrywanej roli: możliwości są zwykłe przeceniane (przykładem akcja przeciwko wyborom), a rola coraz częściej widziana nie w uzewnętrznianiu i kanalizowaniu aspiracji całego społeczeństwa, ale w kierowaniu społeczeństwem. Wyodrębnienie powoduje też odruchy lekceważenia: cóż naprawdę znaczy ta mała grupka, która usiłuje społeczeństwo do czegoś namówić? Taką opinię znajdujemy np. w cytowanym już artykule Stefana Kisielewskiego — człowieka, którego nie można posądzić ani o złą wolę, ani o niechęć do opozycji, ani o brak inteligencji. I on jednak, jeden z najlepszych naszych publicystów, dał się złapać w sidła łudzącej terminologii.

Mówienie o „opozycji” w Polsce jest dlatego tak mylące a nawet szkodliwe, że zaciera fakt dla obecnej sytuacji najistotniejszy: otóż ci głośni — i tak stosunkowo nieliczni — „aktywiści” stanowią tylko widoczną część ruchu znacznie szerszego i bardziej masowego, który należy nazwać *ruchem wolnościowym*, bo rozszerzanie zakresu swobód jest jego głównym celem. Te setki i tysiące, które kolportują nieoficjalne wydawnictwa, te dziesiątki tysięcy, które je czytają, nie są, w żadnym sensie tego słowa, „opozycją” — ale są aktywnymi zwolennikami powiększania swobód obywatelskich i narodowych. I bierne na pozór zupełnie (z wyjątkiem uroczystych i bezpiecznych okazji, jak wizyta Papieża) społeczeństwo sympatyzuje nie tyle z „opozycją” mniej lub bardziej sprofesjonalizowaną i budzącą bodajże tyleż podziwu co urazów, ale właśnie z ruchem wolnościowym jako całością. Ruchem tym silniejszym, im bardziej wielokształtnym i bogatszym w formy działania, od studenckich grup samokształceniowych do chłopskich gromad, domagających się lepszego traktowania.

Na szczęście odzywają się coraz częściej głosy (w *Kulturze* np. artykuły Poleskiego, Lipca i Białomorskiego) stwierdzające, że podział na „społeczeństwo” i „opozycję” jest sztuczny i ulega samoczynnie zatarciu. Szerzy się, zwykle poza ramami ukonstytuowanych ugrupowań, przekonanie, że istotny dla ruchu wolnościowego jest wspólny cel, nie zaś rozmaite formy i ośrodki działania. Jednakże bardzo niewiele zrobiono dotychczas, aby przełamywać izolację, w którą władza usiłuje, nie bezskutecznie i nie bez mimowolnej współpracy ich samych, wpędzić ugrupowania „opozycyjne”. Można wspólny front wolnościowy rozszerzać, wyciągając dalsze wnioski z przedstawionego powyżej faktu ścisłych związków między naprawianiem tego, co jest, a przybliżaniem celów ostatecznych. Trzeba zrywać zarówno z pustosłownymi deklaracjami, za którymi nie postępuje robota, jak i z sekciarską podejrzliwością wobec tych, którzy niczego nie obwiesz-

czają, ale starają się ratować kraj od katastrofy gospodarczej i społecznej, do której doprowadziły nas partyjne rządy.

Trzeba witać z zadowoleniem każdy przejaw samodzielnej inicjatywy społecznej i umysłowej, każde przełamanie monopolu na myśl polityczną, każde odejście od zaprogramowanej totalitarnej zgody. W reakcjach na takie dokumenty, jak raport klubu Doświadczenie i Przyszłość albo wypowiedzi Jana Szczepańskiego zbyt często skupia się uwagę na tym, z czym się w tych tekstach nie zgadzamy; za mało podnosi się ich doniosłość jako przejawów *pluralizmu*. To prawda, że jest w tych wypowiedziach wiele twierdzeń nieprawdziwych i propozycji niesłusznych, wiele, co budzi niepokój a nawet zdumienie — ale jeżeli będziemy chwalić to tylko, z czym się całkowicie zgadzamy i czego genety i intencji jesteśmy całkowicie pewni, nigdy nie ruszymy w stronę demokratycznej swobody. Warto też zwrócić uwagę, że wspomniane tu wypowiedzi, tak w swoim tonie „pozytywistyczne”, tak umiarkowane i „organiczniakowskie”, zawierają jednoznaczną argumentację, że bez zmian ustrojowych możliwość poprawy sytuacji jest znikoma. Stąd wniosek dla czytelnika: sami autorzy nie postulują zmian ustrojowych, ale zmiany takie są nieuchronną konsekwencją tych prac „organicznych” i zabiegów „naprawczych”, które sami wymownie zalecają. Czy autorzy raportu DiPu i prof. Szczepański są w głębi duszy niepodległościowcami — to nieistotne; istotne jest, że ich wskazania do niepodległości prowadzą.

Podsumowując aforystycznie:

Im uboższy kraj, tym mniejsze szanse na niepodległość.

Im bierniejsze społeczeństwo, tym mniejsza możliwość przyszej demokracji.

Nie ma demokracji i niepodległości bez pracy organicznej; wszelka rzetelna praca organiczna przybliży niepodległość i demokrację.

SOCJUSZ

P.S. W numerze 3/390 (1980) *Kultury* ukazał się list anonimowego Czytelnika z kraju, wyrażający wdzięczność redakcji za opublikowanie mojego artykułu w numerze 11/386 (1979). Niestety, tym miłym słowom towarzyszy gwałtowny i obfity atak na insynuacje atak na Jacka Kuronia i KOR. Nie miałem zamiaru „demaskować” Kuronia, którego zasługi bardzo szanuję. Autor listu, deklarujący się jako zwolennik „idei pluralistycznych”, powinien zrozumieć, że pluralizm i poszanowanie dla poglądów innych to cechy, których trzeba wymagać przede wszystkim od samego siebie.

S.

Ze Związku Literatów w Warszawie

Było to zebranie poświęcone postaci i zasługom Mirosława Chojeckiego i Niezależnej Oficynie Wydawniczej. Spośród 23 mówców 11 zabrało głos w sprawie NOW-ej i samego Chojeckiego, parę innych głosów dotyczyło spraw mało ważnych, nie wywołujących kontrowersji — bytowych i innych, większość osób wychodziła w czasie tych „nieważnych” przemówień z sali na papierosa i na herbatę. Oto wystąpienia ważniejszych mówców.

Stefan Bratkowski — partyjny członek Związku Literatów. Bardzo pesymistycznie mówił o fatalnej polityce kulturalnej i gospodarczej. Krytykował system porozumiewania się władzy z pisarzami i ludźmi kultury, a także ze społeczeństwem. Powiedział, że w sprawie Chojeckiego istnieje list pisa- rzy skierowany do Zarządu Głównego i podpisany przez dziewięćdziesięciu kilku pisarzy, którzy są znani i których nie można lekceważyć, że do listu tego należy odnieść się z uwagą i powagą mimo iż w sformułowaniach jego widzi pewne emocjonalne przegięcia, z którymi nie byłby skłonny się zgodzić; że można z listem polemizować, a przede wszystkim z pewnymi jego sugestiami, które podkreślają pewne analogie między epoką stalinowską a czasami dzisiejszymi, czego zdaniem Bratkowskiego nie można w ogóle porównywać.

Następnie przemawiał **Jerzy S. Sito**. Nie mówił o Chojeckim, ale apelował do władz (których zresztą nie było na sali), że nie wolno dyskryminować pisarzy za ich poglądy. Bardzo piękne wystąpienie.

Stefan Kisielewski — stwierdził, że przez 12 lat nie przemawiał (ostatni raz na słynnym zebraniu lutowym oddziału warszawskiego poświęconym sprawie zdjęcia „Dziadów”), bo trochę oberwał wówczas, bo był wskazywany palcem przez środki masowego przekazu (mówił to wszystko z dużym humorem) i poza tym znajomi mu powiedzieli, że właściwie ile razy przemawia to jest to zawsze to samo przemówienie, że nudzi, męczy, pesymizuje, że mówi cały czas o cenzurze, więc pomyślał, że już nie będzie przemawiał. Dzisiaj jednak zdecydował się przemówić, ponieważ może wygłosić „przemówienie optymistyczne”, będzie mówił o sprawach pozytywnych, nie będzie jęczał i stękał. Zawsze stękał nad niewolą kultury i literatury, nad brakiem dzieł, nad stosunkiem do twórców, nad niemożnością wypowiadania się, a tymczasem od paru lat jest mnóstwo rzeczy do czytania, wspaniałe pisma, i zaczął wyliczać wszystkie książki wydane przez Oficynę Wydawniczą NOW-a, mówił i o innych książkach, o pismach *Krytyka*, *Puls*, *Res publica*. Wymieniał nazwiska wszystkich pisarzy i poetów nie drukowanych gdzie indziej jak w NOW-ej. Mówił o dziełach historycznych, o zapewnianiu białych plam wspomnieniami, dziełami naukowymi, esejystyką, wymieniał pisarzy emigracyjnych, obcych. Wspomnił, że w 1969 roku Jerzy Putrament napisał w *Literaturze* felieton poświęcony pisarzom-malkontentom i krytykom-malkontentom, że są niezadowoleni z tego co się pisze, że jest cenzura, że

Informacja o przebiegu Plenarnego Zebrania Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich w dniu 5 maja 1980.

„wszystko się wam nie podoba, to sobie sami róbcie, sami sobie zakładajcie wydawnictwa”. No i — mówi Kisielewski — to prorocтво się spełniło i ludzie pozakładali sobie sami wydawnictwa i świetnie one prosperują. Wspomniał o Chojeckim, że wprawdzie jeden z ludzi, którzy to uruchomili poszedł do więzienia, ale on i tu widzi coś optymistycznego, to mianowicie, że władze wstydziły się wsadzić go do więzienia za to co robi i postarały się o jakieś dziwne zarzuty kryminalne. Miło to widzieć, że władze się czegoś wstydzą, bardzo to miłe zjawisko. Przemówienie to przywitano ogromnymi brawami, śmiechami etc.

Andrzej Szczypiorski — wygłosił esej przeciw cenzurze, wspominając uroczysce o niesprawiedliwie i nieprawidłowo sędziowanym Mirosławie Chojeckim.

Jerzy Ficowski — odczytał znany już zarządowi głównemu list pisarzy w sprawie Chojeckiego, dodał, że od 15 kwietnia Mirosław Chojecki głoduje, że list można przez najbliższe dni podpisywać.

Jacek Bocheński — podkreślił, że dla pisarza pisanie to sposób na śmierć, na przezwyciężenie śmierci, że nie można latami żyć z przeświadczeniem, że to co się ma do powiedzenia i do napisania nie będzie drukowane i czytane; z pytań takich jak „jakim prawem”, „kto mi zabrania przeżyć samego siebie”, „dlaczego mam słuchać tych zakazów” powstała w styczniu 1977 roku idea *Zapisu*. Wyjął z teczki *Zapis* nr 13, pokazał go całej sali, zaprosił wszystkich do udziału, i partyjnych i bezpartyjnych, odczytał ponad 100 nazwisk pisarzy krajowych i emigracyjnych publikujących w *Zapisie*. Mówił, że jedynym kryterium jest poziom tekstów, dodał, że jedynie brutalnych napaści na *Zapis* i na drukujących w nim nie będzie się zamieszczać, o czym z góry uprzedza, gdyż na to szkoda papieru i pieniędzy, zresztą można to robić w innych pismach. Mówił o warunkach, w jakich się robi *Zapis*, że każdy numer jest redagowany przez kogoś innego. Stwierdził, że twórcy *Zapisu* ucieszyli się ogromnie gdy po paru miesiącach zobaczyli rosnące wokół nich jak grzyby po deszczu inne pisma kulturalne i literackie, zakończył zasługami NOW-ej i Mirosława Chojeckiego.

Marian Brandys — potwierdził wagę zmiany sytuacji wolnego słowa w Polsce, o której mówili Kisielewski, Bocheński i Szczypiorski. Dodał do tego swoją ocenę znaczenia, jakie dla rozkwitu kultury w Polsce, wolnej myśli, nowego słowa miała działalność Niezależnej Oficyny Wydawniczej. Marian Brandys mówił następnie o Chojeckim jako swoim osobistym znajomym i że to że zna Chojeckiego jest powodem jego dumy. W bardzo ciepłych słowach mówił o Chojeckim, o jego niezmiernie ciężkiej pracy, niezwyklej pracowitości, odwadze, wytrwałości, o szykanach jakim był poddawany. Żaden pisarz nie może poznać obojętny — powiedział M. Brandys — wobec tej sprawy.

Anka Kowalska — mówiła o Chojeckim jako wydawcy, który uznawał prawo twórcy do mówienia bez knebla, i że na tej sali byłoby absurdalne słuszność takiej postawy uzasadniać. Chojecki bronił praw twórców i pisarzy, twórcy nie mogą się więc godzić na zsyłanie takich ludzi do aresztanckiej celi. Broniąc Chojeckiego bronią swoich własnych praw. Protest Chojeckiego, którym jest głódówka, jest protestem nie tylko wobec bezprawia jakie jego spotkało, ale również przeciw pozbawianiu nas naszych praw. Jeśli ich egzekwować nie będziemy, to na naszych głowach odbędzie się egzekucja. Nie ma ucieczki od świadomości, że pisarze muszą uznać Chojeckiego za więźnia ich własnych sumień. A. Kowalska poruszyła jeszcze dwie sprawy: 1) sprawę Komisji Kwalifikacyjnej Związku Literatów, która odrzuca podania o przyjęcie do Związku kandydatów takich jak Marcin Król czy Jacek Bierzina, oraz przez rok nie znajduje czasu na rozpatrzenie podania Piotra Wierzbickiego. W tym ostatnim przypadku komisja odpowiada, iż

długotrwały remont gmachu nie pozwala rozpatrzyć tej sprawy, chociaż wiadomo, iż wielu innych kandydatów zostało w międzyczasie przyjętych. Kowalska mówiła o tym, że Komisja odmówiła w ogóle rozpatrywania kandydatury Bierzina, ponieważ drugi jego tom wierszy ukazał się w Paryżu nakładem Instytutu Literackiego. Kowalska poruszyła również sprawę Komisji Interwencyjnej, która przez dwa lata nie odpowiada członkom Związku Literatów, którym policja kradnie maszyny do pisania, i którzy zwracają się o pomoc w ich odzyskaniu (spotkało to właśnie Ankę Kowalską, ale nie jest to jedyny przypadek).

Krzysztof Wolicki — z dużą dozą ironii mówił o tym, że mówimy tutaj o Chojeckim, krytykujemy politykę kulturalną, mówimy o problemach niesłychanej wagi z niesłychaną ostrością. Wszystko co tutaj mówimy jest skierowane przeciw partii, przeciw władzy, która w ogóle nie odpowiada, milczy, nie ustosunkowuje się do naszych krytyk. Wolicki obserwuje tę reakcję z dużą podejrziwością i nieufnością i oczekuje z ogromnym napięciem przemówienia kolegi Andrzeja Wasilewskiego, który może wreszcie coś odpowie w imieniu władz partyjnych i państwowych.

Następnie zabrał głos Andrzej Wasilewski (o którego zapisaniu się do głosu było wiadomo już przedtem). Stwierdził iż będzie mówił z głowy. Koledzy którzy nie biorą udziału w pracach Związku a przeciwnie zakładają nawet jakieś inne związki czy organizacje i zajmują się pozazwiązkowymi sprawami przygotowali się do swoich wystąpień. A ci, którzy jak Wasilewski znają prace i sprawy Związku nie przygotowali się, więc będzie mówił z głowy o tym co Związek a także POP oddziału warszawskiego robi w tych różnych bolesnych sprawach: dla pisarzy, w sprawie 'zapisów' na nich, nakładów. Rozmawia, umawia się w tych sprawach, natomiast i partia i ministerstwo nie odpowiadają, wielu spraw nie daje się załatwić. Kowalskiej odpowiedział, że trudno władzom Związku odpowiadać na piśmie, gdy odpowiedzi które same otrzymują są ustne, pokretne. W głosie jego wyczuwało się bezradność i ledwie hamowany gniew. Co do sytuacji pisarzy zakazanych, powiedział Wasilewski, stanowisko Partii jest jasne. Jedynym warunkiem ich powrotu do oficjalnej kultury, na łamy prasy, do wydawnictw itp. jest zaprzestanie publikowania w wydawnictwach 'niecenzurowanych' (takim określeniem się posługiwał). Następnie mówił o tym, że przemówienia jakie tutaj są wygłaszane i takie zebrania, to wszystko sprawa, „i tutaj koledzy dobrze się zastanówcie że to uniemożliwia załatwianie całej masy spraw i emerytalnych i mieszkaniowych i rozmaitych bytowych”. Była to wyraźna groźba oraz próba łamania solidarności środowiska pisarskiego.

Jerzy Narbut — odczytał bardzo serdeczny esej o M. Chojeckim. Następnie Andrzej Drawicz wystąpił z szyderczym, gorzkim, spokojnym przemówieniem. Zaczął od tego, że słyszało się piękne i ważne rzeczy. Jedno tylko przemówienie będzie starał się zapamiętać jak najszybciej: przemówienie kolegi Wasilewskiego. Namawiał pisarzy bezpartyjnych, opozycyjnych aby więcej zrozumienia okazali pisarzom partyjnym. Oni są w strasznie ciężkiej sytuacji, są w partii z rozmaitych względów: oportunistycznych, bo kiedyś się to stało, bo wystąpienie jest bardzo trudne, bo trzeba podjąć decyzję. Ale są w tej partii różni, i porządni i nieporządni. Natomiast wszyscy razem są godni współczucia, bo nawet nie mogą mówić własnym głosem, bo nie mogą mówić własnym głosem nie słyszą też głosu partii, która milczy, nie wiadomo czego chce, co myśli. Skończył tym, że nawet przemówienie Wasilewskiego pokazuje, że mówił tylko tyle ile wydawało mu się konieczne, reprezentując władze, ale od siebie nie miał nic do powiedzenia, bo nie wiedziałby, czy byłoby to właściwie odczytane i nie policzone mu za grzech.

Wróćmy na chwilę do wystąpienia Wasilewskiego. Otóż na zakończenie powiedział on, że wśród wydawnictw wydawanych poza cenzurą odnajduje on również pozycje które były przedtem złożone w PIW-ie, którym kieruje.

Tak jest np. z książką wybitnego naukowca Jacquesa Monoda „Przypadek i konieczność”. PIW chciał ją bardzo wydać, mądra książka, przez wiele lat u nich leżała. Autor dopisał do niej dwie ostatnie strony, w których zawarł absolutną krytykę socjalizmu. PIW nie mógł się przedrzeć przez cenzurę, toczyli walki w ministerstwie, ale bez powodzenia, wszystko z powodu tych dwóch stron. I otóż teraz książka ta wychodzi poza cenzurą i to bez owych dwóch stron. Z sali padały okrzyki, że to nieprawda. Szereg osób twierdziło, że ma tę książkę z owymi stronami, dołączonymi jako oddzielna wkładka.

Po przemówieniu Drawicza wystąpił Jan Józef Lipski, który powiedział, że jako człowiek kompetentny wyjaśni sprawę Monoda i owych dwóch stron. Redakcja *Głosu*, która tę książkę wydała, otrzymała maszynopis książki bez owych dwóch stron, nie wiedząc o ich braku. Gdy książka została wydrukowana, dowiedzieli się o owych brakujących stronach. Zostały one przetłumaczone, dodrukowane i dołączone do oryginalnego wydania książki. Podenerwowany demagogicznym wystąpieniem Wasilewskiego w sprawie książki Monoda, Lipski zaczął tłumaczyć zebraniem z jakim niebezpieczeństwem i poświęceniem wiąże się np. dbałość o integralne wydanie książki Monoda. Mówił o przypadkach bicia, zatrzymaniach. Podał przykład własnego syna, który jako kolporter prasy niezależnej został pobity w gmachu urzędowym — na milicji, czego ma dowód w postaci orzeczenia lekarskiego, obdukcji. Na razie przypadki pobicia dadzą się policzyć na palcach rąk i nóg. Wezwał pisarzy aby nie pozostawali obojętni na te przejawy bezprawia. Okazać się bowiem wkrótce może, że przypadki takie będzie się liczyło nie w dziesiątkach, lecz w setkach czy więcej, i wtedy już nikt, może nawet on sam nie będzie miał odwagi protestować w obronie prześladowanych. Więc dopóki się to nie stało i aby temu zapobiec pisarze już teraz powinni protestować, podpisywać listy protestacyjne itp.

Tak w ogromnym skrócie przebiegało zebranie.

Zebranie prowadził Andrzej Jarecki, członek Zarządu Warszawskiego. Zakończył on zebranie mówiąc, że nie czuje się na siłach podsumować go. Jedno jest oczywiste, że sprawa Mirosława Chojckiego i sprawy z nim związane muszą być potraktowane jako wniosek do rozpatrzenia przez Zarząd Główny, że Zarząd Główny musi zostać zobowiązany do złożenia relacji o tym, co uczynił i ma zamiar czynić dalej.

Pod listem pisarzy odczytany przez Ficowskiego podpisało się w trakcie zebrania kilkanaście osób, tak więc po zebraniu widniało pod nim 116 podpisów.

Ci, co odeszli

Człowiek dobrego czynu

Pod koniec marca 1980 r. zmarł nagle w Warszawie człowiek niepospolicie dzielny i szlachetny, były żołnierz AK, mój wieloletni przyjaciel, Czesław Czapów. Pozostawił po sobie kilkanaście cennych książek, głównie w zakresie profilaktyki społecznej i resocjalizacji, ale zakres jego zainteresowań wykraczał daleko poza jedną dziedzinę wiedzy. Zbliżyłem się do niego bardzo podczas wczesnych lat pięćdziesiątych, gdy wraz z całym gronem młodych adeptów nauk społecznych odsuniętych od stalinowskich uczelni i pracowni naukowych spotykaliśmy się prywatnie, aby dyskutować powiązania nauki z życiem praktycznym. Czesiek z nas wszystkich był najbardziej żarliwy, a przy tym już wówczas cechowała go — jak i zawsze później — rzetelna troska o zrozumienie i poszanowanie cudzych poglądów. Spędzaliśmy wspólnie wiele wieczorów, a nawet nocy, dyskutując między innymi znaną książkę K. Mannheima o człowieku i społeczeństwie w dobie przemian. Spieraliśmy się na temat pogodzenia swobód obywatelskich z wymaganiami gospodarki planowej. Ja byłem już wówczas przekonany kooperatystą i chodziło mi o ograniczenie roli państwa na rzecz różnego rodzaju zrzeszeń samopomocowo-gospodarczych, kulturalnych itd. On znów był zdecydowanym zwolennikiem socjalizmu wolnościowego o charakterze socjaldemokratycznym, entuzjazmował się państwem dobrobytu w wydaniu szwedzkim i zastanawiał się żywo nad perspektywami przejścia od socjalizmu państwowego wersji sowieckiej do układu społeczno-politycznego jako tako zdemokratyzowanego. Na tle dyskusji toczących się w naszym gronie Czesiek sporządził pierwszą wersję obszernego tekstu na temat gospodarki planowej, wolności i socjalizmu nie tylko z nazwy. Była ona utrzymana mniej więcej w duchu obecnych licznych tekstów krążących szeroko wśród polskiej opozycji.

Niektórzy z kolegów usilnie namawiali nas abyśmy wewnętrznie zorganizowali się, wybrali zarząd, sporządzili statut itd. By-

liśmy obaj z Cześciem zgodni co do tego, że takich kroków robić nie należy, aby nie dać organom państwowym formalnych podstaw do ścigania nas za działalność nielegalną. Mieliśmy rację, gdyż niedługo potem rozpoczęto dochodzenia przeciw nam i Czesiek przesiedział w kryminalne bodajże kilkanaście miesięcy. Jednakże nagle doszło do czystki wewnętrznej w bezpiece i dochodzenie przeciwko nam wszystkim, łącznie z Cześciem, zostało umorzone. Tyle tylko, że maszynopis tekstu Czeska pozostał w archiwach bezpieki.

Klub Krzywego Koła był następnym gronem, w którym bardzo często spotykałem się z Cześciem. Cechowała go wówczas szczególna żywotność nie tylko na polu zawodowym (resocjalizacja młodocianych) ale również na polu politycznym, gdyż był jednym z głównych działaczy w/w Klubu, bardzo aktywnie uczestniczył w dyskusjach klubowych i wszelkich innych akcjach. Zajmował stanowisko zdecydowanie demokratyczne, patriotyczne, społeczne i socjalistyczno-wolnościowe, a więc w szczególności opowiadał się przeciwko niekontrolowanemu oddolnie rządowi oligarchicznym, ślepego podporządkowaniu interesów polskich interesom obcym, zaniedbaniu szeregu istotnych problemów społecznych (nędza, brak troski o młodzież, przestępczość, zły poziom wychowania szkolnego itd.) oraz przeciwko tolerowaniu w Polsce daleko idących nierówności społecznych. Gdy Klub Krzywego Koła został przez władze zamknięty, Czesiek nadal pozostał wierny swym przekonaniom i przy nadarzającej się okazji dawał im wyraz.

Czesiek miał niewątpliwie talenty polityczno-publicystyczne, ale nie mógł ich należycie rozwinąć pozostając z własnego wyboru poza PZPR i jej przybudówkami. Jego osobista godność nie pozwalała mu stać się jednym z narzędzi manipulowania masami, grać rolę — chętnie przyjmowaną przez niektórych głośnych publicystów i nawet naukowców — pseudoliberalą który niby to zachowuje własne niezależne stanowisko ale pod wieloma względami zgadza się z Partią. Czesiek nie odcinał się od socjalizmu, ale widział go z zupełnie innej perspektywy aniżeli Partia i dlatego nieraz miał polityczne kłopoty. W warunkach większej swobody politycznej Czesiek urósłby zapewne do roli jednego z przywódców nowej polskiej socjaldemokracji, wolnej od marksizmu, a zarazem tym prawdziwiej ześrodkowanej na kwestii dobrobytu powszechnego i sprawiedliwości społecznej. W warunkach braku swobód obywatelskich jedyną dostępną możliwością było dla niego rozwijanie działalności badawczej i pedagogicznej w sferze przestępczości nieletnich i resocjalizacji. Zawsze jednak zdawał sobie sprawę z tego, że tej sfery nie można traktować w izolacji od kontekstu społeczno-politycznego, który bardzo silnie warunkuje przestępczość. Ta myśl ujawniła się już w połowie lat pięćdziesiątych w sławnym studium Czapowa i Manturzewskiego o przestępczych grupach młodzieżowych.

W latach siedemdziesiątych Czesiek wraz z całym gronem osób myślących tak jak on powołał do życia Instytut Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji, mając nadzieję, że stanie się on ogniwem łączącym naukę z praktyką. Z ogromnym zapałem wzięto się do opracowania naukowych diagnoz ujawniających prawdziwe źródła przestępczości, tkwiące w rozbieżności między rosnącymi aspiracjami mas a bezduszną drętwotą socjalistycznej biurokracji, znikomym efekcie socjalizacyjnym oficjalnej doktryny, wewnętrznych sprzecznościach gospodarki uspołecznionej, rozkładzie życia rodzinnego, formalistycznym stylu wychowania szkolnego itd. Partia szybko połapała się, co te diagnozy o niej samej pośrednio orzekają i w rezultacie poważną część kadry naukowej Instytutu po prostu rozpedzono, a sam Instytut oddano pod ścisłą kontrolę osób ślepo posłusznych Partii.

Była to poważna klęska życiowa dla Czeska, jak również dla szeregu innych osób, które wiązały z Instytutem nadzieję sporządzania bezstronnych i rzetelnych diagnoz problemów społecznych, które samą swą wymową mogłyby torować drogę dla niezbędnych reform w różnych dziedzinach życia. Na przykład kwestia chuligaństwa wśród młodzieży i nawet wśród osób dorosłych nie może i nie powinna być potraktowana w sposób bezdusznie biurokratyczny. Surowe kary same w sobie niczego nie załatwią, jeśli nie dotrze się do społeczno-moralnych i ekonomicznych źródeł tego zjawiska, nagminnie szerzącego się w Polsce. Przestępczość gospodarcza, jeśli się jej bliżej przyjrzyć, ujawnia absurdalną irracjonalność gospodarki centralistycznie planowej w której zachodzi drastyczna sprzeczność interesów między różnymi ogniwami i poziomami planowania. Daleko idące wkraczanie państwa w sferę stosunków między młodą generacją i generacjami starszymi, szczególnie zaś między rodzicami i dziećmi, łączy się ze zjawiskiem socjalizacji pozornej (młodzież szybko opanowuje manipulację oficjalnymi frazesami dla wygodnego prześlizgiwania się przez życie), jak również ze zjawiskiem antysocjalizacji (młodzieżowe podkultury nastawione antyspołecznie).

Wydawało się, że kwestia dewiacji społecznej urosła w Polsce dostatecznie aby w tym właśnie przypadku zbiegły się interesy czynników rządzących z niezależnymi naukowcami. Nie pierwszy raz okazało się jednak, że gorze partyjnej chodzi przede wszystkim o to aby prawdy nie ujawnić — tym bardziej jeśli ci którzy tą prawdą dysponują pozostają w poważnej mierze niezależni od Partii. Wygodniej jest obsadzić Instytut elementem pokornym i zależnym, zajęтым gromadzeniem materiałów nijakich lub zgoła apologetycznych, aniżeli pójść na współpracę, w której obie strony pozostają w jakimś stopniu niezależne od siebie nawzajem.

Czesiek i ludzie jemu podobni przegrali tę sprawę, ale czy była to jednocześnie faktyczna wygrana Partii? Jeśli założyć, że w miarę rozwoju społeczno-gospodarczego społeczeństwo polskie,

podobnie jak inne społeczeństwa rozwojowo zaawansowane, wprost nieuchronnie nabiera charakteru coraz bardziej pluralistycznego (postępujący podział pracy, awans oświatowy i kulturalny mas, wzrost na sile różnych grup interesów), to Partia chcąc przetrwać i przystosować się do zachodzących zmian musi coraz bardziej rezygnować z języka przemocy na rzecz języka przetargu i kompromisu. Fakt że już w zarodku zniszczono placówkę niezależnej diagnozy o ogromnej potencjalnej wadze dla harmonijnego rozwoju społeczeństwa w newralgicznym aspekcie dewiacji społecznej świadczy w gruncie rzeczy o skostnieniu i skorumpowaniu aparatu partyjnego, który nie potrafi myśleć w skali długofalowej i deprecjuje wszystko co śmie wyróść spontanicznie.

Aleksander MATEJKO

Bronisław Przyłuski

Londyn, 24 kwietnia 1980.

Szanowny Panie Redaktorze,

Piszę ten list żeby uczcić człowieka który odszedł.

„Rozstąpcie się przede mną, bo miałem sen”: słowa z wiersza Bronisława Przyłuskiego stały się refrenem w mojej pamięci, fraza urzekająco piękna, która określa poetę. Przyłuski świadczył prawdzie snów — z wiernością która teraz zastanawia. Bo przeszedł jakby obok nas, skromny, wyciszony wewnątrz.

*Książę jak pastuch wyszedł za wieś
i zagnał chmury niebu w szkodę —
ruda dziewczyna w dworskim stawie
kąpie warkocze i urodę.*

Trzeba go było bardzo namawiać żeby swoje utwory zebrał w tom. Chwała Bogu, zrobił to w czas. Książę dał prosty tytuł: *Wiersze* (Londyn, 1973).

Dzieje się krzywda wielu pisarzom, którzy od wojny znajdują się poza Polską. Niejeden autor krajowy zabiega gorliwie żeby go znano za granicą, ale kto troszczy się w kraju o poetów tak dojrzałych jak Przyłuski?

*Nie dogoni mnie żaden duch czysty.
Nie odnajdzie mnie w brudnym barłogu
anioł, co z Betlejemu leciał listem ognistym
i przystanął u podkowy na prog.*

*Wrócę do swojej dziupli, legnę na ściółce,
na wznak gnuśnym myślom dam upust.
Ranek przyjdzie, wpisany w piórka siwej kukułce,
i nie zechce ani cła ani okupu.*

*Chociaż wiem, że to łaska to anielskie spotkanie —
na tyle rozumiem Pismo —
ale coś ze mnie wtedy naprawdę zostanie,
kiedy mnie przejmie świetlistość?*

Literatura polska jest jedna, mimo że różni układowcy wciąż ją tak traktują jakby stali przy komorze celnej. Bronisław Przyłuski przeszedł już tę jedyną granicę, która jest ważna, granicę śmierci.

*A może śmierć jest tylko funkcją złych zegarów
i nieudolnych ludzkich rzutowań w przyszłość
w czas
który naprawdę przestał uciekać na taśmie.*

Niech mu wiatr z Małoszowej przyniesie ciepłe pióro anioła.

Jerzy PETERKIEWICZ

ZAPIS 12

POEZJA — PROZA — ESEJE — KRONIKA

Niezależny kwartalnik literacki krążący w maszynopisie w Polsce ukazuje się po polsku nakładem londyńskiego pisma walczącego z cenzurą na całym świecie —

INDEX ON CENSORSHIP

W numerze: **POEZJA** — Arnold Ślucki, Leszek Szaruga; **PROZA, ESEJE** — Wł. Bartoszewski: *Powstanie Warszawskie 1944-1979*; J. Bocheński: *O Arnoldzie Śluckim*; K. Brandys: *Miesiące* — II; T. Burek: *Przeciwieństwa istnienia (o pisarstwie J. Andrzejewskiego)*; A. Szczypiorski: *Głupstwo*; B. Toruńczyk: *OZN i endecja*; J. Walc: *Ja doszedłem tam, dokąd szliśmy*. **WYWADY „ZAPISU”**: z Isaakiem B. Singerem i Kazimierzem Dejmkiem. **RECENZJE**: St. Barańczak, R. Krynicki, A. Michnik i T. Nyczek. **DOKUMENTY** — KRONIKA.

Nadal w sprzedaży **ZAPIS** nr 1, 4 i następne.
Cena 1 egzemplarza: \$ 10,00; F. 40,00; w Wielkiej Brytanii — £ 4.00.
ZAMÓWIENIA wraz z wpłatą należy przysyłać na adres:

INDEX ON CENSORSHIP
21 RUSSELL STREET, LONDON WC2B, ENGLAND

Wołanie na puszczy

Czy mamy ideologię i socjalizm?

Gustaw Herling-Grudziński napisał w *Kulturze*: „W sporze Sołżenicyna z Sacharowem jestem po stronie Sacharowa: 'ideologia jest w ZSSR martwa, nikt nie bierze jej poważnie'”.

Twierdzenie, moim zdaniem z gruntu niesłuszne, oparte być może na nieporozumieniu terminologicznym, lecz tym bardziej niebezpieczne. Można bowiem na przykład wyprowadzić zeń wniosek, że ideologia socjalizmu to „w zasadzie” dobra rzecz, tylko w Rosji ją wypaczono i zniszczono, stała się tam martwa. Ale gdzie indziej kto wie, może się uda? I znów to samo od początku...

Jak można twierdzić, że ideologia jest martwa i nikogo nie interesuje w kraju, gdzie ideologia owa ukształtowała sposób życia setek milionów ludzi na kilkadziesiąt już lat i gdzie w dodatku nie ma ona żadnej poważnej konkurencji politycznej czy światopoglądowej? Tak zwani ludzie radzieccy to produkt ideologii, oni nie mogą brać owej ideologii „poważnie” czy „niepoważnie”, bo oni są właśnie samą tą ideologią i niczego innego nie znają, ani niczym innym być już nie potrafią, dopóki w Rosji istnieją takie a nie inne formy życia materialno-politycznego. Byt kształtuje świadomość — to wszakże jedna z pryncypialnych tez marksizmu!

Sp. Profesor Władysław Tatarkiewicz powiedział kiedyś, że komunizm to pierwsze w dziejach absolutystyczne rządy filozofów. Ja zaś pisałem wielokrotnie, że komunizm rosyjski to jest jedyny marksizm, zrealizowany w praktyce, realnie istniejący, który WYTRZYMAŁ PRÓBĘ HISTORII. Innego na świecie nie ma. Albo, żeby uczynić zadość Leszkowi Kołakowskiemu, jest to marksizm-engelsizm-leninizm (Stalin wniósł głównie praktykę...). Filozofia marksistowska została w Kraju Rad zaaplikowana totalnie i konsekwentnie. Jeśli rezultat jest zły, to znaczy, że filozofia jest niesłuszna czy niezastosowalna. Ale to już do świadomości zachodnich „postępowych” inteligentów nie dociera.

Zaś nieświadomość ich pogłębiona być może jeszcze przez mówienie o sowieckiej „martwej” ideologii. Tymczasem ona wcale nie jest martwa, jest jak najbardziej żywa i konkretna, ugruntowana codzienną praktyką milionów ludzi. Tyle, że jest fatalna! Można jej nie lubić, lecz musi się u nas nią żyć. Tak!

Do pogłębienia nieporozumień semantycznych przyczynia się jeszcze wieloznaczność słowa socjalizm. W mojej nieuwzględnionej przez nikogo broszurze „Na czym polega socjalizm?” prosiłem, błagałem, zaklinałem, aby socjaldemokratycznego reformizmu, naniesionego na ustrój wolnorynkowy i demokratyczny nie nazywać socjalizmem, bo wtedy zamęt w pojęciach wzrasta do rozmiarów monstrualnych i nikomu niczego wyjaśnić się nie da. Proponowałem, żeby słowo socjalizm oddać komunistom, a dla nas wymyślić inne, boć i treść jest inna. Proponowałem, żeby sowiecki socjalizm marksistowski nazywać krótko socjalizmem, nie dając komunizmowi szansy taktycznej, wynikłej z zęglowania na zewnątrz dwuznacznym terminem. Proponowałem, ale propozycji mojej nikt nie przyjął: ani Mitterrand, ani redakcja *Kultury*, ani pani Chylińska (socjalizm demokratyczny, toć *contradictio in adiecto*). Może jeszcze Kołakowski by się przyłączył... Więc spróbujmy nieco definicji filozoficznych, zastosowanych również do naszej polskiej, krajowej, tak na pozór pragmatycznej rzeczywistości.

Czym jest według mnie nasz wschodni socjalizm, czyli komunizm? Jest to połączenie marksowsko-engelsowskiego materializmu z upaństwowieniem wszelkiej produkcji i pracy, dokonanym z pomocą leninowskiej koncepcji centralnej władzy, łączącej z kolei prerogatywy polityczne z gospodarczymi. Cel zaś tej władzy jest w założeniu ściśle ideologiczny: udaremnienie wszelkiej ALIENACJI.

Alienacja u Marksa to było wymknięcie się z rąk ludzi pracujących wytworów tej pracy, zapanowanie stosunków towarowo-kapitałowych nad człowiekiem i jego wolą. Pojęcie alienacji rozszerzone zostało podczas leninowskiej rewolucji w Rosji, podciągnięto pod nie wszelką materialną przewagę lub niezależność jakiegokolwiek ludzkiej grupy czy jednostki („mały kapitalista rodzi wielkiego”), a także wszelkie autonomiczne prawa rynkowe. Nie może bowiem w socjalizmie istnieć żaden wyrykający się ludzkiej woli, ekonomiczny determinizm, stąd skasowanie prawa wartości i obiektywnych mierników pieniężnych, zastąpionych przez stałą, odgórną interwencję aparatu ideologicznego, mającego za swój cel ciągłe rozbijanie odradzającej się alienacji. Dobrobyt materialny, wobec głównego zadania ideologicznego, jest podczas mniej lub bardziej (raczej jednak bardziej) permanentnej rewolucji problemem drugorzędnym. Celem centralnego planowania nie jest rozsądne zorganizowanie produkcji i konsumpcji, lecz walka z gospodarczą alienacją, utrudniającą budowę czystego socjalizmu. Rewolucją kieruje zespół ideologów,

w praktyce zespół mniej lub bardziej świadomych urzędników antyalienacyjnych.

Oczywiście, po latach aparat ten częściowo wyrodniej, zapomina o swym pierwotnym przeznaczeniu, utrzymanie podwójnej (politycznej i gospodarczej) władzy staje się celem samym dla siebie, rządzący zapominają o jego ideologicznych źródłach. Zdarzają się też taktyczne odchylenia w kierunku pragmatyzmu, zwłaszcza w krajach satelickich, które nie przeżyły tak gruntownej rewolucji jak Rosja i przyzwyczajone są do pewnego poziomu życia (dzisiejsze Węgry). Ogólny jednak, dyrektywny schemat działania pozostaje ideologiczny, bez względu na to, o ile mechanicznie go realizujący aparat zdaje sobie z tego sprawę, o ile zaś sądzi, że działa praktycznie i „życiowo”.

Przykładem ideologicznego nie zaś pragmatycznego działania jest tworzenie klasy robotniczej a niszczenie chłopów. Robotnicy, klasa niezagrożona alienacją, bo nic nie mają i zależą wyłącznie od państwa, są upatrzeni, z samej natury doktryny, na główną podporę władzy. Dlatego też winno ich być jak najwięcej: w mało uprzemysłowionej powojennej Polsce postanowiono ich stworzyć, aby uprawdopodobnić teorię dyktatury proletariatu i walki klas (ciekawa kolejność: nie rewolucja dla proletariatu, ale proletariatu dla rewolucji). Gdy patrzymy dziś na nieprzebrane tłumy robotników w Polsce, musi nasunąć się pytanie, czy rzeczywiście wszystkie te olbrzymie huty, kopalnie i stocznie celowe są z punktu widzenia ekonomicznego, czy też budowę ich przede wszystkim spowodowała doktryna? Wszakże wielkie stalownie na rozwiniętym Zachodzie to już częstokroć anachronizm i obciążenie! Robotnicy natomiast petryfikują ustrój i ideologię, gdyby ktoś chciał reformować naszą gospodarkę w myśl prawa wartości i dochodu, zbuntują się, bo to podcięłoby ich egzystencję „na państwowym” — twardą może, ale psychicznie łatwiejszą, gdyż nie wymagającą samodzielnej inicjatywy, od której ludzie w tym systemie odwykają. A z drugiej strony wieś, niegdyś domena tradycyjnie samodzielnej gospodarki rolnej, wyludnia się, ustawa o emeryturach wydrenowuje starych, indywidualnych chłopów, wyludnienie i zerwanie z tradycją sprawi, że, wbrew znanym niepowodzeniom, przejdzie się na kolektywizm. Całokształtu dzieła dopełnia zniszczenie klasy średniej, rzemiosła, sklepikarstwa, drobnej wytwórczości — próbuje się to teraz zastąpić pół samodzielnymi, lecz zawsze uzależnionymi „agencjami”. W sumie obraz dziwaczny: korpus z wielkim brzuchem, za to małe nóżki, mała głowa. Dziwności tej nie da się wytłumaczyć żadnymi względami pragmatycznymi, jasna się stanie dopiero, gdy uświadomimy sobie jej źródło IDEOLOGICZNE. Zaś realizatorem i konserwatorem ideologii jest państwowa władza — stąd religijna wręcz cześć, jaką się ją otacza.

Pragmatyczny Zachód, zwłaszcza Amerykanie (a wśród nich p. Andrzej Korboński) nie są w stanie pojąć, że poczynaniami

gospodarczymi w krajach socjalistycznych rządzi spetryfikowana doktrynalnie ideologia, dawno nie odświeżana Wielka Stara Utopia, zaopatrzona obficie w wyolbrzymiające wszystko lęki i mity. Nie pojmują też, że ich udzielane nam kredyty, obracane przeważnie na rozbudowę przemysłu ciężkiego, wzmagają w istocie utopijność obrazu, zgłębia nie wzmacniając jego materialności. Zachodni dziennikarze, zdolni do widzenia naszego świata w swoich jedynie kategoriach, uznali np. inauguracyjną mowę sejmową nowego premiera Edwarda Babiucha za realistyczną, rozsądną, krytycznie-pragmatyczną, gdy w istocie była to mowa poświęcona gospodarce, lecz utrzymana całkowicie w kategoriach IDEOLOGICZNYCH.

Babiuch mówił wprawdzie o znanych wszystkim trudnościach i niepowodzeniach ekonomicznych, wypunktował je nawet z pedantyczną dokładnością, ale strzegł się jak ognia ukazania MECHANIZMÓW, które do tych trudności doprowadziły i które trzeba by zmienić, chcąc kraj wyleczyć. Nie ukazywał mechanizmów, bo są one organicznym składnikiem struktury władzy, a struktura ta musi pozostać niezmienną, skoro cele jej są nadrzędne, właśnie ideologiczne: zbudować socjalizm wolny od niebezpieczeństw przeróżnych odradzających się alienacji. Premier wymieniał więc wyraźne objawy choroby, ale nie mógł wymienić przyczyny, jest nią bowiem sam system, będący zarazem celem. A skoro jest celem, nie można go zmieniać, np. proponowaniem reform. Wprawdzie obietnica czy zapowiedź reform mogłaby poruszyć i zachęcić aktywność i inicjatywę oddolną, ale oddolna aktywność niekoniecznie jest pożądana, trąci znowu alienacją, której odrodzenie się uniemożliwia jedynie świadoma działalność odgórna. Państwo socjalistyczne jest wszakże nieustająco interwencyjne, naturalny więc kierunek działania prowadzi tutaj od góry do dołu, nie odwrotnie. I tylko taki kierunek gwarantuje czystość i poprawność linii ideologicznej, co jest w gruncie rzeczy najważniejsze. Stąd też na wskroś w istocie pozaekonomiczny a jedynie moralizatorski charakter mowy Babiucha. Zdaje się on mówić: — Pracujcie gorliwiej w ramach systemu i o nic nie pytajcie, a jeśli nawet trzeba zmienić jakieś mechanizmy zarządzania, to już my to zrobimy, a Wy dowiecie się o tym w odpowiedniej chwili. Utrzymanie naszej rewolucyjnej ideologii jest najistotniejsze, rewolucja zaś to dzieło wodzów, świadomych ideologów, czyli odgórne, a popierane oddolnie — przez zebraną przy głośnikach lub przy urnach wyborczych klasę robotniczą. Wierząc w taki mechanizm historii, Edward Babiuch wie dobrze, że tylko o tyle jest szefem systemu, o ile jest jego wiernym niewolnikiem, dlatego nie wolno mu go „polepszać”, choćby wady leżały na wierzchu, bo ulepszanie jest zmienianiem, a nie można zmieniać celów, które gwarantują władzę, będącą do tego celu koniecznym środkiem.

Tak więc przemówienie Premiera było na wskroś ideologiczne, choć złudzeni gospodarczą tematyką zachodni dziennikarze uznali

je za pragmatyczne. Kto oczekiwał na zmianę systemu, modelu, polityki, ten mocno się zawiodł, kto zaś nie oczekiwał, ten trwa w swojej prywatnej alienacji. Istnieje bowiem i taka, nawet dość powszechnie: skoro władza jest dziwna, oderwana, zajęta swymi problemami i swoją ideologią, zubożniałe warstwy społeczeństwa szukają własnych dróg załatwiania swych spraw życiowych. Ta nieoficjalna alienacja władzom w zasadzie nie przeszkadza, bo jest pozaideologiczna, zatem systemu nie narusza. A że część społeczeństwa degeneruje się i demoralizuje? Trudno, kosztą być muszą, jeśli system funkcjonuje źle. Lecz nawet jeśli funkcjonuje źle nie przestaje być słuszny. Bo nie o względy pragmatyczne w tej chwili chodzi...

A o co? O ideę i jej utrzymanie — poprzez utrzymanie władzy. Zawiliły to psychicznie proces i niepojęty dla cudzoziemca, a i u nas nie wszyscy go pojmują. Lecz powiedzenie, że nasza socjalistyczna ideologia jest martwa wynika z błędu perspektywy. Ona jest jak najbardziej żywa i na żywo co dzień aplikowana milionom ludzi. Tyle, że strasznie niesamowita.

KISIEL

A P E L

Stosunki polsko-żydowskie w chwili obecnej znamionują nieporozumienia i emocje. W interesie obu narodów leży przełamanie kryzysu i odbudowa wzajemnego szacunku w oparciu o tysiącletnią tradycję współżycia na jednej ziemi. Jedyną drogą do tego celu są nacechowane tolerancją i wyzbyte uprzedzeń studia nad historią wzajemnych stosunków, a pierwszym krokiem — bibliografia możliwie wszystkich publikacji na ten temat. Praca taka powstała.

Pierwszą próbę podjęła strona żydowska. Była to „Bibliografia historii Żydów w Polsce i w krajach ościennych za lata 1900-1930” Majera Bałabana, opublikowana w 1939 roku. Obecnie przygotowana, m.in. przy jej wykozystaniu, lecz szersza pod względem zakresu chronologicznego i przedmiotowego, „Bibliografia historii Żydów w Polsce, 1772-1939”, stać się winna istotnym wkładem ze strony polskiej. Jej autorami są prof. dr Jerzy J. Lerski i dr Tadeusz Wojnicki.

Z uwagi na rozmiary opracowania (około 12.000 pozycji) i wysoki koszt druku autorzy zmuszeni są ogłosić subskrypcję wśród Polaków i Żydów świadomych wagi przedsięwzięcia. Przewidywana cena jednego egzemplarza: \$ US 20,00. Przedpłaty i donacje należy nadsyłać na nazwisko jednego z autorów na adres: 239 NORIEGA STREET, SAN FRANCISCO, CALIFORNIA 94122, USA. Lista ofiarodawców i przedpłacicieli zamieszczona zostanie w książce.

Redakcja *Kultury* zasubskrybowała 5 egzemplarzy „Bibliografii”.

Książki**Bez złudzeń**

Mała liczebność dysydentów sowieckich, ich rozproszenie i trudności organizacyjne powodują, że różnorodne orientacje tego środowiska reprezentowane są nie przez grupy, lecz przez poszczególne wybitne jednostki. Sołżenicyn, Sacharow, Bukowski i inni to nie tylko autorzy i działacze, ale i reprezentanci często bardzo odmiennych koncepcji „sprawy sowieckiej”. Tego rodzaju postacią jest też Aleksander Zinowiew, specjalista w dziedzinie logiki modalnej i autor kilku groteskowych w formie, a morderczo krytycznych w treści utworów na temat sowieckiej rzeczywistości. Są to: „Przepastne wyżyny” (fragmenty ukazały się w *Kulturze* w 1978 roku), „Świetlana przyszłość”, „Notatki nocnego stróża” i „U progu raj”; wszystkie zostały napisane jeszcze w Moskwie, którą Zinowiew musiał opuścić po ukazaniu się w Szwajcarii (w wydawnictwie *L'Age d'Homme*) rosyjskiego oryginału „Wyżyn”; pozbawiono go profesury, tytułów naukowych i dano do wyboru: emigracja lub więzienie. Od sierpnia 1978 r. prof. Zinowiew przebywa z rodziną w Monachium, gdzie prowadzi nadal pracę naukową; prócz tego dużo podróżuje, wygłasza odczyty i publikuje artykuły na tematy tzw. aktualne, czyli polityczne. Książka, którą tu omawiam* jest zbiorem 12 tego rodzaju publikacji, napisanych w ciągu pierwszego roku pobytu na Zachodzie (jeden z artykułów, „Opozycja w społeczeństwie komunistycznym”, ukazał się w ub. roku w *Kulturze* Nr 6/381); zamyka książkę wywiad autora, udzielony radiostacji „Swoboda” w rocznicę przymusowego wyjazdu. Znaczenie tego zbiorku polega na tym, że w zwięzłej formie rekapitułuje poglądy Zinowiewa na istotę ustroju sowieckiego i pozwala lepiej zrozumieć jego utwory literackie, które zarówno ze względu na formę (setki krótkich rozdziałików, w których zawarte są strzępy dialogów

* Aleksander Zinowiew, *Bez illuzij*, 123 str., Editions L'Age d'Homme, Lausanne, 1979.

lub monologów postaci, fragmenty wierszy, groteskowe opisy „Ibańska” i „Kraju”, przy czym liczne wątki toczą się nie chronologicznie, lecz równocześnie w kilku przekrojach czasowych) jak i na treść (rodzaj niekończącej się refleksji socjologicznej na tle karykaturalnie uchwyconej codzienności komunistycznej) nie zawsze wyraźnie ukazując las poza drzewami.

Autora zajmują przede wszystkim dwa zagadnienia: to co można nazwać socjologią sowytyzmu (pasowałby tu też termin, którego używa Zinowiew w swej ostatniej powieści, „U progu raju”: jej bohater jest absolwentem *patosocjologii*!) i problem literackiej artykulacji tego fenomenu. System sowiecki jest dla Zinowiewa zjawiskiem tak dziwnym, a zarazem tak zakorzenionym w instynktach i tendencjach zbiorowych, że zwykły opis rzeczywistości nie wystarcza. „Gdyby opisać społeczeństwo sowieckie takim jakim jest naprawdę, nikt by w to nie uwierzył, nawet przekonani antykomuniści” — oto jego stanowisko. Zdaniem Zinowiewa groteska, karykatura, satyra, fantazja przyszłościowa to formy bardziej *adekwatne* niż tzw. literatura prawdy czyli realistyczny opis wyizolowanych z konieczności fragmentów rzeczywistości. Jako przykład tej ostatniej formy cytuję Zinowiew utwory tolerowanych, acz niechętnie, autorów sowieckich takich jak Trifonow czy Rasputin i przeciwstawia im — jako typ „adekwatny” — twórczość Zoszczenki, Wojnowicza, Jerofiejewa czy Galicza. Rozróżnienie tych dwóch kategorii wydaje mi się bardzo użyteczne, m.in. dla zakwalifikowania ostatnich książek Konwickiego (niewątpliwie nie są realistyczne, ale klimatem odpowiadają nastrojom ogólnym).

Poglądy Zinowiewa na istotę sowytyzmu i jego ocena perspektyw Wschodu i Zachodu to elementy orientacji, którą nazwałbym powściągliwym pesymizmem. Zinowiew stoi na stanowisku zdecydowanie prozachodnim, bez cienia słowianofilstwa czy innej mistyki; „nie robię sobie złudzeń na temat Zachodu i widzę jego wady. Ale jest czymś lepszym od wszystkiego co było w historii ludzkości i co istnieje poza tym na ziemi” — stwierdza we wspomnianym wywiadzie. Zagrożenie przez system sowiecki jest jednak jego zdaniem realne, ponieważ system ten („podobnie jak komórki rakowe”) stara się upodobnić do siebie całe otoczenie; interesująca jest tu myśl, że groźniejszym od ewentualnej interwencji zbrojnej zjawiskiem jest działanie pośrednie, jak gdyby przez indukcję czy osmozę: wiele inicjatyw sowieckich typu propagandowego („rozmowy”, „wymiana poglądów”, „uzgadnianie stanowisk”) narzucają Zachodowi sowiecki typ myślenia, poziom umysłowy i reakcje. Zinowiew uważa to za realną groźbę, ponieważ uważa system sowiecki za rodzaj automatu, który dawno już wymknął się spod kontroli ludzkiej; jest to jakby uogólnienie jednego z możliwych układów społecznych — w tym wypadku: pełnego podporządkowania jednostki kolektywowi — i to uogólnienie, które zaszło już tak daleko, że jest w pewnym sensie nieodwracalne. Większość podświadomie

godzi się z tym stanem rzeczy, ponieważ w istocie odpowiada on interesom przeciętnych ludzi sowieckich. Za cenę rezygnacji z pewnych swobód („których potrzeby większość nie odczuwa”) kolektyw zapewnia im minimum życiowe zarówno materialne jak duchowe. Oficjalna ideologia i oparty na niej „teatr życia” dają złudzenie celowego działania i roli w świecie nawet tym, którzy w głębi serca zdają sobie sprawę z fikcyjności czy szkodliwości swych działań; stąd automatyczne czy wręcz rzeczywiście spontaniczne prześladowanie wszystkich „odszczepieńców”, tzn. tych, którzy myślą i zachowują się inaczej, naruszając tym ciepełko zastanego układu. Pogląd Zinowiewa przypomina pod wieloma względami Orwella: ten sam nacisk na masowość zjawiska, na zdolność do samoorganizowania się i rozrostu totalitaryzmu (Zinowiew nazywa tę tendencję „Wytyczną” i traktuje ją jako ponadosobową „logikę sytuacji”), na bezsilność jednostki wobec już funkcjonującego mechanizmu. W pewnym sensie jest to pogląd jeszcze bardziej pesymistyczny, gdyż w przeciwieństwie do Orwella podstawowym elementem napędowym jest nie negatywne uczucie strachu, lecz „pozytywna” (tzn. dobrowolna) postawa akceptowania przez większość. Wobec zjawisk masowych naiwnością jest oczekiwanie na jakieś cudowne, nagłe zwroty, gdyż decydujący wpływ na ewolucję całości mogą mieć tylko wielkości progowe, które wymagają dziesięcioleci. Składną taką wielkością progową jest dla Zinowiewa także zjawisko pojawiania się dysydentów i przypisuje mu on wielkie znaczenie, na razie jednak tylko jako jaskółki ewentualnych przemian w przyszłości. W cybernetycznym modelu Zinowiewa wygląda to w skrócie następująco: system sowiecki rodzi niezadowolenie jednostek, ale jest to niezadowolenie rozproszone i nieefektywne, w pewnym sensie należy do całości, tak jak niewiara w ideologię (wymagana jest tylko formalna akceptacja). Większość niezadowolonych powściąga się na tyle, że nadal tworzy „zwarty kolektyw”; wobec masowości zjawiska w niektórych wypadkach niezadowoleni przestępują jednak „próg” odszczepieństwa i padają ofiarą prześladowań. I znów: wobec masowości zjawiska poniektórzy przekraczają próg, poza którym stają się dysydentami — oznacza to m.in. konieczność jeszcze większych ofiar, ale z tym wiąże się też rozgłos i kontakty, które zaczynają działać jako pewnego rodzaju ochrona, a przynajmniej czynnik zmuszający władze do liczenia się ze światem zewnętrznym. Jest to pierwszy wyłom w monolityczności systemu, a zatem — być może — pierwszy krok ku osłabieniu działania Wytycznej.

W istocie więc chodzi o to, by jak najwięcej ludzi osiągnęło dojrzałość intelektualną i moralną i wytworzyło tak silną „wartość progową” tendencji zmierzającej do wyzwolenia jednostki spod niwelującego działania kolektywizmu, by z biegiem czasu społeczeństwo sowieckie „znormalniało”. Zinowiew, który wojnę poznał czynnie jako pilot myśliwski, przyrównuje sytuację do walki w okrążeniu: „jesteśmy zdani na samych siebie, każdy

z osobna winien się bić do upadłego". Bić się o siebie samego — choć oczywiście trzeźwy, kostyczny autor „Wyżyn” nie używa ani razu słowa „odrodzenie moralne” i ma wyraźną niechęć do odezw i programów zbiorowych. Że taka walka jest możliwa dowodzi jego własna droga życiowa: Zinowiew jest chłopskim synem, który własnymi siłami zrobił prawdziwą karierę naukową, nim jeszcze zabrał się do pracy literackiej, która przyniosła mu światowy rozgłos; był początkowo lojalnym obywatelem sowieckim, dzielnym żołnierzem, członkiem partii, miał prawdziwe sukcesy naukowe — gdyby chciał zrobić „karierę” w sensie sowieckim (*dacza, zwanią, ordiena*), wystarczyłoby, żeby kilka razy zacytował w swych pracach logicznych już nawet nie Breżniewa, ale tylko Marksa czy Engelsa. Zupełna bagatelka, zwłaszcza że Zinowiew (jak wspomina w wywiadzie) pisał w dobrej wierze przez 6 lat pracę o metodologii Marksa w „Kapitale” — po czym pewnego dnia spalił manuskrypt, doszedłszy do wniosku, że marksizm jest brednią, na którą szkoda czasu. Decyzja wydania na Zachodzie „Wyżyn” w momencie gdy autor ich był prześladowanym odszczepieńcem (bo nawet nie znanym dysydentem) w Moskwie wymagała tej samej odwagi, co decyzja Sołżenicyna wydania „Gułagu”. Może nawet większej, gdyż autor był mniej znany, a zawartość jeszcze bardziej dotkliwa: każda władza woli, by mówiono o niej ze zgrozą niż z kpina i pogardą.

Trzeźwość, inteligencja i odwaga nie tylko imponują, ale i dodają otuchy: w momencie kiedy Zachód zagrożony jest już nie finlandyzacją ale wręcz afganistanizacją, książkę „Bez złudzeń” (istnieje też już francuski przekład tegoż wydawnictwa) zamyka się bez złudzeń, ale i z pewną nadzieją.

M. BRONSKI

Widziane z dołu

Jest taka scena w *Trzecim kłamstwie*¹, tuż przy końcu książki, kiedy Zenek Zgódką odwiedza Franka Cabałę w więzieniu i opowiada mu o ostatnich dniach inżyniera Radeckiego na budowie:

„— Jeszcze z ministra na ostatek pożartował. W czasie lipcowego święta. Wielka masa ludzi przybyła. Ten Kozera jakiś, czy Tapicera. Weszli obejrzyć betony na górę. Chyba z pół godziny leżli. W garniturach wszystko, odstawione. Prasa, dyrek-

torzy, partia. A tu deszcz zaczął padać — oni bez parasoli. To Zawadzki, dawaj, kazał przywiązać do sztychówek plandekę: taki baldachim nad ministrem rozwiesili. Kilku z prasy, te dyrektory obok, idą. Radecki był akurat z nami. Patrzymy, a on kłeka. Jak przed biskupem. Ręce wzniosł do modlitwy. Ludzie w śmiech naokoło, tamci oglądali się. Przeszli już z baldachimem, chyba żaden nie zauważył”.

Podobna scena ma miejsce w *Cudownej melinie*²: wali się pierwszomajowa trybuna, na której stoją bonzowie miasta, przyjmując hołd poddanych. Anonimowy opowiadacz, rodzaj *vox populi*, stwierdza z zawodowoleniem: „I choć ten jeden raz ci z trybuny poszli z nami. Nie mieli gdzie stać — jasne”.

Cudowna melina, książka o korupcji i wódce, kończy się klęską dobrego i zwycięstwem złego. Ale pozostawia złudzenie, że gdyby odważnych i uczciwych było więcej, być może udałoby się zreformować i oczyścić socjalizm. Orłowski posłużył się w tej książce trafnym chwytem narracyjnym: zbiorowym opowiadaczem, który używa trybu domniemanego, jakby nie był pewien przebiegu i sensu zdarzeń, jakby trochę się bał, szeptał, jakby dopiero powoli, wraz z czytelnikiem, dochodził do ich sedna. Ten opowiadacz był zarazem detektywem i głosem ludu: zbiorową, wahającą się świadomością, rodzajem nienatrętnego, lecz cały czas obecnego chóru. Ów sposób opowiadania został w *Trzecim kłamstwie* osłabiony; jego źródło i funkcja stały się mniej wyraźne, bliższe narracji bezosobowej, którą Orłowski tu i ówdzie, nie całkiem konsekwentnie, uzupełnił narracją *punktu widzenia* poszczególnych osób.

Trzecie kłamstwo zaczyna się podobnie jak *Cudowna melina*: na prowincję przyjeżdża obcy. Ale ten obcy jest inaczej ustawiony życiowo i zawodowo niż roztrzęsiony alkoholik Muszyna. Jest inżynierem, stara się tu o pracę, ma pewność że ją dostanie. Wybrał prowincję, bo zmęczyła go biurokracja i mieszczanie w Warszawie. I kończy też inaczej: nie jak Muszyna, zdeptany, lecz zaakceptowany przez miejscową elitę. Moralnie i zawodowo przegrany, życiowo ustawiony.

Trzecie kłamstwo jest książką programowo antyliteracką i paradoksalnie właśnie przez to ociera się miejscami o złą literaturę. Orłowski, którego wraz z Bohdanem Madejem zaliczyć można do szkoły Marka Nowakowskiego, wyraźnie oddala się od niego w swoim własnym kierunku. Nie wiem, czy jest to kierunek dla jego pisarstwa najlepszy, ale jest być może jedyny i zgodny z powołaniem, które pisarz wybrał. Nowakowski idzie coraz dalej w kierunku stylizacji: różnicuje język narracji i dialogów, wyobcowując narratora z rzeczywistości o której opowiada. Orłowski odwrotnie: wtapia się coraz bardziej, aż do zaniku narratora, w to co opisuje. Orłowski w prozie przypomina Barańczaka w poezji. Uporczywie powtarza prawdy, dobrze ilustrowane faktami, o brutalności, zakłamaniu, klasowości i nudzie

1. Kazimierz Orłowski, *Trzecie kłamstwo*, Instytut Literacki, Paryż, 1980.

2. Kazimierz Orłowski, *Cudowna melina*, Instytut Literacki, Paryż, 1973.

socjalizmu. I wybiera do tego celu prozę sterylną, styl reportażowy, niezaskakujący, nieozdobny, płytki. *Trzecie kłamstwo* jest, podobnie jak *Cudowna melina*, opowieścią o systemie stojącym na bezprawiu, w którym nie ma miejsca ani dla moralistów z wizją polityczną, ani dla technokratów z wizją gospodarczą.

Pamiętam sprzed paru lat w *Zapisie* wstrząsające opowiadanie Orłosa o pijaństwie „terenu”, o milionach pijanych na dobę. Pijaństwo w „terenie” jest sposobem życia, także sposobem życia elity, która zresztą pije inaczej i pije co innego. Picie „fizycznych” — bo tak Orłós dzieli społeczeństwo polskie — i picie „umysłowych” jest tak różne, jak różny jest ich udział w rozdziale kradzionych dóbr.

W Lubczynie koło Strzelna, gdzieś na wschodzie Polski, korupcja została zalegalizowana i podobnie zróżnicowana klasowo jak pijaństwo. Dla elity wysokie premie, samochody, mieszkania. Dla „fizycznych — możliwość dorobienia na boku, pokątnego handlu „państwowym”. Orłós jest prawnikiem z wykształcenia i wiele lat sam pracował w terenie. W czwartym numerze *Zapisu* z 1977 roku znalazłam jego artykuł, komentarz do podpisania przez Polskę Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela:

„Warto zapamiętać, że w świetle uznawanej przez nasze państwo zasady wolności słowa nie może być nam dana w prezencie lub za karę odebrana”.

Faktu, że wolności nie można dać w prezencie i za karę odebrać jest w *Trzecim kłamstwie* świadom tylko jeden człowiek: inspektor pracy Jan Socha, akowiec, więziony po wojnie w Rosji. Ale i on nie potrafi swoich doświadczeń i przemysłów sformułować przekonywująco. Czuje się winny w stosunku do „fizycznych”, bo w ich oczach należy do elity. Jest także nieporadny, kiedy dwóm inżynierom, Radeckiemu i Szaryńskiemu, próbuje wytłumaczyć, że ich wstąpienie do partii tylko zamknie im usta. I ta nieporadność wydaje się bardzo prawdziwa.

Elita budowy obiektu przemysłowego w Lubczynie nie może tolerować ludzi, którzy podważają jej egzystencję. Socha i Radecki — to dwie różne, ale równie dla systemu niewygodne postawy. Socha — negujący ustrój od podstaw, Radecki — wierzący w możliwość jego radykalnej naprawy przez fachowy nadzór i jawną krytykę. Elita budowy woli fikcję od realności, bo dobrze funkcjonująca fikcja opłaca się bardziej niż zgrzytająca realność. *Trzecie kłamstwo* jest książką o klęsce rzeczywistości i zwycięstwie pozorów.

We wspomnianym już artykule w *Zapisie* Orłós pisze: „Fakt istnienia cenzury przekreśla wszystko, co na temat wolności słowa napisano w dokumentach międzynarodowych od trzydziestu lat. (...) Ta sprzeczność między formalnym uznawaniem wolności słowa a praktyką łamania tej zasady — dla każdego czytającego i myślącego człowieka w Polsce jest oczywista”.

Ale w *Trzecim kłamstwie* nikt nie czyta, a myśli tylko jeden, co najwyżej dwóch. Istnieje bezpośredni związek między wol-

nością słowa a fatalnym stanem polskiej gospodarki, związek, którego zwolennik Realpolitik Kuśmierek³ nie dostrzega, bo wolność słowa ogranicza się w jego mniemaniu tylko do literatury i jest kaprysem nieodpowiedzialnych snobów:

„Pięknoduchom, którzy nieustannie powołują się na Kartę końcową Konferencji w Helsinkach chciałym podszepnąć, że żaden z portów zatoki Fińskiej nie ma wystarczającej głębokości by przyjąć te 30 mln. ton zboża. Najbliżej tego żłaknionego rosyjskiego żołądka leży Gdańsk. (...) Wolności nie można mierzyć ilością przedstawień Becketta”.

Miarą *Trzeciego kłamstwa* jest to, że wszystko, co się o Polsce czyta na poboczu tej książki wzmacnia jej aktualność. W tym samym numerze *Kultury* Kisielewski w felietonie zatytułowanym „O podwójności myślenia i działania”, w którym tak pesymistycznie ocenia działalność opozycji, pisze:

„Jeśli mimo to wszystko i niezależnie od działań młodzieńczych przeważnie grup „kontestatorskich” nastroje opozycyjne, choć nie „powstańcze”, w społeczeństwie niewątpliwie w ciągu roku wydatnie wzrosły, stało się to dzięki wyjątkowej gospodarczo-społecznej nieudolności rządzącej ekipy, dzięki marnotrawstwu, dyktantyzmowi a zarazem megalomanii kierownictwa, widocznym wszędzie gołym okiem. (...) Myślę, że najważniejszym zadaniem jest uświadomienie społeczeństwu, że jego i w ogóle Polski największym wrogiem jest USTRÓJ. Przed laty puścili go w ruch Rosjanie, lecz dzisiaj działa on już samoczynnie, prowadzony polskimi rękami. (...) Nie jest przecież Rosjaninem cenzor, niszczący kulturę i historię, nauczyciel, wbijający dzieciom do głowy absurdy i fałsze, zatruwający psychikę dziennikarz, budujący niepotrzebną fabrykę inżynier...”.

Przytaczam celowo Kuśmierka i Kisielewskiego, bo treścią książki Orłosa jest owa wolność słowa, dla gospodarki co najmniej tak istotna jak dla literatury pięknej („Beckettów”), i ów inżynier, budujący niepotrzebną fabrykę.

Orłós jest autorem znakomych małych opowiadań, z których dwa — także drukowane przed paru laty w *Zapisie* — przeczytałam niedawno na świeżo. Noszą tytuły *Pragnienie* i *Czerwone kalosze* i obydwie są majstersztykami, bo ich teza, ich idea społeczno-moralna zamknięta jest w obrazie jak w kuli. *Trzecie kłamstwo* jest w swej formie powieścią niemal socrealistyczną. Błąd autora — literacki, nie merytoryczny — polega, jak się wydaje, na tym, że napisał książkę o gotowych postawach, a nie o charakterach w rozwoju. *Trzecie kłamstwo* jest powieścią z tezą, a powieści z tezą trzeba ilustrować ewolucją postaci. Orłós czyni to zresztą, ale skrótami i w sposób reportażowy. Odrzucił psychologię, a raczej wybór formy narracji uwolnił go od niej. Ale odrzucił ją nie do końca. Konsekwentny byłby tu montaż obrazów — jak w *Cudownej melinie* — lub pogłębiona

3. J. Kuśmierek, „O handlu z Rosją”, *Kultura* nr 3, 1980 r.

narracja punktu widzenia poszczególnych postaci. Albo jednej postaci — ogarniającej całość. Te resztki psychologii, które się po książce tułają, to za mało, albo za wiele.

Budowa w Lubczynie musi sprawiać pozory dobrze funkcjonującego mechanizmu, bo wymaga tego prestiżu dyrekcji i partii. Za ukończenie pewnego odcinka budowy w terminie otrzymuje się premie — i premie decydują o wszystkim. Ci, którzy rządzą budową, to mieszczaństwo partyjno-techniczne. Bez twarzy, bez ideologii, na dorobku. Niegorsi od innych, może tylko na większym dorobku. Sprawnie funkcjonującym gangiem stają się dopiero w momencie zagrożenia. Od młodości nauczyli się posługiwać podwójnym językiem, ta umiejętność pomogła im w awansie, i żyją, nie mając pojęcia, że cierpią na schizofrenię. Nie jest wykluczone, że na etapie kolejnej czystki wylądują wszyscy w kryminalne, a partia — bo działa tu logika błędnego koła — pochwali się czujnością. W *Trzecim kłamstwie* staje się oczywiste, że system dla wielu stał się bardzo wygodny, i że w żadnym innym systemie ta ogromna już kadra ludzi szarpiących postaw sukna nie miałaby się tak dobrze.

Dla wszystkich w tej książce — z wyjątkiem Radeckiego i Sochy — liczą się tylko i wyłącznie wartości materialne: pieniądze, a za pieniądze towary. Nigdzie, w żadnym kapitalizmie człowiek nie jest tak urzeczowiony jak tutaj. Nawet słodki smak władzy jest tylko przyprawą do garnituru mebli z NRD. Obiekt przemysłowy który budują nie jest żadną wartością, bo dyrekcja zdaje sobie sprawę, że ta budowa powstała z nonszalanckich wobec rzeczywistości sloganów, a nie z możliwości i potrzeb terenu. W pewnym momencie odnosi się wrażenie, że gdyby uczciwie uznano ją za fiasko, mogłoby to wstrząsnąć podstawami systemu — przynajmniej lokalnie — i kto wie, może go nawet uzdrowić. Na to liczy praktyczny idealista Radecki kiedy zgłasza swą kandydaturę do partii. Pamiętam sprzed wielu lat głośną sztukę teatralną *Ktoś nowy*, której autorem był niejaki Domański. Jej teza była chamska, ale wtedy wydawała się niepozbawiona zdrowego jądra. Rozsądek techniczny i realizm gospodarczy miały zastąpić fikcyjność politycznego sloganu. Większy metraż, lepsze wyposażenie dla kadry inżynierskiej, taka była mniej więcej teza ideowa tej sztuki, bo tylko w takich warunkach inżynier jest w stanie myśleć i projektować lepsze życie dla kasty czarnoroboczych. W *Trzecim kłamstwie* ten etap został przewyżniony: kadra inżynierjno-administracyjno-partyjna mieszka luksusowo i zarabia świetnie. W hotelach robotniczych w dalszym ciągu gnieździ się świeżo przybyła ze wsi „kasza”.

Kiedy Szaryński przyjeżdża do Lubczyny, Socha ostrzega go przed zbyt dużym entuzjazmem. Ale na budowie panuje „nowy styl” i przybysz ze stolicy, przyzwyczajony do tamtejszej biurokracji, jest mile zdziwiony bezpośredniością dyrektora i świetnymi perspektywami: otrzymuje stanowisko inspektora do

spraw przesiedleń. Musi to być funkcja fikcyjna, bo w trakcie całej książki Szaryński ani razu nie zajmuje się przesiedleńcami.

Jan Socha przyjechał tu przed laty z młodą żoną ze Śląska. Założyli fermę kurzą, którą podpalił zatrudniony przez niego pomocnik. Dzięki znajomości z jednym z dyrektorów Socha otrzymał stanowisko inspektora pracy. Radecki jest na budowie od samego początku, żonę z dzieckiem zostawił w mieście i przyjaźni się z miłą Justyną, sekretarką jednego z dyrektorów. Ze wszystkich istniejących i namotanych tu związków ten jeden — głęboki i serdeczny — rozpada się. Inni trwają przy sobie. Stała oparte na zdradach i na braku respektu, przydziałach służbowych mieszkań, telewizorach i szmuglach z zagranicy.

Trzecie kłamstwo jest opowieścią o losach załogi i układa się dwutorowo, zgodnie z klasowym podziałem. Te dwa nurty w końcowej katastrofie łączą się ze sobą, być może symbolicznie. Jest to nurt „inżynierii” z dwoma renegatami, Sochą i Radeckim, i wątek „fizycznych”, osnuty wokół losów niejakiego Franka Cubały, szofera, któremu Radecki ratuje życie, kiedy pijany Cubała topi się na przystani. Dwa wyroki kończą tę książkę. Wyrok na Radeckiego: wyrzucenie z pracy, nieprzyjęcie do partii i dwa lata wojska za krytykę i niesubordynację. I dziesięć lat dla Cubały za morderstwo po pijanemu.

„Ludzie z wiosek przez które jeździli przychodzili do Zawadzkiego ze skargami. Kierowcy jeździli między budynkami, nie zmniejszając szybkości. Dzieci bały się chodzić do szkoły. (...) Rozjechane psy leżały na poboczach tygodniami”.

Towarzyska sielanka i tolerancja odmiennych poglądów politycznych — jak w wypadku Sochy, który codziennie urządza głośne antypaństwowe prasówki — kończy się w momencie, kiedy dochodzi do sytuacji konfliktowej. Chodzi o wykorzystywanie lokalnego kruszywa, które nie nadaje się do produkcji betonu. Najpierw Socha zostaje usunięty ze stanowiska inspektora pracy. Potem Radecki na własną rękę wstrzymuje transport i zawiadamia o tym dyrekturę w sposób nieznany tutaj i nietolerowany. Ponieważ według prawa nie wolno nikogo usuwać z pracy bez zgody Rady Robotniczej, której Radecki jest członkiem, usuwa się go najpierw, pod jego nieobecność, z Rady:

„Witek patrzył na białego orła, potem w okno. Widział, jak ręce naokoło unoszą się. (...) Poczuli jak jego własna ręka uniosła się niespodziewanie — jakby sama. Niezależnie od jego woli. Obce ciało. Powędrowała w górę i wtedy usłyszał głos komentanta: — Dziękuję. Jednomyslnie”.

Pozostaje jeszcze niespełniona część tej powieści: notatki Sochy, które żona znajduje po jego śmierci, i list do syna z pierwszego małżeństwa. Ich skąpe lecz świetne fragmenty to być może ta warstwa książki, której w całości zabrakło: inteligentna świadomość ogarniająca całość, czująca, oceniająca.

Trzecie kłamstwo kończy się rozkwitem dobrobytu, przyjęcia następują jedno po drugim. Szaryński, który niedawno zdradził

Radeckiego, zostaje zaproszony na dyrektorską partię pokera. Odtąd jest już po drugiej stronie:

„To wtedy Witek przeżył moment radości — uniesienia, jakiego nie spodziewał się przeżyć, kiedy szedł spieszony za szefem Olgi. (...) Pomyślał, że jest jednym z nich — szczerych, życzliwych ludzi. Rozumieją się, lubią wzajemnie. Mogą na siebie liczyć. Zaśmiał się głośno z dowcipu, który opowiedział Centowicz. Znów wypili po „żytku”. Fala radości, ciepła, serdeczności ogarnęła Witka. Zadowolony rozdał karty”.

Jeśli ta książka nie mogła ukazać się w Polsce — choć nie wiem, czy Orłowski starał się o to po doświadczeniach z *Cudowną meliną* — to chyba właśnie przez swoją aliterackość. Przez „gołe fakty”, których socjalizm znacznie bardziej się boi niż „Beckettów”. Wznieć może nie mam racji, wyrzucając pisarzowi, że rezygnuje z dobrodziejstw literatury pięknej.

Janina KATZ HEWETSON

Nadesłane nowości wydawnicze

KISIELEWSKI (Stefan). *Z literackiego lamusa*. Str. 265 i 3 nlb. (Wyd. Wydawnictwo „Znak”, Kraków, 1979; cena zł 60).

BORWICZ (Michał). *Ludzie, książki, spory...* Str. 231 i 1 nlb. (Wyd. Księgarnia Polska w Paryżu, Paryż, 1980; cena F.38).

DUSZA (Edward). *Kolor klonowego liścia*. Str. 136 i 8 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1980).

BARAŃCZAK (Stanisław). *Sztuczne oddychanie*. Ilustrowała Dorota Martini. Wydanie drugie poprawione. Str. 46 (powielacz). (Wyd. Krakowska Oficyna Studentów, Kraków).

DÜRRENMATT (Friedrich). *Upadek*. Przedruk z Kniznice Konfrontace Helvetia. Przełożył z oryginału Stanisław Andrzej Owsiński, proj. graf. Marek Orman. Str. 62 i 2 nlb. (wykonano metodą sitodruku). (Wyd. Krakow-

ska Oficyna Studentów, Kraków, luty-marzec, 1980).

BARTOSZEWSKI (Władysław). *Polskie Państwo Podziemne 1939-1945*. Str. 35 i 2 nlb. (Wyd. Niezależna Oficyna Wydawnicza, seria T.K.N. — wykłady, Warszawa, kwiecień 1980; nakład 5.000 egz., cena zł 20,00).

Res Publica. Nr 2 — 1979. Str. 110 i 2 nlb. (Kwartalnik wydawany w Polsce poza cenzurą, na Zachodzie nakładem Aneksu, Londyn, 1980).

FALLENBUCHL (Zbigniew Marian). *Polityka gospodarcza PRL*. Str. 58 i 6 nlb. (Wyd. Odnova, seria: Polska w świecie współczesnym, zeszyt siódmy, Londyn, 1980).

MACKIEWICZ (Józef). *Nie trzeba głośno mówić*. Powieść. Wydanie drugie — pierwsze wydanie w Bibliotece Kultury, 1969 r. Str. 559 i 1 nlb. (Wyd. Kontra, Londyn, 1980).

Bibliotheca Dissidentium. Répertoire des non-conformistes religieux des seizième et dix-septième siècles. Opracował André Séguenny. Tome I — Johannes Campanus, Christian Entfelder, Justus Velsius, Catherine Zell-Schütz. *Bibliotheca Bibliographica Aureliana LXXIX*. Str. 127 i 1 nlb. (Wyd. Editions Valentin Koerner, Baden-Baden, 1980).

Harvard Ukrainian Studies. Volume II, Number 2, June 1978. (Wyd. Ukrainian Research Institute, Harvard University, Cambridge, Mass.; subskrypcja tomu: \$ US 28,00 w USA, \$ US 32,00 w innych krajach, cena jednego zeszytu \$ US 10,00).

A Chronology of the Life, Activities, and Works of Janusz Korczak. Tłumaczył z polskiego wydania, opracowanego przez Marię Falkowską, Marię Bronikowską i Alexandrę Lewiną, E. Kulawiec. Str. 50. (Wyd. The Kosciuszko Foundation z funduszy Joseph B. Slotkowski Publication Fund, New York, N.Y., 1980).

FOLEJEWSKI (Zbigniew). *Futurism and its Place in the Development of Modern Poetry*. A Comparative Study and Anthology. Str. 288 i 4 nlb. (Wyd. University of Ottawa Press, Ottawa, Ont., 1980; cena \$ 12,00).

LEHNERT (Marek). *La favola rotta*. Z polskiego przetłumaczyła Lucia Pettì. Str. 37. (Wyd. Edigam, Padova, 1979).

STROBEL (Georg W.). *Die deutsche Polenfreundschaft 1830-1834: Vorläuferin des organisierten politischen Liberalismus und Wetterzeichen des Vormärz*. (Nadbitka z *Die deutsch-polnischen Beziehungen 1831-1848: Vormärz und Völkerfrühling*. XI. deutsch-polnische Schulbuchkonferenz der Historiker vom 16. bis 21. Mai 1978 in Deidesheim (Rheinland-Pfalz); str. 126-147).

ZIELIŃSKA (Halina). *Magna Res Libertas — Die polnische Freiheitssäule in Rapperswil*. Ein

Jahrhundert Polenmuseum auf Schloss Rapperswil. Str. 32. (Wyd. nakładem Autorki, Rapperswil, 1979).

ZIELIŃSKA (Halina). *Ein Jahrhundert Polenmuseum auf Schloss Rapperswil*. Z polskiego oryginału tłumaczył Heinrich Blumer. Str. 8 (nienumerowanych). (Wyd. Verlag Gasser: nadbitka z *Jahrbuch „St. Galler Linthgebiet”* 1979, Rapperswil).

BOJKO-BLOCHYN (Jurij). *Gegen den Strom*. Ausgewählte Beiträge zur Geschichte der slavischen Literaturen. Str. 360. (Wyd. Carl Winter Universitätsverlag, Beiträge zur neueren Literaturgeschichte, dritte Folge, Band 43, Heidelberg, 1979).

Spotkania (Incontri) — antologia di una rivista „clandestina”. Str. 96. (Wyd. CSEO outprints 3, marzo 1980, Bologna; cena numeru Lit. 3.000).

Živé pochodně. Str. 112. (Wyd. Cs. Klub Jan Palach v Curychu, Zürich, 1980).

SZEPTYCKYJ (Andrej, Mytropolyt). *Twory* (asketyczno-moralni). Str. 492 i 4 nlb. (Wyd. Editiones Universitatis Catholicae Ucrainorum S. Clementis Papae, Opera Graeco-Catholicae Theologiae Tom XLV-XLVII, Rzym, 1978).

Pisnia pro Rolanda. La chanson de de Roland traduite en ukrainien par Bohdan I. Lonchyna. Str. 168 i 4 nlb. (Wyd. Editiones Universitatis Catholicae Ucrainorum S. Clementis Papae, Opera Facultatis philosophicae-humanisticae Tom XXI, Rzym, 1977).

SONEVYTSKYJ (Michael, prof. dr). *Istoria hrečkoji literatury*. Str. 383 i 3 nlb. (Wyd. Editiones Universitatis Catholicae Ucrainorum S. Clementis Papae, Opera Facultatis philosophicae-humanisticae Tom XIX, Rzym, 1977).

Bohosłowijska. Tom XLI, Knyha 1-4. Str. 291 i 5 nlb. (Wyd. Ukrainske Bohosłowske Naukowe Towarystwo, Rzym, 1977).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

21-3-80

Z okazji 80-tej rocznicy urodzin Marii Dłuskiej, wybitnej specjalistki w dziedzinie teorii wiersza i poetyki, miało miejsce uroczyste spotkanie zorganizowane przez Radę Naukową Instytutu Filologii Polskiej UJ oraz oddział krakowski ZLP.

29-3-80

Warszawska *Polityka* podaje: JEZIORA. Instytut Kształtowania Środowiska podaje, że 289 jezior z 9.300 wykorzystuje się jako punktowe zrzuty ścieków. Ponad 30 % jezior jest zatrutych. ■ Od czterech lat ani razu przemysły paszowy, maszynowy czy chemiczny nie wywiązały się ze zobowiązań na rzecz naszego rolnictwa — mówił w dyskusji redakcyjnej poznańskiego *Tygodnia* Kazimierz Zgoła, prezes WZSR „Samopomoc Chłopska” w Lesznie. W ub.r. tylko eternit i wyroby hutnicze otrzymaliśmy w planowanych ilościach. Wszystko inne, a więc zamówienia na cement, węgiel, papę, nawozy i paszę, ciągniki, przyczepy były zrealizowane tylko częściowo.

9-4-80

Zmarł w Krakowie, w wieku lat 54, Franciszek Puget, aktor i reżyser teatru lalkowego.

12-4-80

Warszawska *Polityka* podaje, że dla 137 przedmiotów uniwersyteckich, 83 ekonomicznych i 112 rolniczych nie wydano w pięcioleciu żadnej publikacji, nawet materiałów pomocniczych czy skryptów uczelnianych. W przypadku uczelni rolniczych liczba 112 oznacza aż 44 % przedmiotów, które studiuja przyszli rolnicy.

17-4-80

Zmarł w Kielcach, w wieku lat 77, bp Jan Jaroszewicz, rządcą diecezji kieleckiej.

21-4-80

W ramach uroczystych obchodów 60-tej rocznicy urodzin Lenina i 35-lecia podpisania układu polsko-sowieckiego Muzeum Lenina w Warszawie zostało odznaczone orderem Sztandaru Pracy I klasy.

24-4-80

„PolSERVICE” zatrudnia ponad 8 i pół tysiąca fachowców w 60 krajach.

30-4-80

W Warszawie zakończył się II krajowy zjazd ZSMP. W przyjętej uchwale za główny obowiązek młodzieży polskiej zrzeszonej w ZSMP uznano prowadzenie w realizacji programu uchwalonego na VIII zjeździe PZPR oraz zadań sformułowanych w wystąpieniach E. Gierka. W pierwszym rzędzie ZSMP ma zająć się zaciąganiem dla górnictwa, zagospodarowaniem Wisły i modernizacją gospodarki żywnościowej.

1-5-80

W Ślupsku powołano do życia 17-ty Oddział Związku Literatów Polskich. ■ Głównie biblioteki polskie rozrastają się w szybkim tempie. Zbiory warszawskiej Biblioteki Narodowej liczą 3 i pół miliona jednostek bibliotecz-

nych, Biblioteka Jagiellońska ma 2,7 mln. Biblioteka UW — 3,5 mln., warszawska Biblioteka Publiczna — 3 mln. Biblioteka Uniwersytetu Poznańskiego — 2,7 mln., Uniwersytetu Toruńskiego — 1,8 mln., Uniwersytetu Łódzkiego — 1,5 mln. Milion jednostek bibliotecznych przekroczył KUL oraz Ossolineum. ■ W PRL zniesiono obowiązek odbywania służby wojskowej przez katolickich seminarzystów.

ZACHÓD — EMIGRACJA

12-3-80

Zmarł w Paryżu, w wieku 54 lat, Leonard Rudowski, działacz katolicki oraz działacz francuskich chrześcijańskich związków zawodowych.

12-4-80

Walne zebranie SPK w Wiedniu wybrało nowy zarząd w osobach: prezes — Gabriela Rekowska-Malachowska, wiceprezes — Piotr Cała, sekretarz — Marian Gomułka, skarbnik — Lidia Berezka oraz Andrzej Balko.

16-4-80

Zmarł w Londynie, w wieku 84 lat, Krystyn Ostrowski, działacz gospodarczy i społeczny.

19-4-80

W rocznicę Zbrodni Katyńskiej w Genewie odbyło się uroczyste nabożeństwo w bazylice Notre Dame. W przepełnionym kościele było około 800 osób. Nabożeństwo to było poprzedzone całym szeregiem wystąpień publicznych, m.in. w radio szwajcarskim była audycja o Katyniu, a następna ma mieć miejsce 8 maja br.

21-4-80

W Warszawie krążą plotki o odwołaniu ambasadora PRL w Paryżu, Tadeusza Olechowskiego. Podobno największe szanse na to stanowisko ma osławiony rektor Uniwersytetu Warszawskiego prof. Rybicki.

24-4-80

Stowarzyszenie Studentów Polskich we Francji zorganizowało wieczór dyskusyjny poświęcony Jean-Paul Sartre'owi.

28-4-80

Zmarła w Londynie, w wieku 74 lat, Melania Arciszewska, współzałożycielka Towarzystwa Przyjaciół Dzieci i Młodzieży, wdowa po premierze Tomasz Arciszewskim. ■ Papież postanowił, że Synod Biskupów, poświęcony zadaniom rodziny chrześcijańskiej w świecie, rozpocznie się w Rzymie 26 września br.

30-4-80

W Sarcelles pod Paryżem zmarł, w wieku 86 lat, prof. dr Oleksander Kulczycki, b. rektor i wieloletni dziekan Wydziału Filozoficznego Wolnego Uniwersytetu Ukraińskiego. ■ Kanclerz Uniwersytetu Victoria w Wellington nadał dyplom doktora *honoris causa* prof. dr. Kazimierzowi Wodziekiemu za prawie 40-letnią pracę dla Nowej Zelandii zarówno w dziedzinie nauk biologicznych jak i na polu społeczno-politycznym. Dr Wodziecki był w 1941 roku konsulem generalnym R.P. w Nowej Zelandii i przyczynił się do przyjęcia przez ten kraj 733 dzieci i około 100 osób starszych ewakuowanych ze Związku Sowieckiego. Po cofnięciu uznania rządu polskiego

został członkiem nowozelandzkiego departamentu nauki i badań, gdzie stworzył i prowadził wydział ekologii zwierząt. Wydał on kilkadziesiąt prac z dziedziny teriologii i ornitologii oraz ekologii południowego Pacyfiku. Mimo ukończenia 80-ciu lat prof. Wodzicki kontynuuje pracę naukową jako honorowy wykładowca Victoria University w Wellington. ■ W lutym br. społeczność polska w Nowej Zelandii obchodziła 40-tą rocznicę deportacji ludności polskiej przez Związek Sowiecki z terenów okupowanych. Z tej okazji wydano broszurę „Polacy w Nowej Zelandii — wspomnienia deportacji do ZSSR”.

2-5-80

W gmachu Biblioteki Polskiej w Paryżu odbyło się pierwsze zebranie grupy dyskusyjnej zajmującej się problemami najnowszej historii polskiej; zebranie było poświęcone sytuacji międzynarodowej i pozycji Polski w Europie. Udział wzięli m.in. prof. Adam Bromke oraz dr Bartel de Weydenthal.

3-5-80

Towarzystwo Historyczno-Literackie święciło rocznicę Konstytucji 3 Maja. Po zagajeniu przez prezesa E. Zaleskiego referat o „Inteligencji polskiej, spadkobierczyni twórców Konstytucji 3 Maja” wygłosił Janina Markiewicz Lagneau, profesor Uniwersytetu w Bordeaux (III). Informacje o inaugurowanej z okazji setnej rocznicy urodzin K. Brandla wystawie dzieł artysty przedstawił Witold Leitgeber.

4-5-80

Zmarł w Londynie, w wieku 92 lat, gen. bryg. Tadeusz Malinowski.

6-5-80

W Forum des Halles w Paryżu została otwarta wystawa malarstwa Lesskiego. ■ W sekcji studiów polskich Instytutu Katolickiego w Paryżu ppłk Witold Zaniewicz przedstawił wyniki swoich prac nad mobilizacją i walkami armii polskiej we Francji w latach 1939-1942.

9-5-80

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się odczyt Jerzego Turowicza, naczelnego redaktora *Tygodnika Powszechnego*, pt. „Jan Paweł II — Polska i świat”.

10-5-80

Rada Fundacji im. Kościelskich w Genewie przyznała na rok 1980 trzy nagrody literackie w ogólnej sumie Fr. szw. 9.000. Otrzymali je: Józef Baran za całokształt twórczości poetyckiej — Frs. 3.000, Jerzy Pluta za powieść „Sto czyżyków” (Frs. 3.000) i Janusz Węgiełek za zbiór esejów pt. „Mam ciało” (Frs. 3.000). Nagród emigracyjnych nie przyznano.

11-5-80

Prasa francuska donosi, że armatorzy francuscy zamówili w stocznjach japońskich i brazylijskich 5 węglowców o tonażu 140 tys. każdy. Koszt każdego z tych węglowców wynosi od 33 do 40 mln. dolarów. Armatorzy francuscy są przekonani, że przy ogromnej koniunkturze węglowej na świecie sprawa przewozu węgla ze Stanów Zjednoczonych, Kanady, Afryki Południowej, Australii, Chin, Japonii oraz Polski będzie wymagała intensywnego rozbudowania transportowców. Stocznie francuskie nie są zainteresowane budową węglowców. Prasa podkreśla, że przed dwoma laty oferty stoczni polskich były dwukrotnie tańsze od ofert stoczni francuskich. ■ W 40-tą rocznicę przekroczenia przez drugą dywizję strzelców pieszych

granicy francusko-szwajcarskiej po klęsce Francji odbędzie się 22.6.br. w Rapperswilu zjazd b. żołnierzy polskich internowanych w latach 1940-45 w Szwajcarii.

15-5-80

Wspólnota Polsko-Francuska organizuje w Paryżu od poniedziałku 30 czerwca do soboty 5 lipca 1980 swój drugi z kolei *Uniwersytet Letni*. Tegoroczny Uniwersytet działać będzie w Bibliotece Polskiej 6 Quai d'Orléans, Paris 4^e, z udziałem *Towarzystwa Historyczno-Literackiego*. Przewiduje się sześć godzin zajęć dziennie, w tym trzy godziny odczytów i trzy godziny okrągłych stołów i dyskusji. Językami roboczymi są polski i francuski. Nowością Uniwersytetu Letniego II jest fakt, iż poświęci się jeden dzień każdemu z wybranych tematów: Sprawa budowy Europy; Dialog kultur; Biblioteka Polska w Paryżu; Jan Paweł II i Kościół naszych czasów; Polonia światowa. Otwarcie, które będzie miało miejsce w poniedziałek 30 czerwca o godz. 15-tej, będzie się składało z następujących punktów: omówienie programu uniwersytetu, przedstawienie *Wspólnoty Polsko-Francuskiej* i *Towarzystwa Historyczno-Literackiego*. Przewidziane są także: festiwal filmu polskiego oraz wystawy. Zgłoszenia prosimy kierować na adres: J. Deryng, *Secrétariat de l'Université d'Eté de la C.F.P.*, 61, rue de la Monnaie, 59800 Lille. Tel.: (20) 55-32-59 i (20) 55-48-01.

23-5-80

W Ognisku paryskiej YMCA p. B. T. Lesiecki, dyrektor polskiej YMCA na zachodzie Europy, mówił „O ostatnich wydarzeniach kulturalnych i społecznych w Wielkiej Brytanii”.

27-5-80

W Institut Catholique de Paris odbył się odczyt Jerzego Monda na temat „La résistance du clergé polonais pendant la deuxième guerre mondiale”.

29-5-80

W galerii francusko-amerykańskiej Art Forum International w Paryżu została otwarta wystawa obrazów i ikon Emiliana Mazuryka z Paryża. Emilian Mazuryk jest Ukraincem, ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie w 1964 r. Od 1968 r. przebywa w Paryżu. ■ W Centre d'Etudes Polonaises Université de Lille dzień 29 maja był dniem poświęconym Witoldowi Gombrowiczowi, o którym referaty wygłosili: pp. Daniel Beauvois — „La contradiction qu'est la mort du philosophe”, K. A. Jeleński — „Gombrowicz et la culture”, Jan Błoński — „Un microcosme de Ferdydurke”, Jacques Volle — „Gombrowicz et Nietzsche”, Zbigniew Kruszyński — „Journal ou antijournal?”, Rosine Georgin — „Le corps morcelé”. Po każdym z tych referatów miała miejsce dyskusja.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Prasa polonijna donosi, że jacht „Dal”, na którym przed wojną Andrzej Bohomolec przepłynął ocean, ma pod patronatem Kongresu Polonii Amerykańskiej i Związku Narodowego Polskiego wyruszyć do Polski, odwiedzając na trasie skupiska polonijne położone w okolicach Wielkich Jezior. „Dal” ma być darem dla Muzeum Morskiego w Gdańsku. Cała ta impreza jest zorganizowana wbrew woli p. Andrzeja Bohomolca, właściciela jachtu. O tej przykryj sprawie p. Bohomolec pisał w *Kulturze* w 1973 roku w nr. 4/307. ■ 29.4.br. odbyły się staraniem Kongresu Polonii Amerykańskiej (Central District of N.Y.) w gmachu Parlamentu Stanu N.Y. wspólne mod-

litwy z okazji 35-lecia uwolnienia Dachau. W uroczystości tej wzięło udział dwóch księży katolickich, dwóch rabinów, pastor ewangelicki (z pochodzenia Niemiec), 7-miu Polaków i pięciu Żydów — b. więźniów obozów koncentracyjnych. Uroczystość została zorganizowana przez ks. Karola Urbana. W uroczystości tej wzięło udział również 5-ciu poetów Stanu N.Y. Moment najbardziej wzruszającym było złożenie przez b. więźniów kwiatów pod stojącymi obok siebie krzyżem i siedmioramiennym świecznikiem. Wszyscy obecni, około 150 osób, otoczyli ich kołem, trzymając się za ręce. ■ W Naples na Florydzie zmarł śmiercią tragiczną Aleksander Ford, znany reżyser filmowy. Najwybitniejszymi jego filmami były: „Ulica Graniczna”, „Chłopcy z ulicy Barskiej”, „Krzyżacy”, „Młodość Chopina”. Po przymusowej emigracji z PRL w 1968 roku reżyserował filmy: według powieści Solżenicyna „Krag pierwszy” oraz „Doktor Janusz Korczak”.

KRONIKA KANADYJSKA

Płk dypl. Olgierd Dunin-Borkowski zmarł w wieku 77 lat w Kanadzie. Był on delegatem Rządu R.P. na Kanadę. ■ Witold Lutostawski, jeden z czołowych polskich kompozytorów współczesnych, którego utwory są często wykonywane w Kanadzie, bawił w Toronto na zaproszenie Wydziału Muzycznego miejscowego uniwersytetu. ■ Janusz Radziejowski, historyk specjalizujący się w problemach tzw. Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy, autor pracy na ten temat, obejmującej jednak tylko okres do roku 1929, spędził rok akademicki 1979/80 w Kanadyjskim Instytucie Studiów Ukraińskich University of Alberta jako *visiting professor*, konsultant dla studentów. 10. 4. br. wygłosił w Toronto w Instytucie św. Włodzimierza prelekcję w języku ukraińskim pt. „Kolektywizacja na Ukrainie w świetle sowieckiej historiografii”. ■ Ukazał się obszerny tom wspomnień i życiorysów imigrantów polskich osiadłych w prowincji Alberta. Praca ta, redagowana przez specjalny komitet pod przewodnictwem Joanny Matejko, ukazała się dzięki pomocy finansowej rządu federalnego, prowincjonalnego i szeregu polonijnych organizacji społecznych. Na ten tom składają się zarówno relacje członków rodzin, przyjaciół czy znajomych pierwszych przybyszów z Polski do tej prowincji, jak i bezpośrednie relacje i wspomnienia. Sporo materiału pochodzi z wywiadów nagranych na taśmy magnetofonowe. Obok wspomnień osobistych znajdują się dane kronikarskie o terenowych organizacjach społecznych. Wstęp napisał prof. Howard Palmer, a zwięźle wprowadzenie p. Joanna Matejko. Tylko część pracy jest w języku polskim i obejmuje wspomnienia pp. A. Grodzkiego, M. Grunera, A. Kamińskiego, J. B. Liss-Požaryckiego, P. Piskunowicza, W. Zaniewicza oraz trzech przybyłych po ostatniej wojnie — J. A. Bednarskiego, Cz. Mędreka i T. Walikowskiego. Książka zawiera szereg fotografii, niektóre o znaczeniu historycznym. ■ Na pomnik uczczenia ofiar zbrodni katyńskiej wpłynęło dotychczas (stan po 16-tej liście) dol. 74.484. Uroczyste odsłonięcie pomnika planowane jest na połowę września br. ■ W okresie od 19. 3. br. do 1. 4. br. w Toronto odbyły się trzy publiczne prelekcje na temat polskich zagadnień. Bogdan Czaykowski, poeta, tłumacz, kierownik Wydziału Sławietyki University of British Columbia w Vancouver, wygłosił prelekcję na temat polskiej literatury emigracyjnej, a na drugim wykładzie wtajemniczył studentów w skomplikowaną sztukę tłumaczenia poezji. Prof. Czaykowski rozróżnia dwa rodzaje poezji emigracyjnej okresu wojny: żołnierską i patriotyczno-wojenną. Pierwszy to utwory poetów napisane w czasie ich czynnej służby wojskowej, a drugi autorów, którzy z różnych przyczyn pozostali poza wojskiem. Następnym prelegentem był Andrzej Kamiński, profesor historii Columbia University w Nowym Jorku, który przybył na

zaproszenie Centrum Studiów Rosyjskich i Wschodnioeuropejskich oraz Wydziału Historii University of Toronto i wygłosił referat na temat „Dyplomacji, szpiegów i agencji w XVII wieku — Moskwa i Warszawa” a następnie „Ukraina między Polską a Rosją: Od Chmielnickiego do Mazepy”. Wszystkie te prelekcje wywołały żywe dyskusje wśród słuchaczy, w przypadku prof. Kamińskiego doktorantów i wykładowców historii. ■ Czwororo w czołowie. Dzieci imigrantów nie mają dziś żadnych trudności w uczestniczeniu w życiu publicznym, w najszerszym tego słowa znaczeniu. Różnią się wybitnie od imigrantów okresu pionierskiego, ale nawet od późniejszych. Jest to problem nie tylko pokoleniowy, więc czasowy, ale i socjalny. Wielu imigrantów — w tym polskich — zajmuje różne stanowiska na wyższych uczelniach, w instytucjach badawczych, w przemyśle, wykonuje wolne zawody itp., ale jeśli chodzi o osoby polskiego pochodzenia to tylko nieliczni dotarli do miejsc czołowych i zajmują kierownicze stanowiska. Należy do nich poniższa czwórka: Janet Dębicka, córka polskich imigrantów, urodzona w Anglii i licząca obecnie 36 lat, przybyła do Kanady w 1965 po ukończeniu studiów prawniczych i jest pierwszą kobietą profesorem prawa, wykładając na University of Manitoba w Winnipeg, a w kadencji 1977-78 była pierwszą kobietą wybraną na stanowisko prezesa *Social Science Federation of Canada* i w następnym roku została wybrana na prezesa *Canadian Association of Law Teachers*; Anita Szlajak, córka polskich imigrantów, która także urodziła się w Anglii i liczy obecnie 37 lat, przybyła do Kanady w wieku 7 lat, ekonomiczne studia uniwersyteckie ukończyła w Toronto, następnie studiowała w Bruges w Belgii, w 1964 objęła stanowisko ekonomisty-badacza w Organizacji Współpracy i Rozwoju Ekonomicznego w Paryżu, w 1967 roku przeszła do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Ottawie i reprezentowała Kanadę na kilku konferencjach międzynarodowych, w 1972 roku została przeniesiona do Ministerstwa Komunikacji gdzie objęła stanowisko dyrektora *International Telecommunication Branch*, a od 1976 jest dyrektorem *Public Service Commission* tj. urzędu odpowiedzialnego za państwowy personel urzędniczy, zajmując się około 270.000 funkcjonariuszy państwowych. W okresie triumfalnego pochodu kobiet rola mężczyzny jest siłą faktu trudniejsza. Polskie imigranckie dzieci płci męskiej usadowiły się zatem w Kanadzie nieco niżej, ale i nie najgorzej: George Radwański, syn zmarłego przed kilku laty prof. Piotra Radwańskiego z Montrealu, jest redaktorem strony artykułowej największego dziennika w języku angielskim *The Toronto Star*, a przed rokiem opublikował interesującą monografię premiera Pierre Trudeau. Karierę dziennikarską rozpoczął w Montrealu, gdzie pracował do ubiegłego roku. Na łamach *Montreal Star* opublikował m.in. cykl reportaży z Polski; Marek Starowicz, również montrealczyk, syn imigrantów, jest gwiazdorem służby prasowej *Canadian Broadcasting Corporation*, zaprojektował i kieruje tygodniową, niedzielną godziną audycją radiową pt. *Sunday Morning*, tj. przeglądem najważniejszych wydarzeń krajowych i międzynarodowych w naświetleniu korespondentów rozsyłanych po całym świecie — jest to jedna z najlepszych audycji politycznych CBC.

KRONIKA FRANCUSKA

Przed kilku tygodniami powstała Grupa Parlamentarna dla obrony interesów Francuzów polskiego pochodzenia. Przewodniczącymi zostali: Jean-Marie Daillet, *député de la Manche* dla *Assemblée Nationale*, i Schiele, *sénateur du Haut Rhin* dla Senatu. Grupa ta zorganizowała konferencję prasową, na której p. J.-M. Daillet stwierdził, że specyficzne interesy tej grupy obywateli powinny znaleźć obrońców w gronie członków parlamentu

i że mogą do niej należeć posłowie i senatorowie z różnych stronnictw politycznych. Nie powiedziano natomiast z czyjej inicjatywy ta grupa powstała i dlaczego właśnie teraz; wydaje się, że jest to pomysł związany ze zbliżającą się kampanią prezydencką. ■ Mniej więcej w tym samym czasie ukazały się ulotki *Association des Français d'origine Polonaise*. Wzywały one do wstępowania do tej organizacji (składka 70 F.) dla lepszej obrony interesów obywateli tej kategorii. 3/4 ulotki po francusku, 1/4 po polsku. Mowa o tradycjach, folklorze itd. — Zarząd składa się z ludzi nieznanych w polskim życiu zbiorowym (niepodległościowym czy komunistycznym), skupionych w „polskiej” dzielnicy Paryża — Saint Paul. Te same pytania co poprzednio: z czyjej inicjatywy i dlaczego teraz? ■ „Radio-Pirate” — to forma walki z monopolem państwa w zakresie radia i telewizji. Taką stację nadawczą stworzyła w Lille, pod nazwą „Radio Quinquin”, komunistyczna centrala związków zawodowych C.G.T. — W ramach programów tego radia są także audycje po polsku. Przymawiają m.in. przywódcy syndykatów PRL. Zarówno nowa organizacja obywateli francuskich (a raczej DLA!) jak i wspomniane audycje po polsku — jak zapewne i inne akcje, które na razie się nie ujawniły — są prawdopodobnie wynikiem zbliżenia między PCF i PZPR, których stosunki jeszcze nie tak dawno były raczej chłodne. Ostatnio obydwie partie zorganizowały w Paryżu zjazd europejskich partii komunistycznych. Prawdopodobnie obecnie PZPR chce polskimi głosami pomóc PCF. — Dlatego też stworzono specjalną organizację, gdyż na tym odcinku *Association „France-Pologne”* nie wystarczy. ■ Msza za zamordowanych w Katyniu zamówiona została 1 maja br. przez syndyka francuskiego p. Le Gac. Kościół pełny, 37 sztandarów, w tym wiele francuskich. Międzyorganizacyjny Komitet „Roku Katynia” przygotowuje także inne manifestacje przypominające (zwłaszcza Francuzom) mord oficerów polskich. ■ Były „cichociemny”, a obecnie działacz „Wspólnoty Polsko-Francuskiej”, Jan Majeranowski został kawalerem „Ordre National du Mérite”. ■ Na bankiecie ku czci dysydenta ukraińskiego gen. Piotra Grigorenki, którego książka wyszła przed kilku tygodniami po francusku, przemawiał w imieniu Polaków Jerzy Jankowski.

J. J.

KRONIKA SZWEDZKA

Na walnym zebraniu Rady Uchodźstwa Polskiego w Szwecji prezesem Rady został ponownie wybrany inż. Henryk Malinowski. Tym razem do Rady weszło kilku nowych uchodźców, młodych ludzi z terenu Jönköpingu i Malmö. Dotychczasowy redaktor *Wiadomości Polskich*, Tadeusz Głowacki, zrezygnował z redagowania tego biuletynu i na jego miejsce redakcję objął Jerzy Kleban, członek zarządu SPK w Malmö i Konfederacji Polski Niepodległej. ■ Na terenie Malmö powstał w br. oddział Konfederacji Polski Niepodległej Leszka Moczułskiego i zaczął wydawać własny biuletyn. ■ Inger Wahlöö, wydalona przez PRL korespondentka *Expressen*, najpoczytniejszego wieczornego dziennika Szwecji, wydała powieść autobiograficzną pt. „Än dess söner” („Póki my żyjemy”). Wydawcą jest Norstedt (cena krs 90,00). Jest to najlepsza z napisanych dotychczas przez Szwedów opowieść o współczesnej Polsce. ■ Ubiegły kwartał był szczególnie bogaty we wszelkiego rodzaju imprezy polskiego uchodźstwa. 13 marca bież. roku odbył się w Sztokholmie wieczór poświęcony papieżowi Janowi Pawłowi II z odczytem na temat Jego poezji i wyświetleniem filmu „Pielgrzym”. 23 marca br., w dniu wyborów do Sejmu i rad narodowych PRL, odbyła się przed ambasadą PRL demonstracja zainicjowana przez Związek Młodych Polaków i polską grupę należącą do szwedzkiego stronnictwa Umiar-

kowanie-Zachowawczego, które bierze udział w obecnym rządzie koalicyjnym. Demonstranci występowali przed ambasadą z odpowiednimi transparentami oraz rozdawali obywatelom PRL składającym w ambasadzie swój głos wyborczy ulotki oraz miniaturowe książeczki o sowieckiej zbrodni w Katyniu, a przez megafon odczytywano ostatnie komunikaty KSS „KOR” i program wyborczy K.P.N. W kwietniu różne skupiska polskie w Szwecji upamiętniły tragiczną rocznicę zamordowania w Katyniu polskich oficerów. Min. wyświetlono film o Katyniu, w Sztokholmie dzień ten uczczono obchodem w lokalu Rady Uchodźstwa Polskiego w Szwecji i złożeniem wieńca pod pomnikiem katyńskim, a 27. 4 została odprawiona w kościele św. Jana msza św., podczas której ks. Jan Buczkowski odczytał list kardynała Rubina i biskupa Wesołego wzywający emigrację do modłów w intencji wymordowanych przez Sowietów Polaków. ■ W ciągu ostatniego roku wydawniczej ukazało się w Szwecji wyjątkowo dużo przekładów współczesnej literatury polskiej. Nakładem spółki wydawniczej Kockelbergh ukazała się powieść Andrzeja Kuśniewicza „Król Obojga Sycylii”. Duże zasługi w prezentowaniu Szwedom literatury polskiej ma w tej chwili spółka wydawnicza Bromberga. Niedawno został wydany „Wielki Tydzień” J. Andrzejewskiego („Dödens Karusell”), miesiąc temu wydano „Miłość i odpowiedzialność” („Kärlek och ansvar”) Jana Pawła II w tłumaczeniu Sven Błada i prof. Józefa Trypućko. Dzieło to wywołało żywą i nawet ostrą polemikę. Pooglądów Karola Wojtyły na problemy współczesne bronił przed krytyką lewicowo-liberalnego i bardzo poczytnego dziennika *Dagens Nyheter* znany szwedzki pisarz Sven Stolpe. Bromberg wydał jeszcze „Podróż” („Miraklet pa Capri”) Stanisława Dygata a w przygotowaniu ma „Przybysza z Narbony” Juliana Strykowski. Na szczególną jednak uwagę zasługuje projekt tego wydawnictwa wprowadzenia na szwedzki rynek dzieł Czesława Miłosza. Dotąd ukazał się tylko „Zniewolony umysł” („Själär i Fangenskap”), wydany w latach 50-tych w wydawnictwie Natur och Kultur. W bież. roku ma się ukazać szwedzki przekład „Doliny Issy”, zbioru eseów, a w przyszłym roku I tom poezji Czesława Miłosza. Bromberg wydaje także książki rosyjskich i czeskich dysydentów, m.in. trzy prace Maksimowa, w tym „Karantin”, a w przygotowaniu jest powieść Józefa Skwořeckiego „Bas Saksofon”.

dyr. Zygmunt Michałowski
Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa

Lund, 18 maja 1980.

OŚWIADCZENIE

My, niżej podpisani, w imieniu członków i sympatyków Towarzystwa Przyjaciół Kultury w Lundzie, protestujemy przeciwko oszczerczej kampanii, którą prowadzi Stowarzyszenie Kombatantów Polskich w Szwecji. Kampania ta skierowana przeciwko przewodniczącemu naszego towarzystwa, Andrzejowi Koraszewskiemu, prowadzona jest na łamach pisma emigracyjnego *Wiadomości Polskie* (między innymi przez redaktora Klebana oraz T. Strzyżewskiego).

Niepokoï nas fakt, iż kampania ta bezpośrednio doprowadziła do zerwania przez rozgłonię radia Wolna Europa kontraktu zawartego z Andrzejem Koraszewskim. Dziwi nas również, iż radio Wolna Europa uległo naciskom Stowarzyszenia Kombatantów Polskich, pozbawiając się w ten sposób wartościowego współpracownika.

Bożena WYSZOMIRSKA, Christine EBNER

Do wiadomości: redaktor Kultury Jerzy Giedroyc.

Listy do Redakcji

Panie Redaktorze,

Albuquerque, 30 kwietnia 1980.

W numerze wrześniowym 1979 *Kultury* pisze niejaki Jacek Bierezin. Naprawdę dziwię się, że *Kultura* ośmiela się zamieszczać takie śmiecie. Przecie autor paszkwili atakuje i wysmiewa najgłębsze uczucia narodowe i katolickie Narodu Polskiego.

Czy wreszcie *Kultura* ma służyć narodowi czy raczej ośmieszać i atakować naród? Czy fundusze na wydawanie pisma, *Kultura* czerpie od Polaków czy obcych agentur? Bo ostatnie uśmiechy do Ukraińców, Białorusinów, ba nawet Niemców sugerują silne powiązanie właśnie z obcymi kołami. *Pecunia non olet!!!* prawda!??

Panie Redaktorze — a jednak mimo całej sprytnej gry Pana i Pańskiego Zespołu, mimo języka polskiego używanego przez Panów, miesięcznika Panów nie można nazwać *par excellence* polskim i przede wszystkim polskim interesom służącym.

Z poważaniem,

K. BLACHUT

Bez komentarza. Redakcja.

Warszawa, 16 kwietnia 1980.

Kochany Redaktorze,

Z wielkim zdziwieniem przeczytałem cytowaną w nrze 1-2 (1980 r.) *Kultury* informację włoskiego dziennika, jakoby powstać miała w Rzymie placówka Interpressu w celu zbierania krytycznych materiałów o papieżu, i jakoby w jej skład miał wejść Mikołaj Rostworowski.

Chyba nie trzeba dobrze orientować się w tym, co się w Polsce dzieje, by dać sobie sprawę z tego, że informacja ta jest zwykłym oszczerstwem. Po pierwsze — gdyby Interpress zamierzał osłabić pozycję Jana Pawła II — po cóż wydawałby w kilku językach i wielotysięcznym nakładzie album na Jego cześć? A po drugie Mikołaj Rostworowski nie miał nigdy nie wspólnego z Interpressem lecz był już w 1962 roku akredytowanym przy Watykańskim Biurze Prasowym korespondentem *Słowa Powszechnego*. Jeżeli *Słowo Powszechne* dochodzi do Was, to zdajecie sobie chyba sprawę z tego, że dziennik ten więcej uczynił dla rozślawienia papieża, niż jakiegokolwiek inne pismo na świecie?

Wreszcie zaznaczam, że znam Mikołaja Rostworowskiego od 32 lat, z bliska obserwuję jego działania i mogę stwierdzić to, co przyzna mi każdy, kto go zna: że szczerść i lojalność to najbardziej charakterystyczne cechy wyróżniające tego właśnie polityka.

Aleksander BOCHEŃSKI

Tanger, 26 marca 1980.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z przyjemnością dyskutuję z Łobodowskim. Przypomina mi się madryka knajpa „Obelisco” i „nocne rodaków rozmowy” przy czerwonym winie zakąszanym hiszpańskimi specjałami: szynką „serrano” i serem „mancheño”.

Pisze Łobodowski: ktoś kto w osobach Chmielnickiego, Petlury i Bandery widzi tylko morderców Żydów...”. Dlaczego nie dorzucić: Ktoś kto w osobie Hitlera widzi tylko mordercę Żydów nie rozumie złożoności sytuacji w Europie w okresie drugiej wojny światowej. Ale pamięć, a raczej złopamięć historyczna nie bawi się w subtelne analizy i jest bardzo uparta. Mógł Mickiewicz pisać w przedmowie do Konrada Wallenroda, że zakon Krzyżacki zeszedł już ze sceny politycznej, a my śpiewaliśmy i śpiewamy za Konopnicką że się „rozpadnie w proch i pył krzyżacka zawierucha”. Podczas procesu Szwarcbarta strona ukraińska przedstawiła rozkazy antypogromowe Petlury, ale nie mogła przedstawić jednego choćby przykładu rozstrzelania sprawców pogromu przez żołnierzy atamana. Zresztą w opinii publicznej wódz jest odpowiedzialny za czyny swych podwładnych, i papierowe rozkazy nie mogą uratować reputacji wodza. Dla Żydów Chmielnicki, Petlura, Hitler czy Eichmann będą zawsze wcieleniami biblijnego Hamana.

Zresztą Polacy nie rozumują inaczej. Łobodowski jest odosobniony w swych sympatiach dla Chmielnickiego, którego oficjalna historiografia sowiecka już zdążyła zaawansować na bolszewika *avant la lettre*. Dla pokoleń polskich wychowanych na „Ogniem i mieczem” Chmielnicki był zawsze postacią wroga. Doskonale pamiętam dyskusje w latach przedwojennych, gdzie zarzucano Sienkiewiczowi, że zatruił dusze pokoleń Polaków. obrońcy Sienkiewicza nie musieli kruszyć kopii: polska opinia publiczna była za nimi. Należy wnioskować z wielkiej poczytności Trylogii w dzisiejszej Polsce, że nic się nie zmieniło, i że bohaterem Polaków jest raczej Jeremi Wiśniowiecki niż Chmielnicki czy Taras Bulba.

Czy Szwarcbart był agentem G.P.U.? Fakt, że miał krewnych wśród ofiar pogromu jest nieistotny. Wywiad sowiecki mógł wybrać agenta wśród osób, które miały osobiste motywy usprawiedliwiające zamach na atamana. Ale inne poszlaki wzmiarkowane przez Łobodowskiego raczej przeczą jego tezie niż ją uzasadniają.

Dlaczego Szwarcbart tak długo zwlekał ze swą zemstą. Bo, jak mówi przysłowie francuskie, „zemsta to posiłek, który się spożywa na zimno”. Mściciel długo przeżuwa swe myśli zanim się zdecyduje na działanie. Agent nie czeka tak długo. Szwarcbart mieszkał 5 lat w Paryżu. Co robił przez ten czas ten rzekomy agent G.P.U.? Czy policja i kontrwywiad nie o nim nie wiedziały? A więc należy przyjąć, że Szwarcbart, spokojny mieszkaniec Paryża stał się agentem *ad hoc*, zaangażowanym przez G.P.U. tuż przed zamachem. Poszlaka bardzo wątpliwa, której żaden sąd nie przyjąłby bez poparcia inną poszlaką, mianowicie, że Szwarcbart figurował w kartotekach policyjnych jako osoba związana z obcym wywiadem. Ale widocznie tej poszlaki nie było.

Fakt, że Szwarcbart po uniwnienniu wygłaszał odczyty na temat „Jak zabiłem atamana Petlurę” jest silnym argumentem przeciwko tezie Łobodowskiego. Agent, który dokonywuje zamachu i któremu udało się uniknąć wyroku skazującego, stara się aby o nim zapomniano. Agenci nie rozjeżdżają z odczytami, zwłaszcza agenci sowieccy. *Tournée* odczytów Szwarcbarta zorganizowały niewątpliwie organizacje żydowskie które aprobowały zamach. Nie trzeba było szukać finansowania, bo te odczyty były imprezą bardzo opłacalną.

Wyrok uniewinniający Szwarcbarta byłby nie do pomyślenia w Anglii, ale orzecznictwo francuskich sądów przysięgłych zna liczne wypadki takich

wyroków jeśli idzie o *crime passionnel*. Subtelność prawna polega na tym, że pytanie zadane przysięgłym nie brzmi: „Czy X zabił Y”, lecz „czy X jest winien zabiciu Y”. Zgodnie z tą praktyką Madame Chevalier, która zabiła swego męża pięcioma strzałami z rewolweru została uniewinniona. Można więc zabić i nie być winnym zabójstwa. Wielokrotnie podkreślano nielogiczność tej konstrukcji prawnej, ale wyrok w sprawie Szwarcbarta nie stanowił wyjątku.

Nie ma więc poszlak że Szwarcbart był agentem. Mógł on działać jako mściciel z własnej inicjatywy, mogła stać za nim jakaś grupa mścicieli, mogły stać za nim Sowiety. Mógł także rozumować tak jak Łobodowski, ale w innym wariantcie: Piłsudski objął władzę, Petlura wróci na ziemię polską zamieszkającą przez ludność ukraińską, i wybuchną pogromy. Należy go usunąć.

Słusznie podkreśla Łobodowski że należy zainteresować się późniejszym życiem Szwarcbarta. W latach 1926/27 agenci sowieccy działający za granicą nie obawiali się wracać do Sowietów. Aparat terroru oszczędzał jeszcze komunistów. Czy Szwarcbart pojechał do Sowietów czy został na Zachodzie? Gdzie mieszkał? Gdzie umarł? Czy śmiercią naturalną, czy jako jedna z ofiar holocaustu, czy w łagrze sowieckim? Możliwe informacje znajdują się w *Jewish Encyclopedia* do której nie mam w tej chwili dostępu? Jedynie odpowiedź na te pytania może stworzyć poważną poszlakę co do agenturowego charakteru zamachu na atamana Petlurę.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

Anatol ESTRYN

Haan/Rhld., kwiecień 1980.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Z punktu widzenia czytelnika niepolskiego numer marcowy Pana po-
cztynnego miesięcznika wydaje mi się znów szczególnie udany.

Jeżeli chodzi o artykuł wstępny ks. prof. J. M. Bocheńskiego, to trzeba stwierdzić, iż ks. Maliński na podstawie swej biografii papieskiej na terenie RFN wyraźnie „podpadł”. M.in. doszło się do wniosku, że w/w biografia wykazuje niemałą rozbieżność z jej polskim „prototypem”. Czytając m.in. polską wersję ma się wrażenie, że w okresie stalinizmu w Krakowie panowała sielanka w stosunkach Kościół-państwo a nie było w ogóle tzw. „procesów pokazowych” przeciwko klerowi.

Niezależnie od słuszności Papieża w sprawie Künga, to trzeba jednak stwierdzić, że Jan Paweł II ma ostatnio „kieską prasę”. Do chóru krytyków dołączyli się nawet ci dziennikarze, którzy jeszcze przed rokiem wiwatowali z zachwytem. Moim zdaniem nie jest to jedynie rezultatem sprawy Künga, lecz lekceważeniem sobie przez miarodajne czynniki watykańskie sektora prasy, radia i telewizji. Może to brak doświadczenia młodych doradców z otoczenia papieskiego. Ale skoro Ojciec Święty ma czas na osobiste rozmowy z regionalnymi matadorami włoskiej piłki nożnej lub z „grandami” prowincjonalnymi egzotycznych krajów amerykańskich, to trudno nie dziwić się, że część jego otoczenia takiego czasu nie przewiduje dla przedstawicieli ponadregionalnych gazet, agencji oraz rozgłośni — jak to ostatnio często bywało. Żalił mi się sędziwy kolega po piórze, znany publicysta katolicki Niemiec, że dawniej, skoro napisał tylko „większą rzecz” o Watykanie lub o akurat panującym papieżu, zawsze otrzymywał grzecznościowy list dziękczynny z Watykanu. Dzisiaj — nawet jeżeli się pisze cykle na ten temat

lub w obronie Papieża przed „küngowcami” — nie ma o tym mowy. Zresztą na podstawie własnej praktyki mogę to niestety tylko potwierdzić. Wiadomo, że dziennikarze są bardzo wyczuleni na takie traktowanie.

Łączę wyrazy szczerzego szacunku,

Mgr Joachim Georg GÖRLICH

Edmonton, Alta, Canada, kwiecień 1980.

Szanowny Panie Redaktorze,

WIELOŻEŃSTWO I PŁODNOŚĆ

Adam Nasielski twierdzi (*Kultura*, kwiecień 1980, str. 36), że wielożeń-
stwo jest „oczywiście” jedną z przyczyn rekordowej płodności czarnej lud-
ności Południowej Afryki. Nie ma w tym nic oczywistego. Jeśli dane
demograficzne są dostatecznie szczegółowe to prawie zawsze wykazują, że
kobiety w związkach poligamicznych są mniej płodne niż żyjące w mono-
gami. Nie jest to dowód łatwy, bo czasami bezpłodność pierwszej żony
prowadzi do drugiego małżeństwa. Kobiety w poligamii są wtedy selekcyjo-
nowane przez bezpłodność. W każdym razie nie ma w tym problemie nic
oczywistego.

Teoretycznie wydaje się możliwe, żeby jeden mężczyzna zapłodnił tysiące,
czy nawet setki tysięcy kobiet. Przecież w praktyce to nie wychodzi i jeden
mężczyzna nie potrafi statystycznie i adekwatnie obsłużyć więcej niż jedną
kobietę. Można by nawet założyć, że wielożeństwo zmniejsza płodność danego
społeczeństwa. Dzieje się to gdy starzy i mniej jary mężczyźni monopolizują
młode żony na rynku małżeńskim, przez co zwiększają odsetek kawalerów,
opóźniają ożenek młodych i bardziej jarych mężczyzn, wydłużają różnice
wieku między małżonkami, zwiększają ilość wdów; wszystko to są efekty
obniżające płodność.

Z poważaniem,

Karol KRÓTKI

Ottawa, Ont., 12 kwietnia 1980.

Szanowny Panie Redaktorze,

Teza przewodnia artykułu p. J. Kuśmierka głosząca potrzebę zwiększenia
wymiany handlowej ze Związkiem Radzieckim jest, w zasadzie, słuszna.
(Marcowy numer *Kultury*). Natomiast sugerowane propozycje usług hand-
lowych wydają mi się mniej przekonujące. Pod koniec artykułu p. Kuś-
merek proponuje:

— parasol energetyczny dla Europy południowo-wschodniej. (Dlaczego
pominął Niemcy Wschodnie i Zachodnie? Oba państwa wyraziły chęć
zakup polskiej energii).

— Gdańsk, jako port przeładunkowy dla sowieckiego importu/eksportu.

Przyjrzyjmy się implikacjom tych propozycji.

Rzeczywiście Polska ma olbrzymie zasoby energii, ale niestety nie we
właściwej formie. Przeróbka węgla na energię elektryczną wymaga olbrzy-
mich nakładów kapitałowych oraz środków inwestycyjnych. A wiadomo,
że front inwestycyjny trzeszczy. Nawet tak ważna inwestycja energetyczna
jak Połaniec jest poważnie opóźniona. Koźlenice nie osiągnęły jeszcze zapla-
nowanej mocy. Sytuacja w Połaniecu jest tak krytyczna, że nowy dyrektor
budowy otrzymał specjalne pełnomocnictwa od rządu z poleceniem by Poła-
niec oddany był do użytku w pierwotnie zaplanowanym czasie. Połaniec

nie rozwiąże problemów energetycznych Polski. Zapobieże jedynie katastrofie. W międzyczasie Polska importuje energię elektryczną z Czechosłowacji i Niemiec Wschodnich. Niestety nie zapobiega to przestojom tego supernowoczesnego przemysłu, jaki Polska zafundowała sobie w ciągu ostatnich 10 lat. Nie pomyślano — myślenie jednak ma przyszłość — że ten przemysł musi być czymś napędzany. Prognozy energetyczne nie przewidują widocznej poprawy przez następne kilka, a może nawet kilkanaście lat. Tak się przedstawia sytuacja energetyczna obecnie i jej perspektywy na najbliższą przyszłość.

Nie wątpię, że trudności te będą kiedyś rozwiązane. Kwestia jest czy klient będzie chciał czekać.

Są także inne aspekty parasola energetycznego warte rozpatrzenia. Są to problemy znacznie ważniejsze niż omówiony powyżej, a mianowicie problemy ekologiczne.

Przetwarzanie węgla na energię elektryczną jest procesem „brudnym”. Proces ten jest niezmiernie szkodliwy dla środowiska naturalnego. Lasy wokół Śląska są na wymarcu. Na kontynencie amerykańskim toczy się zjadła dyskusja czy ropę zastępować węglem. Faktem jest, że szereg jezior obumiera na skutek zakwaszenia produktami spalania węgla. Przykład Wielkich Jezior na pograniczu amerykańsko-kanadyjskim (a także i Bajkał i Morze Kaspijskie) wykazuje, że jest niezmiernie łatwo wody zanieczyszczyć. Znacznie trudniej zaś przywrócić je do stanu pierwotnego. Węgiel, w obecnej formie, ma wielu przeciwników na kontynencie amerykańskim. Przeciwnicy węgla twierdzą, że w ogólnym rachunku nie stać ich społeczeństwa na spalanie węgla, jako źródła energii. Należy tu dodać, że opalanie kotłów pyłem węglowym nie rozwiązuje problemów ekologicznych.

Powyżej omówiony jest zaledwie jeden rodzaj zanieczyszczeń. Przeróbka węgla na energię elektryczną wymaga ponadto znacznych ilości wody, której w Polsce już teraz odczuwa się brak. Eksperti przepowiadają, że jeżeli już teraz nie poczyni się odpowiednich inwestycji, brak wody będzie czynnikiem hamującym przemysłowy rozwój Polski. Należy także wspomnieć o termicznym zanieczyszczeniu rzek oraz transporcie. Transport — wąskie gardło polskiej gospodarki. Znow planisci nie pomyśleli, że te wszystkie nowe fabryki będą potrzebowały surowców oraz dystrybucji gotowych produktów.

Pan Kuśmerek widzi wielką przyszłość Gdańska jako portu przeładunkowego dla handlu sowieckiego. Teoretycznie, pomysł ciekawy. Niestety trudniej będzie z realizacją. Na razie władze nie mogą sobie poradzić z węzłem drogowym w okolicach Gdańska. Polski handel morski dusi się na wybrzeżu, ponosząc przy tym olbrzymie straty. Dostawy węgla do portów walczą wiecznie z trudnościami. Kolejnictwo polskie, od lat niedoinwestowane, pracuje w katastrofalnych warunkach. Co gorsze, zasadnicza poprawa może dopiero nastąpić za lat kilkanaście. Obawiam się, że gdyby Polska zaproponowała Związkowi Sowieckiemu Gdańsk jako port przeładunkowy to mogłoby otrzymać identyczną odpowiedź jaką otrzymała na propozycje dostawy fabryki płyt wiórowych: Pokażcie jak to u was pracuje.

Jakkolwiek sama zasada rozwoju handlu ze Związkiem Sowieckim jest bez wątpienia słuszna, to poszczególne propozycje w obecnych warunkach są raczej nierealne. Parasol energetyczny może być realny jeżeli zostanie rozwiązany problem podziemnej gazyfikacji węgla. W innym wypadku Polska stałaby się śmietnikiem ekologicznym.

W ostatnich 10 latach Polska zbudowała poważny potencjał nowoczesnego przemysłu. Wyzyskanie tego potencjału jest niskie. Należy obecnie skoncentrować się na sprawnym wykorzystaniu tego potencjału nie tylko dla eksportu na rynki zachodnie, tak jak założono, ale także na rynki RWPG. Zalanie rynków zachodnich polskimi produktami wydaje mi się mało realne. Bardziej realny jest pomysł dostrojenia polskiego przemysłu do potrzeb

rynków RWPG, a szczególnie największego konsumenta tego rynku. Pomysł ten wcale nie jest nowy. Łódź jest klasycznym przykładem dostrojenia przemysłu do potrzeb rynku. Może warto pokusić się o rolę nowej Łodzi dla rynków RWPG? Aspiracje takie uważam za bardziej realne niż mrzonki o zalewaniu zachodnich rynków polskimi produktami. Przynajmniej na obecnym etapie rozwoju polskiego przemysłu.

Dostrojenie polskiego potencjału przemysłowego do potrzeb RWPG uważam za bardziej atrakcyjny wariant niż warianty proponowane przez p. Kuśmiera. Przemysł już istnieje. Warianty proponowane przez p. Kuśmiera wymagają poważnych nowych inwestycji. Należy warianty te wprowadzić w życie gdy zaistnieją ku temu odpowiednie warunki np. rozwiązanie problemu podziemnej gazyfikacji węgla.

Na razie sprawą wielkiej wagi jest zmiana nawyków myślenia ludzi odpowiedzialnych za decyzje w PRL'u. Gospodarka narodowa jest dziedziną zbyt poważną by decyzje oparte były na sloganach. Klasycznymi przykładami pomieszenia doktryny i ekonomii są decyzje dotyczące budowy huty Lenina i Katowice.

Ciekawe jest, że bardziej ortodoksyjne politycznie kraje niż PRL potrafią wyzłocić się z okowów doktryny przy pobieraniu decyzji ekonomicznych. Marksistowska doktryna nie przesłania zdrowego rozsądku ani Niemcom Wschodnim, ani Czechom, nie mówiąc już o Węgrzech, gdzie Kadar nie zawahał się wyrzucić z Politbiura wszystkich przeciwników zdrowego rozsądku. My zaś, jak zwykle, wszystko pomieszamy.

Łączę wyrazy szacunku,

K. STYS

Zamieszczamy poniżej „List do Redakcji” wysłany przez naszego przedstawiciela Norberta Żabę do redakcji *Wiadomości Polskich* w Stockholmie.

5 maja 1980.

Do Jerzego Klebana

Redaktora Naczelnego *Wiadomości Polskich* w Stockholmie.

Będąc jednym z poprzednich redaktorów i wydawców *Wiadomości Polskich* w Stockholmie (w latach 50-tych) jestem przykro zaskoczony treścią pierwszego numeru organu Rady Uchodźstwa Polskiego w Szwecji w jego nowym układzie redakcyjnym. Uchodźstwo polskie w Szwecji składa się z różnych poglądów przy czym jego znakomita większość nie jest w ogóle zrzeszona. Z tego powodu Rada Uchodźstwa nigdy nie była i nie powinna być tubą tylko jednego ugrupowania czy stronnictwa politycznego. Zasada jej było zawsze popieranie wszelkich ruchów demokratycznych w Polsce, walczących z totalitarnym reżymem. Tak jak w czasie ostatniej wojny społeczeństwo patriotyczne zwalczało nacjonalistyczny totalitaryzm niemiecki, tak samo uświadomione niepodległościowo społeczeństwo polskie jak i emigracja zwalczały komunistyczny totalitaryzm. To że istnieją w Polsce i na emigracji różne ugrupowania opozycyjne różniące się między sobą programem i taktyką walki jest wyrazem pluralizmu demokratycznego, do którego dążyć winne wszystkie społeczności o tradycjach chrześcijańskich. Ubolewać należy że naturalne różnice poglądów, czy to w ideologii, czy wyborze taktyki walki o wolność i demokrację przybrały w polemice, zarówno w kraju jak i na emigracji, tak ostre i szkodliwe dla sprawy formy. Nie jest zadaniem prasy emigracyjnej jątrzyć i podjudzać do niepotrzebnych sporów, a zwłaszcza nie powinna ona atakować tego czy innego ruchu opozycyjnego w kraju w sposób niegodny i niezgodny z dobrymi obyczajami.

Obowiązkiem prasy emigracyjnej jest przede wszystkim rzetelna informacja bez uprzedzeń i stronniczych ataków na poszczególnych działaczy w kraju i na emigracji. Zasadnicza rola emigracji leży w popieraniu wszystkich demokratycznych ruchów opozycyjnych w kraju.

Nie czas dzisiaj dzielić Polaków walczących z narzuconym krajowi przez Sowietów systemem na lewicę i prawicę, na wierzących i niewierzących, na „rdzennych” i „nierzennych” Polaków. Korzysta z tego wyłącznie reżym.

Proszę Pana Redaktora o zamieszczenie tego otwartego listu w *Wiadomościach Polskich*.

Przesyłam wyrazy pozdrowienia,

Norbert ŻABA

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Henryk MICHALIK, Australia. — Pana elukubrację przeczytaliśmy ze smutkiem i zażenowaniem. Nie zamieścimy.

GRUPA. — Nie zamieścimy — tekst słaby, a ponadto nie zamieszczamy anonimowych opracowań.

KALIFORNIJCZYK. — Nie zamieszczamy niemądrych anonimów.

Dr Irena ZIEMBIŃSKA, Boston (USA). — Jakkolwiek uważa Pani, że „Kultura” zamieszcza dosłownie wszystko, co różnego autoramentu religiantom w danej chwili przychodzi do głowy — Pani dwóch listów nie zamieścimy.

(Dalszy ciąg Wpłata ze str. 2-giej)

WPLATY NA NIEZALEŻNĄ OFICYNĘ WYDAWNICZĄ

Dr J.M., Kolonia (RFN) — DM 50,00 F. 110,00

Na apel „Konfederacji 76” w USA wpłacili: Oddział Boston: pp. W. Ostrowski i R. Bogusławski po \$US 10,00, A. Golda, F. Dziadul, A. Żołądkowski, M. Stankiewicz, K. Gotowicka, Grabowscy po \$US 5,00, A. White — \$US 3,00, TK z Polski — \$US 2,00 — razem: \$US 55,00; Komitet Obywatelski przy „Konfederacji 76”: pp. R. Winowski, Basia M. i Eugeniusz L. po \$US 25,00, A. Grzybek, A. Krzywokij po \$US 15,00, W. Evans, B. Pilecki, T. Marshall i G. Jezierski po \$US 10,00 — razem: \$US 145,00; w redakcji *Listów do Polaków* złożył p. L. Szydełko \$US 20,00; ogółem: \$US 220,00 z czego na:

Konfederację Polski Niepodległej — \$ 55,00	F. 231,00
Studenckie Komitety Solidarności — \$ 55,00	F. 231,00
ROPCiO (A. Czuma) — \$ 55,00	F. 231,00
Towarzystwo Kursów Naukowych — \$ 55,00	F. 231,00

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
 Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
 Commission Paritaire N° 60789.
 Dépôt Légal: 2^e trimestre 1980.



PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		R. 19,50	R. 37,00
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 4,00	\$ A 20,00	\$ A 38,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönla-tern-gasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 219-69-23	F.B. 160,00	F.B. 900,00	F.B. 1 700,00
BRAZYLIA : prosimy o przysyłanie czeków do adm. „Kultury”	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
DANIA : O.T. ZALEWSKI, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księ-garniach polskich w Paryżu	F. 17,00	F. 90,00	F. 170,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vissin-gen, Tel. (01134) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 8,50	Fl h. 50,00	Fl. h. 90,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Kra-suski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiakowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 5,00 DM 9,00 F. 17,00	\$ Can 26,00 D.M. 50,00 F. 95,00	\$ Can. 50,00 D.M. 90,00 F. 180,00
NIEMCY : St Mikieluk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1			
NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss			
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 8,50	F.S. 50,00	F.S. 90,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonta Nr 48 82 34-6 ..	K.S. 17,00	F.S. 95,00	K.S. 180,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009, Tél. 475-8888. Ada Dziwanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio. 44145. Tél 871-48-47 Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725, 17-th Street, N.W., Washington D.C. 20009; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orze-chowski, Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103. POLONIA, Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago. Il 60618, tel. 312) 489-2554; E.I. Suszynski, 4923 Merrill St., Torrance, Cal. 90503, tel. (213) 540-2398; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Lu-dowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233 El Camino Real, Palo Alto, Ca., 94306, telefon: (415) 327 - 5590 & 851 - 0748.	\$ US 4,00 £stg. 2,15 F. 17,00	\$ US 22,00 £stg. 12,00 F. 95,00	\$ US 42,00 £stg. 22,50 F. 180,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.180; półroczna — F.95.
 Przesyłka pojedynczego numeru — F.2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
 INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le Roi,
 par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
 lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 317 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT PIĘCDZIESIĄTY DRUGI

Zawiera opracowania: P. Wandycz — *August Zaleski, min. Spraw Zagranicznych R.P. 1926-1932 w świetle wspomnień i dokumentów*; J. Erdman — *Osierocone natarcie*; Zb. Rapacki — *Przyczynek do podróży gen. De Gaulle'a do Polski we wrześniu 1967 r.*; Władysław Studnicki; T. Wyrwa — *Ingerencja Francji w sprawy polskie na przełomie 1939-1940*; B. Heydenkorn — *Moskwa - Warszawa w XVII wieku*; E. Żagiell — *A wszystkiemu winien Kraszewski*; T. Heinrich — *Sowiecka doktryna wojskowa*.

Str. 240.

Cena F. 45,00.



TOM 318 — GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

DZIENNIK PISANY NOCĄ

Tom drugi

1973 - 1979

Str. 360.

Cena F. 75,00.